

Deotyma

PANIENKA Z OKIENKA

STARODAWNY ROMANSIK

I.

W kamiennym pierścieniu.

Szedł sobie najspokojniej, powłócząc oczami po tych cudnych i cudacznych rzeczach, których może póki życia nie miał już oglądać, gdy znenacka ozwały się za nim wesole przygrywania i szmery posuwiste, jakoby od nadciągającej cizby. Obejrzał się, przystanął, — a tu z bocznej przecznicy płynie orszak strojny, z kapelą na czele. Przodem i do koła — jak to zwykle w podobnych razach — wali tłum ciekawej gawiedzi. Wnet się też zrobiło tak ciasno, że Pan Kaźmierz musiał copędź ustąpić pod ścianę. Wprawdzie ulica nie należała bynajmniej do wązkich, ale jak wszystkie główne ulice Gdańska, była z obu stron zastawiona dwoma szeregami dużych ganków, czyli raczej tarasów, które głęboko wrzynając się w jej koryto, szczupły tylko przepływ zostawiały dla jezdnych i pieszych.

Oparł się więc o podmurowanie jednego z onych tarasów, a że był słuszny, mógł ponad

głowami dobrze widzieć przeciąganie wesela, bo zaraz poznał, że to weselny orszak.

Naprzód, po trzech rzędem, szli grajkowie, dmący w trąby, piszczałki, fletnie i różne inne fujary, takie pokręcone, takie pozawijane, jakby jakie świeciste węże.

Potem szła gromada młodych ludzi, dość suto wyglądających. Buty miękkie, lejkowato rozwarte. Ubiory obcisłe, o bufiastych rękawkach, niby pozszywane z pasów dwubarwnych, w podłuż popękanych i nasianych sterczącymi wypuszczkami. U jednych krezy okrągłe, u drugich już nowomodne obwisłe kołnierze, spadające na piersi we dwa trójkątne koronkowe końce. U ramion krótkie płaszczki, tak zwane wówczas "półmancia». Nad tem wszystkiem kapelusze ogromne, o wywiniętem skrzydle i kiściastych piórach.

Jeden tylko Pan Młody nie miał pióra; miał za to inną ozdobę, która naszemu widzowi mile wpadła w oczy; były to dwa malutkie, zieloniuchne wianeczki, wzajemnie w siebie zadziergnięte jakby dwa ogniwa łańcucha, i przytwierdzone do główki kapelusza, gdzie tworzyły rodzaj mirtowej kokardy, a dla bystrych oczu, hieroglif miłości.

Za kawalerami szły panny, także po trzy rzędem. Ubrania ich pstrzyły się różnemi barwami, ale krój miały jeden, nieodmienny. Suknia sztywna, w ciągnione floresowe wzory, z tyłu mocno powłóczysta, u dołu strefowana kilku passamonami, z ciemnych taśm kamelorowych, albo z czarnego axamitu. Na przód spódnicy

spuszczał się długi a wązki fartuszek, w domu zwykle płócienny, a od stroju rąbkowy, powiewny jakby biała szarfa. Stanik twardy i długi, dosadnie zarysowywał utoczenie kibici.

Rękawy podobne do męzkich, wydęte, rozporkami zatrzęsienie, ściągały się u dłoni pod koronkowy mankiet, a z ramion tworzyły dwie wypukłe bańki, niby dwie podpórki mające podtrzymywać równowagę kręzy. Ta ostatnia bywała najrozmaitszych rodzajów: czasem grubo rurkowana, a mała w obwodzie, czasem znów cieniuchna, ledwie troszeczkę falująca, a za to szeroka jakby tarcza. Z jej środka, niby pisklę z gniazda, wystawała główka gładka i mydlkowata, bo przy kręcie, wszelkie bogatsze ufryzowanie stawało się niemożliwym; głowa musiała być małą i okrągłą, ażeby mogła poruszać się swobodnie w tej ciasnej, ostro-prążkowanej konsze. To też wszystkie włosy podczesywano w górę i zaplatano w jeden warkocz, którego kręgi ukrywały się z tyłu pod czarną axamitną branką, lub pod czółkiem z różnobarwnych wstążek.

Białogłowa idąca do kościoła, zarzucała jeszcze na suknie płaszczyk osobliwszy a prześliczny; kładł on się pod kręzę, z którą stanowił niby jedną całość; uszyty po prostu w kwadrat, z muślinu lub lekkiej wełny, nie miał rękawów ani żadnych ozdób, tylko pod szyją był lekko zmarszczony, i cały w podłuż karbowany, tak że kobieta szła spowinięta od stóp do głowy, w jeden wielki a miękki wachlarz.

Czasem, gdy płaszczyk się odchylił, można było dojrzyć jeszcze inny jaki szczegół, cechujący ubranie ówczesnej Gdańszczanki; naprzykład cięgiaturę, czyli ów sznur nieodstępny jakim się okręcała w pasie, a którego jeden koniec opadał na fartuszek, podczas kiedy drugi, opatrzony całym pękiem kluczyków, igielników, nożyczek i szydełek, wpuszczany był zazwyczaj do bocznej kieszeni. Na tym sznurze przewieszano też i facolet, czyli chustkę od nosa, gdy rączka strudziła się jej trzymaniem; a i chustka była wzorzysta, chwaścikami u czterech rogów zakończona, i rączka schludnie zawinięta w rękawicę o misternych wyszywaniach.

Panowie i panny widocznie byli zadowoleni ze swojej strojności, bo szli z piersią wydętą jak u pawia, zerkając na przyglądające im się tłumy. Ale pan Kaźmierz patrzył obojętnie; podobnych strojów, mniej lub więcej wykwintnych, mógł codzień widywać krocie; podobny orszak weselny, to w ludnym Gdańsku nie nowina. Dopiero za szeregami panien, dostrzegł coś takiego co go naprawdę zadziwiło, coś tak nadzwyczajnego, że oparł obie ręce o czekanik, aby wspiąć się na palce i lepiej zobaczyć. t

Szła Panna Młoda między dwiema druchnami. Wszystkie trzy miały suknie z najprzedniejszej białawo-ślówkiej «pawłoki» (która, jak wiadomo, była uprzywilejowaną tkaną szat koronacyjnych), a na sukniach płaszczki okrągłe purpurowe, z gronostajowymi wylogami u przodu, z bogatą klamrą u spięcia. I, o dziwo! płaszczki

te w górze nie wywijają się żadnym kołnierzem, ale były wszyte w obramowanie złote, i wycięte kołem tak szerokiemi, że nietylko szyja, ale i skrawek popiersia, wykwiwały z nich bez osłony.

Włosy też, wolne od pęt codziennych, jakby drugi płaszcz rozpuszczone, wiły się po ramionach i spływały po barkach.

Na włosach, każda z nich miała koronę złotą, cudnie wyrobioną w różne liściowe przezrocza i strzeliste pąki.

Korona Panny Młodej była najwyższa. Wzrostem także oblubienica górowała nad parą swoich towarzyszek, i postawę miała okazałą, i w obliczu taką powagę, że ludzie przed nią się rozstępowali, jakby przed urodzoną królową.

W czasach, kiedy rosnąca ciągle srogość praw przeciwnych, wykluczała z ubiorów mieszczańskich wszelkie cenniejsze tkaniny i futra, a zwłaszcza wszelkie drogie kruszce i kamienie, — w czasach, kiedy Protestantyzm, coraz bardziej zacinający się i posepnijający, zaczynał narzucać już nietylko duszom ale i sukniom Purytańską surowość, — w takich czasach, te łabędzie szyje, te szkarłaty i złota, mogły słusznie zadziwiać na ulicach Gdańska, i Pan Kaźmierz teraz dopiero zrozumiał, dlaczego tak wielka ciżba leciała za tym orszakiem.

Po drodze też ciągle przybywało śledzących oczu; na wszystkich piętrach zapalały się one po za wypukłemi szybkami; niejedno okno zabrzękło, roztwierane co żywo, dla przepuszczenia kilku głów natłoczonych.

Ale widowisko krótko trwało. Trzy koronne postacie przepłynęły jakby widziadła. Za niemi pokazali się rodzice Państwa Młodych, otoczeni starszyzną. Tu, między mężatkami, znowu karbowane kołnierze i płaszcze, znowu suknie sztywne, tylko już bez fartuszków, na głowach czarne bramki, ale już obszyte koronką, tworzącą z nich djademowe półkornecie. Między starszemi mężczyznami, więcej biretów niżeli kapeluszy, więcej futrzystych armantelów niżeli obcisłych kbatów.

Nakoniec wysypała się ostatnia kupka ciekawych, orszak skręcił w inny poprzeczny zaułek, fletnie i stapania powoli przycichły, i Pan Kaźmięrz znów się znalazł na pustej ulicy.

— A to mi Panna Młoda! — Pomyślał. — Ustrojona jakoby druga Ester. Taką prowadzić do ołtarza, to splendor! Ona wszystkim królowa, a pan-mąż jęj król. Niechno ja tylko stanę kiedy na ślubnym kobiercu, to moja panna musi bez pardonu mieć takowy płaszcz i koronę. Będą ci tam coprawda Panowie Bracia u nas wydziwiali nad oną komedią, ależ morskiemu człeku wolno przecie ustroić żonę «per modum Gedanensem». Będzie tedy tak obleczona, jeno buzię musi mieć inakszą, bo ta nijak nie przypadła mi do serca; okrutnie pyszna, i na dobitkę, włosy jak u kruka. Żona kruk, to i mruk. Wedle mego widzimisię, żonka powinna być niezaduża, ustrugana jako ta łątka, ze złotemi kędziorkami, z turkusikowemi oczkami, a wiecznie śmiejąca się jako ten mały ptaszek, co to zawdy podska-

kiwa, pośpiéwywa, a jak chcesz to z ręki ję, a jak chcesz to dzióbka daje. Rzecze kto, że o taką łatwo, a nieprawda. Jam już niemało świata objachał, no i jeszcze nie nalażł owęj co mi się śni.

Tu Pan Kaźmięrz trochę sobie westchnął, i—jak zwykle czynią ci którzy wzdychają— podniósł w górę oczy.

Ledwie podniósł, a tu cały się wzdrygnął, złożył ręce i szepnął:

— Jezu najśłodszy! A wszakci to akurat ona!

Mówiąc te słowa, patrzył w najwyższe okno domu, który stał naprzeciw niego po drugiej stronie ulicy. Okno to wycięte w samym szczycie budynku, było zupełnie okrągłe, obrębione sznurową rzeźbą. W tym kamiennym pierścieniu, rozkwitało coś podobnego do wielkiej stokrotki; kręza biała, przejrzysta, drobno prążkowana, wypełniała prawie całe okienko, a jak wśrodku białej stokrotki połyska złota kulka, tak w tym okrągłym kołnierzyku świeciła główka złotowłosa, bramką z niebieskich wstążek przepasana, bijąca słonecznym blaskiem świeżej cery, wdzięku i figlarności, z ustami jak maliny, z oczami jak turkusiki.

Oczy te były ciekawie wpatrzone w Pana Kaźmięrza. I miały na co patrzeć. Już i podczas pochodu weselnego, niejedna głowa zwracała się ku niemu, niejedno spojrzenie skrzyżowało się z jego wzrokiem.

Bo też Imci Pan Kaźmięrz Korycki, Po-

rucznik od Marynarki Jego Królewskiej Mości Władysława IV, był wyraźnie stworzony do dwóch rzeczy; do bicia nieprzyjaciół i podbijania serduszek. Wysoki a smukły, mocny a zwinny, wdzięczący się a zuchowaty, lubił każdemu i każdej blisko zaglądać w oczy. Twarz miał ogorzałą porządnie od morskich nawałności, a jędrną jak spiż, i przy każdym wzruszeniu wybuchającą rumieńcami, które przelatywały szybko niby błysniecie lontu. I piwne jego źrenice były tak pełne iskier, że gdy się w kogo bystro patrzył, to go temi oczami siekł jakby różgami płomiennemi. Siarczysty kawaler.

Ubrany był dosyć osobliwie: nawpół po naszemu, a nawpół z cudzoziemska, bo też tak mniej więcej wyglądała cała flotta Pucka, w której urzędzeniu wzorowano się z początku

na marynarkach obcych, a zwłaszcza na Szwedzkiej, najbliższej nam wedle sąsiedztwa, i najlepiej znanej z powodu częstych, zbrojnych sporów.

Miał więc Pan Kaźmierz obcisły kaftan, czyli tak zwany kolet, z łosiej skóry, na ukos przepasany czarnym rzemiennym bandoletem, u którego wisiał obosieczny, nieco zakrzywiony kordelas. Rajtuzy uszyte z granatowej rasy, pod kolanem były przewiązane i wpuszczone w obuwie, składające się nie ze zwykłych butów, ale ze zgrabnych półbuciów bez cholew, żeglarz bowiem jak góral, potrzebował nóg lekkich, dla uwijania się po stromych piąterkach i oślizgłych wklęsłościach ówczesnych okrętów.

Na kolecie nosił półkopianiak, z kroju dość

podobny do burki, ciemny i włochaty po wierzchu, więc dobry na słońce lub wicherę, ale dobry i na pogodę, bo podbity czerwonymi nicami, i które w dzień jasny odrzucały się na ramiona, i rozweselały ubranie.

Głowa Pana Kaźmierza nie była podgolona; mało kto jeszcze wtedy u nas oszpecał się owym dzikim tatarskim wymysłem. Włosy jego, drobno skędzierzawione, przypominały ten sposób uczesania, jaki później został nazwanym «à la Titus», a który na ówczesnych wizerunkach już często daje się spostrzegać.

Włosy te Pan Kaźmierz przykrywał, nie spiczastym szwedzkim, ani okrągłym niemieckim kapeluszem, ale kosmatą, szczeropolską czapką, edną z owych prześlicznych, fantastycznych czapek, jakie u nas kwitły za Wazów. Brzegi jej były w górę wywiniete i przeróżnie ponacinane, a u przodu stała kitka czarna, przytwierdzona zanklem srebrnym z emalią, gdzie drobniutko wymalowany, kraśniał herb Marynarki Puckiej, ten sam co był wyszyty na Banderze królewskiej, mianowicie: ręka po ramię obnażona, trzymająca dobyty miecz; wszystko w polu czerwonym.

Jednak ta czapka, choć tak piękna, stała się teraz dla Pana Kaźmierza narzędziem niepomyślnej próby. Ledwie bowiem spostrzegł, że panienka z okienka na niego spogląda, zerwał ową czapkę z głowy i bardzo układnie się uklonił.

Tymczasem skutek zawiódł oczekiwanie. Panienka nietylko nie oddała ukłonu, ale przestraszona

zaczepką nieznanego, zapłonęła się gwałtownie, (przez co — wedle uwagi pana Kaźmierza — obrazek uległ takiej zmianie, jakby kto w złote serduszko stokrotki wetknął czerwony pączek róży), wycofała głowę z okienka, i znikła w jego ciemnej głębi.

— Szkoda! — Mruknął Pan Kaźmierz. — Spłoszyłem oną śliczną apparycję. Trzeba rzecz naprawić. Czasem dobra wiolencya, a czasem paciencya. Zażyjmy teraz tej wtórej. Powiedają, że kiedy dyabeł niemoże białogłowy na żaden lep ułowić, to zawsze w końcu weźmie ją na ciekawość. Poczekajmyż. Może i ta panienusia, z ciekawości raz jeszcze wyściubi swój aniołkowy pyszczek?

Daléj więc stał i wpatrywał się w kamienny pierścień. Czasem wodził oczami po niższych trzech piętrach kamienicy, dla sprawdzenia, czy panienka nie wygląda jakim inném oknem? A tak patrząc, dziwił się i piękności domu.

— Dalibóg, nie dom jeno templum. Że téż to ta cackana struktura nie wpadła mi jeszcze nigdy w oczy?..

Rzecz łatwo się tłumaczyła. Zajęty swoją wodną służbą, Pan Porucznik rzadko bywał w Gdańsku, a jeżeli się tam pokazał, to tylko na kilka godzin, dla przelotnej uciechy; wtedy chodził najczęściej po ulicy Długiej, która jest najludniejszą i najweselszą w Gdańsku, a choć czasem przeszedł się po innej, to wołał patrzeć na buziaki, niżeli na domy.

Dzisiaj wszakże, niemając nic innego przed

oczami, dobrze się przypatrzył «cackanój» kamienicy.

Należała ona do węższych, dwuokiennych, ale do najstrojniejszych. Oko niemogło się tam doszukać ani skrawka nagiego muru; od góry do dołu była to jedna kaskada złoceń, rzeźb, szkiełek i malowań.

A najprzód, część dolna wysuwała się do widza tarasem, (tak zwanym przez miejscowych mieszkańców Beischlagiem), na który prowadziło pięć kamiennych schodków. Taras był ubrany w kwitnące donice, i obwieszony kratką, wykutą, a raczej wydzierganą z żelaza; sploty jej pogięte w zakrętne gałązki, miały nawet wiele części suto pozłacanych, zwłaszcza tam, gdzie kowacz powypuszczał z nich liście, szyszki i jabłuszka. Pozłocił on i poręcze od schodków, oparte na dwóch kamiennych kulach, owych sławnych kulach przedgankowych, które zawsze stanowiły jedną ze znamiennych cech budownictwa Gdańskiego.

Na taras wychodziło dolne okno, zaplecione także wyzłacaną kratą, i drzwi o jednym skrzydle, dębowe, przepięte świecąciami antabami, wprawione w odrzwia kamienne, których łuk okrągły wywijał się w górę lekką igłą.

Każde z wyższych pięter przedstawiało dla oka trzy filary, przedzielone dwoma wysokimi oknami. W tych oknach już nie było zakratowań, tylko siatka z ołowianych oczek, w których szyby drobne a wypukłe nakształt kukie-

łek, błyszcząły pod słońcem, z iście brylantową rześistością.

Na pierwszym piętrze, do filarów grubych i bogatych, przyparte były posągi trzech mężów. Patrzący mógł dobrze się z nimi poznać, bo na podstawach wyróżniło ich imiona. Wśrodku, między oknami, przyobleczonego po cesarsku, z globusem i krzyżem w rękach, stał Carolus Magnus. Po dwóch bokach, zbrojni w rzymskie hełmy i rynsztunki, wspierali się na włóczniach Grachus i Machabeus. Jaka myśl kierowała rzeźbiarzem, gdy ześlubił te trzy postacie, to pozostanie jedną z tysięcznych tajemnic, które fantazja dawnych mistrzów zakłęła w stare kamienie.

Na drugim piętrze, przy filarach już dużo lżejszych i smuklejszych, białeły także trzy posągi, tu już same kobiece. Wszystkie trzy były prześliczne, chociaż — prawdę mówiąc — niebardzo budujące, bo tylko rozpuszczonymi włosami odziane. Pan Kaźmierz pomyślał sobie, że to jest zapewne Matka-Ewa, trudno jednak przypuścić, aby artysta powtarzał aż trzy razy jeden pomysł; musiały to być raczej Gracje, témbardziej, że wszystkie trzy unosiły w rękach jedną wielką plecionkę z kwiatów, która spuszczać się pod okna, całą tę część budowli ubierała w świąteczne wieńce.

Na trzecim piętrze już nie było, posągów, tylko medaljony o tłach złotych, a na nich namalowane kosze, pełne róż, winogron i dziobiących je ptaszków.

Nakoniec, nad owemi ptaszkami, wystrzelał szczyt domu, nie prosty trójkąt jak u gockich dachów, ale rodzaj liry wygiętej we dwa esy, pochylone ku sobie i związane w górze. Ze związania tego, niby klucz sklepieniowy, kręto wywijał się smok złoty, o zielonych połyskach spizu, wysuwający na powietrze swoje skrzelaste skrzydła i łuszczkowaną głowę, którą podejrzliwie zwracał ku domowi, jakby strzegł skarbów tam zaklętych.

Pod temi to właśnie skrzydłami, w środku rzekomej liry, otwierało się owo tajemnicze okienko, do którego ciągle wracały oczy Imci Pana Kaźmierza.

Oczy jego wracały, ale «apparycya» nie wracała. Pokryjomu téż zaglądać nie mogła, bo w pierścieniu okiennym nie było ani szyb ani żadnych zasłon. Raz cprawda, wydało się patrzącemu, jakby jakiś obłoczek przepłynął po czarném denku; ale, czy to było złudzenie strudzonego wzroku, czy panienka na widok szpiega cofnęła się po raz drugi, dość, że okienko pozostało pustém, a Pan Kaźmierz wielce markotnym.

Nakoniec złości go wzięły.

— Cóż u licha? Czy ja taki nieciekawo do widzenia? Czy ona znowu taka święta? Oj, będziesz ty jeszcze mi się przypatrowała, moja ty święta z fimfami! No, i to, czy nie istny ferał, abym ją dopiero dzisiaj zdybał, dzisiaj, w ostatni

dzień! A żeby tak dostać się do tej kamienicznej fortecy? Dobra inspiracja dalibóg, jeno jaki

tu assumpt wziąć? Abo ja wiem kto tam siedzi? Czy jakowe miłosierne dusze, czy srogie Menelausy?

Gdy tak sobie rzeczy rozbierał, tymczasem w głębi ulicy ozwały się kroki nadchodzącego człowieka. Był to Pachołek miejski, w ubiorze pasiastym, o przęgach granatowych i brunatnych; w rękę miał berdysz oparty na ramieniu. Szedł dosyć ospale, nie spiesząc się, może tylko dla pilnowania spokoju na ulicach, a może miał wypuszczać jakiego więźnia z wieży, albo miejskie zegary ponakręcać, bo w drugim reku niósł kilka dużych kluczy.

Pan Kaźmierz go zaczepił.

— Chodź tu sam, drabik!

- Na usługi Pana łeficerza.

— Do kogo to przynależy ta kamienica?

— Jeśli łaska Waszój Wielmożności, która?

— No ta, z figurami.

— A, ta? Oho! Zara widać jako Wasza Dostojność wysiada z za morza, kiej się pyta o taką rzecz, co każdy dzieciak u nas wie. Toć to Bursztynowy dom.

— Nie kpj chłopie. Nie widzę tu ni szczypty bursztynu. Cegła i kamień, jako u jenszych.

— Proszę ja Waszój Wielmożności, ktoby to z onego kadzidla miał domy ulepiac? I sam król Dawid, kiedy budował swoją świętą wieżę, to urobił ją z kości a nie z bursztynu, bo to rzecz zadroga, i zamało jój Pan Bóg dał na świecie, tyła jeno co u nas rośnie wedle morza, więcj niema nigdzie ani krzty.

— Za cóż tedy ten dom tak zowają?

— Za to co w nim żywię największy kupiec na bursztyny. Drugiego takiego niema w całkim Gdańsku, he! pono i w całkiej Hanzie.

— A co to za jeden zacz?

— Johann Schultz.

— Pfu! Niemiec?

— Nie ze wszystkiem. Ociec jego jeszcze nie gadał, ale on już gada i nieźle, i pono dosyć się kocha w naszych królech. Sam też sprawuje urząd miejski. To jeden ze stu Panów Rajców.

— Taki znaczny człek?

— Oj, haniebnie znaczny. U niego całkie komory pełne bursztynowych jasełek. Wszystkie Wójty i Ławniki, ba! i Burmistrze do niego chodzą. A temu sześć czy siedem roków, to sam król nieboszczyk, pan nasz Zygmunt Trzeci przysyłał do niego pisanie.

— Proszę! Czego to król mógł chcieć?

— Ludzie gadali co chce mieć tron całki z bursztynu. Aleć ja tego nie wiem. To jeno wiem, że posłaniec z Warszawy był, bom ja sam drogę jemu pokazał, właśnie aż tu, do tych drzwiów.

— A ludzki też to człek?

— Tak sobie, dosyć. Jono zawdy szkoda co pół-niemiec i pies luter.

— Aha, to on z tamtych. No, ale ty przynajmniej nie luter?

- A niechże Pan Bóg uchowa. Ja Kaszuba,

Jakób Grubasek, z dobrych Kaszubów, z tłustych Żuław.

— Jam też zara to poznał po twojój tłustej gębie.

— Dziękuję Waszój Dostojności. U nas, chwała Bogu, chleba w bród. Żeby jeno lutry nie bijały się z naszymi po ulicach, toby my mieli święte życie. Tera już kęs czasu nie było

bijatyki, to i cicho, i człek się wypasa. Co jeszcze Pan łeficerz każe?

Każmiérz byłby jeszcze chętnie zapytał, czy pan Schultz ma córkę lub młodziuchną żonę, ale sobie pomyślał:

- E! Wstyd mi wdawać się ze stróżem w takowe kordyalne konfidencye.

Rzekł więc tylko:

— Już nic. Bóg wam zapłać, mój Grubasku.

— Sługa pokorny — odpowiedział tamten, przyczęm zdjawszy swój szafirowy beret, nisko się pokłonił, i odszedł powoli, pobrzękując kluczami.

Pan Każmiérz klasnął w dłonie.

- Vivat! Jest assumpt! Pójdziem po bursztyny. Coprawda, mieszek już okrutnie chudy, aleć potargować zawdy wolno, za to na gardle nie karzą. A więc, do lin! I brać karawelle!

Rzekł, przemierzył wszerz ulicę, skoczył na taras, i ujawszy pięknie rzeźbioną kołatkę, zaczął nią bić po kawalersku we drzwi Bursztynowego domu.

II.

W Bursztynowym Domu.

Długo musiał czekać pode drzwiami. Przynajmniej naszemu gorączce, wszelkie czekanie zawsze wydawało się długiém.

Nakoniec z wnętrza, zaszemrały kroki dosyć lekkie.

— Oho! Jużem ściągnął mego ptaszka z poddaszka. A może to i nie ptaszek. Jakoś trocha ślamazarnie nóżki za sobą ciąga...

Warknął gruby rygiel, i w szparze drzwi odchylonych, ukazała się głowa, coprawda kobięca, dosyć nawet przyjemna, ale nic a nic niepodobna do tamtęj. Musiała to być niewiasta służebna, i dobrze już wysłużona; dobiegała conajmniej pięćdziesiątki. Ubrana była chędogo, w kołnierz z muślinu, prawda że grubego, ale suto nakarbowanego, (bo wtedy czy sługa czy przekupka, żadna nie ruszyła się bez kręzy) i w inderak czyli spódnice staroświecką, pękato wywatowaną koło bioder.

— Co to? — Zapytała.

— Czy tutaj kram na bursztyny?

— Ia. — Odrzekła, i rozwarła tak szeroko drzwi, że uderzenie ich o ścianę odbiło się przeciąglém echem po sieni, nadzwyczaj długiém, wyłożonej piękną, polewaną cegłą. Pod sklepieniami wisiały rogi jelenie i różne obrazy, którym jednak trudno było się przypatrzeć, bo choć owo złoto-kraciaste okno wpuszczało tam sporo światki, jednak sień była taka głęboka, że już od połowy tonęła w półcieniu.

Na samęj głębi, przez inne drzwi wpólotwarte, oczy mogły rozróżnić równie długą i głęboką kuchnię, zakończoną dwoma oknami, wychodzącymi na mroczny dziedzińczyk. Że pora była poobiednia, więc wszystko tam stało we wzorowym porządku; z półokrągłych wnęk, powyżlabianych w murze, jakieś brzuchate kociołki mrugały miedzianemi połyskami, a skośnie oparte na półkach misy i talerze cynowe, świeciły rzędem jakby tarcze.

Drzwi te zajmowały jeden z kątów sieni. W drugim kącie, wokoło grubego słupa, kręciły się ślimakiem schody, obwite przejrzystą, z orzechowego drzewa toczoną poręczą, której tralki były powyginane w najśliczniejsze palmy i chimery

Tam niewiasta wskazała, mówiąc:

- Na pierwszym treppie.

I znikła w głębiach kuchni.

Wszedłszy na kilka stopni, Każmiérz wydał przytłumiony wykrzyk; o dwa zakręty wyżej; przechylona przez poręcz, zwieszała się ku niemu

koronkowa stokrotka, i wyglądająca z niej ciekawie złota główka. Puścił się szybko ażeby ją dogonić, ale ona jeszcze szybciej mknęła, i tylko jej błękitna suknia, przerabiana w białe floresy, migąła za orzechowemi floresami kraty, wydając takie sztywne chrzęsty, jak gdyby drzewo tam szumiało.

Kiedy nakoniec wybiegł na korytarz przecinający pierwsze piętro, już ona śmignęła po-za majaczące przezrocza innych schodów, co nowym ślimakiem wywijają się w górę. Wielką miał ochotę i tam za nią popędzić, ale w tej chwili odemknęły się jedne ze drzwi korytarzowych, i ukazała się w nich posępna głowa młodego człowieka, który spytał:

— Kto tutaj chodzi?

— To ja. Wedle bursztynów.

- A! To tam, Wasza Dostojność, naprzeciwno.

Więc Kaźmierz skierował się do drzwi z naprzeciwna, i do jakich drzwi! Gdyby nie półciemność panująca w korytarzu, gdyby zwłaszcza nie gwałtowność z jaką wszystko zwykł czynić, byłby mógł zgubić oczy w tej wikłaninie wstęg, powojów i skrzydlatych genjuszów, co się tam roiły na tle z jasnego dębu. Ale za otwarciem, piękność drzwi gasła jeszcze przy piękności komnaty, zatrzesionej także dębową snycerszczyzną. Z misternych, czworobocznych przegródek sufitu, wyglądały rzeźbione głowy (ozdoba ulubiona polskim budowniczym). Przy ścianach, ciągnęły się sławne Gdańskie szafy, o kulistych nogach, o wrotach bajecznie dłu-

wanych, o szeroko przysiadłych dachach, istne pałacyki dla Dryjad i domowych Larów. Zastawiona takimi gmachami komnata, wydawała się mocno ciemną, témbardziej że była wązka w stosunku do swojej wielkiej głębokości. Na samym jej końcu dopiero, świeciły dwa okna, te właśnie, między którymi na zewnątrz stał Carolus Magnus, a pod którymi tutaj ciągnął się stół ogromny, zarzucony mnóstwem świderków, pilników, baniek i miseczek.

Przy stole, w dużym poręczowym krześle siedział mistrz Johann Schultz. Miał na sobie kurtę z kasztanowatego falendyszu, o małym karbowanym kołnierzu i bufiastych rękawach; szare pludry, zielone pończochy, i trzewiki z pęczkami wstążek. Na długawych, szpakowatych włosach nosił mały czarny birecik, bo wtedy i w domu nakrywano głowę.

Siedział pochylony do światła, i pulchnymi rękami urabiał maleńkiego Amorka z bursztynu. A nie tylko ręce ale i twarz miał pulchną, i cała jego osoba jaśniała okazałą tuszą, tak że Kaźmierz pomyślał sobie:

— Jeślicy tamten Grubasek, to ten cały grubas.

Ale ta grubość była przejrzystsza, wykwintniejsza. Rysy nawet musiały być niegdyś bardzo ładne, dopóki długie lata siedzącego życia, i długa zażyłość z kuflem, nie zaokrągliły ich zbyt mocno.

Podczas gdy Kaźmierz czynił w duchu takie uwagi, mistrz Johann oddawał pięknym za

nadobne. Spozrzęglszy świetny wygląd wojskowego, pomyślał sobie:

— Oho! Może jakowy utracysz? Będzie zeń dojrny kuntman.

Przyczem, wstawszy powolutku, skłonił się z powagą, i patrzył na gościa w postawie wyczekującej, bo wielcy kupcy owych czasów, byli tacy, jacykami są jeszcze dziś na Wschodzie, uprzejmi, ale małowólni i nie narzucający się z towarem. Wszelką sztukę «reklamy», wszelkie przechwałki z bębni, pozostawiali krzykaczom jarmarczonym, a sami twierdzili, że czego kto naprawdę potrzebuje, to sobie zawsze znajdzie. Niewiedzieli, prostoduszni! że można ludzi kusić i na to, czego im nie trzeba.

To też i w ich składach nic nie stało na pokaz, nic się nie uśmiechało z po-za szyb kryształowych. I tutaj oto, któż byłby mógł odgadnąć, co ta surowa komnata ukrywa w swoich szczelnie pozamykanych tajnikach?

Każmiérz pierwszy zaczął:

— Jutro wyjeżdżam, chcę zawieźć doma gościniec, z téj racyi przyszedłem do Waści, panie kupiec.

— Toś Wasza Miłość richtig trafił. U nas grassuje przysłowie: Zawiózł panek do Gdańska pół-szkupek pszenicy, Za to przywiózł bernsztejnu aż pół rękawicy.

— A! Paradnieś to Waść przycytował. — Rzekł gość, któremu bardzo się podobała krotochwilność gospodarza. — Obaczmyż co ja mam

nasypować do onéj rękawicy, choציaby do jednego palca w gantelecie?

Kupiec tedy zaczął jedną po drugiej otwierać owe zaczarowane szafy. Tam na głębokich policach, stały rzędami bursztynowe posążki, czarki, kropielniczki, solniczki, ampułki. Były i przedmioty niby innego porządku, jako to: srebrne puchary i talerze, kryształowe szklenice i nalewki, ale wszystko nasadżane maskaronami albo figurkami z bursztynu; były i krucyfiky hebanowe ze słonecznym Panem Jezusem, i świątyńki z kości słoniowej, gdzie bawiły się różne żółciuchne osóbkі.

Potém kupiec wyciągnął płaskie szuflady, gdzie leżały rzeczy drobniejsze ale niemniej kosztowne, bo z najbielszego bursztynu wycinane, i złotemi oprawawami niewidzialnie podszyte. Spoczywały tam na czarnych axamitach, naszyjniki, krzyżyki, zausznice, alszbanty, i wszelkie inne figle białogłowskie, wyrobione tak cieniuchno jakby z wosku. Gdzieindziej znów, guzy do żupanów, szpinki do kitek i kołnierzy, kule i różne wisiory do rzędów końskich, kameryzowane gdzieniegdzie upstrzeniami z pereł i drogich kamyczków. Tu już Pan Kaźmiérz zaczął tracić głowę. Mieszek jego — coprawda — piszcział srodze na haniebne ceny jakie mistrz Johann obojętnie wymieniał, ale Kaźmiérz nie okazywał żadnego zmieszania, ani się owym cenom dziwował; a czynił tak dla dwóch powodów; najprzód chciał koniecznie przedłużyć rozmowę, w nadziei że panienka z okienka zajrzy nako-

niec do komnaty; powtóre, chciał się nasycić, jeżeli nie posiadaniem, to przynajmniej oglądaniem tyłu przecudności, bo nasza młodzież wojenna zawsze kochała się w «splendorze». Więc wszystko po kolei brał do ręki, najdroższe rzeczy targował, a jeśli nie sypał złotem, to sypał hojnie i szczerze pochwałami, czém niezmiernie sobie ujął gospodarza, bo Majster Johann był jeszcze więcej kunsztmistrzem niż kupcem.

Widząc, że młodzieniec najpilniej ogląda figurki niewieście, odezwał się z uśmiechem:

— He he! Mam ja tu coś, echt dla pana officyjera, jeno tam jeszcze grubszy koszt, bo to mój meister-stück.

Tu wysunął na środek pokoju swoje wielkie krzesło. (Z dębu rzeźbione jak wszystkie inne sprzęty, a wybite skórą z Korduby, o tle dereniowém i złotych wyciskach). Potém z kieszeni wyjął kluczyk, a wtedy Kaźmiérz spostrzegł nie bez podziwu, że pod siedzeniem jest ukryta szuflada z misternym zameczkiem.

— Przebóg! Czego téż te Niemcy nie wymyślą? — Zawołał. — A to, bez urazy, możnaby o Waści powiedzieć, co się zawdy o sknérze powie, że: «siedzi na swoich skarbiech.»

— Ia. Ia. Siedzi. Czego niema siedzieć, kiedy skarby są? — Odparł bez urazy gospodarz, i wyciągnąwszy szufladę, zaczął przeglądać jéj różne przegrody. W jednych, nakształt kiełbasek, wiły się długie sakiewki, przez których dziergarkę przeglądały rulony hollenderskich dukatów. Gdzieindziej były drobne łańcuszki i paciorki.

— To — mówił — różne andenkieny po mojej nieboszczce.

- Waść wdowiec?

— A wdowiec. Już dwie lecie z górą minęło jak my ją pogrzebli.

Nakoniec, z najgłębszej skrytki, wyjął długie puzderko, gdzie na szafirowym atłasie ukazał się bursztynowy sztuciec. Trzonki u wszystkich trzech narzędzi były wyrobione w kształcie mitologicznych posążków, a przytém obmyślone z podwójnym dowcipem; i tak, po jednej stronie bożek Mars, gorejącej barwy, trzymał nad ramieniem wzniesiony mieczyk złoty, który zarazem tworzył i klingę noża. P drugiej stronie Neptun, trochę szarawy, trzymał trójzęb, którego złote szpikulczyki tworzyły widelec. Najwięcej Panu Kaźmierzowi podobała się łyżka; była to stubarwna, okrągło-wklęsła muszla, z której wychodziła bogini Wenus; a bursztyn użyty na tę postać, przeświecał taką mlęczną białawością, że wydawała się naprawdę istotą z morskiej piany.

Pan Kazimiérz przyglądał się tój niebiance z iście pogańskim nabożeństwem. Niemniej pilnie jój się przyglądał i własny jej twórca, a nawet w tём jego patrzeniu była jakaś lubość taka daleka od czystego arcyzmu, że młodzieniec spostrzegłszy jego usta lópkó rozchylone jak u ryby, pomyślał sobie:

— Ej, ty niemiecki Sylenusie! Mimoć latek, ona bogini jak widzę, dobrze cię jeszcze za łeb dzierży.

Jednak uwagę tę schował dla siebie, a na głos powtarzał:

— Mirabilia! Godne królewskiego stołu!

— A ja zawdy powiedam, że to stworzone dla was Panie Officyjerze, bo jako się widzi z moderunku, Wasza Miłość służyysz i Marsowi i Neptunowi, a jako się patrzy z oczu, to takóž...

— I Wenerze. — Dokończył Pan Kaźmiérz.— Co prawda to prawda. Służyć ja tój bogini z ferworem, i zabrałbym Waszecin sztuciec jeszcze dzisiaj, cóž kiedy w sepecik nie włózie.

Mówiąc to, wziął jedną ze swoich rękawic, i chciał niby wsunąć w nią puzdro, które oczywiście nie mogło się tam zmieścić.

Obaj się roześmieli, a podczas kiedy kupiec zamykał napowrót szufladę, Kaźmiérz mówił z niekłamaném zachwyceniem:

— Wielki z Waści magister w tём rzemiośle. Wié to cała Hanza, i cała Korona. Mnie nawet gadano, co Król Jegomość nieboszczyk do Waści pisywał. Czy to może być?

— A może być, kiedy było. Ho! Nasz Pan Miłościwy, to nietylko był mądry König, ale i mądry Kunstmeister. Inne królowie, kiedy się sfatygują, to wyprawiają sobie Turnyery, szlichtady i różne luszyki. A król Zygmunt nie,— jeno siadał wóczas do warsztatu, i dłubał sobie we złocie albo srybrze, to kubeczki, to łańcuchy, to Monstrancye, i to nie dla żartu, ale rzeczy fein, coby się ich i prawy Meister nie powstydał. Owóz jednego dnia, przysłała mu takowa chęć, aby sobie zrobić trinckbecher z czystego bernszteinu, jeno

niewiedział zkąd wziąć tej substancyi, ani jak się to robi? Kazał tedy pisać do mnie, abym ja mu przysłał kawały jakie mam najlepsze, i takóž w piśmie zapytował o nasze niektóre majsterskie sekreta. Jam tedy posłał, i z sekretów onych się spuścił, jako wierny sługa i poddany.

— I cóž król, zrobił ten kielich?

— Gadali mi panowie co płynęli ode Warszawy, że zrobił, i że tam wygrawował swój osobisty konterfekt. Mówili przytém, że i moim sekretom był rad.

— Fiu! Fiu! To Wasze Panie Konzul, w korespondencyach z królami! Felicytuję.

I Pan Kaźmiérz spojrział na niego innémi oczyma, i odtąd zaczął go tytułować już nie «panem kupcem,» ani «majstrem,» ale «Panem Konzulem.» (Bo tak u nas niekiedy z rzymska chrzczone Rajców, którzy byli niezmiernie radzi owéj nazwie).

— Co tóz to tych precyozów tutaj! — Mówił oglądając się do koła. — Jakem żyw, jeszcze nigdy tego cudownego electrum tyle naraz nie widział. Czy i w tój szafie takóž?

— Oho! Abo to tylko w tój szafie? I abo to tylko w tój komorze? Ja na każdym sztocku mam izbę pełną tego, i cały strych takż pełen.

— Nie może być! Nie uwierzę, chyba że obaczę. Pokaż mi Waszeć wszystko bez excepcyi. Ja już może nigdy tu w Gdańsku nie będę, to niechże per omnia tempora napasę nos i oczy tą pachnącą ambłą.

— A no, czemu nie? Jeśli Herr Officyjer ciekaw, to pójdziem na górę. Będzie w czém wybierać.

Tu gospodarz zdjął ze ściany klucze, i otworzywszy drzwi komnaty, wypuścił naprzód Kaźmierza, który wyszedł tryumfując w duszy:

— Aha! Postawił ja-ci na swoim. Jak pocniem cały dom lustrować, toć przecie nam się ta biała myszka nie wyśliznie?

Zaraz w korytarzu, widząc owe drzwi, z których posepny młodzieniec wskazywał mu drogę, Pan Kaźmiérz zapytał:

— A tu co? Takż skarbczyk?

— Nie, to warsztat.

I kupiec otworzył drzwi do izby wązkiej a głębokiej; rozciągała się ona po-nad kuchnią, i dwa jój okna równieź wychodziły na mroczny dziedzińczyk. Ściany były nagie, pod ścianami ciągnęły się stoły z prostych desek. Przy stołach pracowały zamorusane chłopaki.

— Oni — mówił kupiec — obrabiają z grubego; ja dopiéro potém biorę do forszneidunku.

— A oto — rzekł wskazując na młodego człowieka o posepnej twarzy, który stał pod oknem,— oto mój Altgesell, człek tegi, Kornelius Storm. Z Ollendrów on, z narodu pracowitego. Będzie to kiedyś takż Meister, jeno musi jeszcze dobrze fałdów przysiedzieć.

Kornelius pokłonił się, a potém powiedział:

— Herr Meister, była tu frajlein Hedviga, i pytała o Pana Meistra.

— Nic pilnego. Ta fryga musi co godzina

cały dom obieźć. Niech sobie czeka. Teraz mam gościa, i to rarytnego, takiego co nietylko na rzemiośle wojenném, ale i na wszelakiém inném się zna.

Tak to nasz kawaler prędko potrafił zawojować Pana Rajcę.

Gdy wrócili do korytarza, i zaczęli wchodzić na schody, Kaźmierzowi błysnął znowu nad poręczą jakiś krążek biały jakby kręza. Jednakże u wierzchu nie znalazł nikogo.

Rozkład wszystkich piąter był jednakowy; wszędzie tylko dwa, niezmiernie długie, przeciwległe sobie pokoje, rozdzielone korytarzem, przez który przebiegała się śruba schodowa. Korytarz taki, biegnąc w poprzek domu, niemógł posiadać właściwych okien; czasem jednak, na wspanialszych piętrach, — jak tu naprzykład — był nieco rozświecony przez otwory, wrycięte w wewnętrznych ścianach, a które od strony pokoju, zasuwano wedle woli, ruchomą deszczułką.

Na drugim piętrze, w komnacie od ulicy, stały znowu szafy ogromne, ale już skromniejsze, a w nich znowu krocie przedmiotów bursztynowych, ale już mniej kosztownych. I te jednak były prześliczne, i Kaźmiérz zaczął już na dobre targować pewien kubeczek z rycerskimi godłami,

co wedle słów jego: «przydał by się dla Pana Oćca jak ulał.» Przed końcem targu wszakże, oświadczył że «musi jeszcze wziąć na medytację, i że tu grzech coś rezolwować, dopóki się nie zlustrowało wszystkiego.»

Wrócili więc na korytarz, gdzie kupiec sam wskazał drzwi przeciwne, mówiąc:

— Tu mój szlaf-zimmer.

I wprowadził gościa do komnaty, cudniejszej niżeli wszystkie inne. Wprawdzie okna jęj wychodziły na dziedzińczyk, ale tu już przy większym wyniesieniu, światło było mocniejsze, i skrawek lazurowego nieba rysował się za szybami. Zresztą, ktoby tu miał ochotę patrzeć na resztę świata? Każdy wołał patrzeć w koło siebie. Było na co. Nogi grzęzły w pstrokatym Smirneńskim dywanie. U drzwi i okien wisały, chodzące na kółkach, mięsiste zapony, tak zwane «huisverts,» gdzie były wyszyte w tkaninie rozmaite obrazy, przeważnie zielone, bo wzięte najczęściej z życia myśliwskiego. Na murach, w ogromnych dębowych obramowaniach, rozpięły się sztywnie flamandzkie kobierce, a na nich też ogromne wytkane obrazy, z figurami rycerzy, pięknych dam i bogów. Poniżej, stały nietylko szafy Gdańskie, ale i śliczne szafeczki Toruńskie, wykładane mozaiką z drzewa, którego słoje tworzyły najcudowniejsze rysunki. Były i stoły, i krzesła, i półeczki, o wyrzynanych brzegach, o skręcanych nogach. A na tych stołach i półkach, różne rzeczy ciekawe; tu srebrny półmisek ze dzbanem, ówdzie

Biblia w cudownej oprawie z emaljami, a wszędzie pełno tych pękatek Delftyjskich fajansów, których tło białe jest nazyłkowane błękitnymi albo czerwonymi wzorkami. Było też dużo i fraszek niewieścich. Z boku, nad wszystkiem królujący, piętrzył się pod ścianą wspaniały pawilon, po trzech stronach zasunięty złotą zieloną makatą z Arrasu.

Pan Kaźmierz rozglądał się, kręcił głową i mówił:

- Proszę! Proszę! Waszecina kamieniczka, druga królowa Bona. A toż ona summy Neapolitańskie połknęła.

Kupiec zaś powzdychiwał, i powtarzał:

- Cóż, kiedy pustki? Tu przez dwadzieścia lat gospodarowała moja biedna Dorotea.

Kaźmierz spostrzegłszy w tej chwili klęcznik, z bursztynową Figurą Matki Boskiej, zdziwił się i zapytał:

— A toć to chyba nie była dyssydentka, kiedy widzę tu takie świętości?

- A nie. - Odparł z przekąsem gospodarz. - Katoliczka była, i zażarta. Dobrze mi dojadła swoim wiecznym śledziem i Litanyami.

- Remomeruję Waści, że i ja katolik i praw.

Gospodarz odpowiedział pół-szyderczo:

- Pokornie Waszą Miłość przepraszam. Ale my tu we Gdańsku nie owijamy tej rzeczy w bawelnę; jako kto wierzy, tak i gada. U nas tak.

Potem znów nastroiwszy smutny wyraz twarzy, utyskiwał:

— Otóż, ja tutaj od roków dwóch, i więcej, mizerny pustelnik. Ale — dodał z tajemniczym uśmiechem — niedługo już tego będzie... Niema Lei, to się znajdzie Rachelka.

Poczem, wyprowadził gościa, który tymczasem kłął w duchu:

— A ty paskudny heretyku! Niedość że nie respektujesz postnego śledzia, jeszcze tej panniusi chcesz napędzić macochę? Boć ta frajlein Hedwiga musi być jego dziewczka, tak mi się precz widzi.

Trzecie schody były już dużo węższe i mniej ozdobne, a w korytarzu, pozbawionym ściennych wyglądów, panowały takie ciemności, że Kaźmierz niemógł dopatrzeć żadnej kręzy. Zdawało mu się wprawdzie, że słyszy jakieś szmery, ale musiało się to tylko zdawać, bo na trzecim piętrze nie znalazł nikogo.

Tu kupiec pokazał mu od ulicy, komorę o ścianach nagich, gdzie stały szafy ogromne ale proste, a w nich nic, tylko tysiące i miliony bursztynowych paciorków; jedne już nanizane w rzędy i różańce, inne luźno zsypane do szufladek; tu grubsze, jakby przezroczyście orzeszki, tam drobne jakby złote krupy.

Białogłowa, byłaby godzinami całami przebierała w tych perlach; dla Oficera, niewielka była tu zabawa. Prędko się też ztąd wyniósł, a widząc jak otwarcie gospodarz mu wszystko pokazuje, sam przystąpił do drzwi przeciwnych,

i już

ujął za klamkę; aliści tu właśnie śmiałość jego nie w porę wypadła; mistrz Johann przyskoczył zapézony, przytrzymał jego rękę, i zawołał:

— O, tu niemożna! Tu frau-zimmer.

Każmiérz cofnął się z pańską uprzejmością, przepraszając:

— Ekzuczuj Waszeć ignorancyę. Anim wiedział co tu za sanktuarium. Tu pewnie żywie panna Hedwiga, Waszecina dziewczka?

Mówił tak, chcąc nareszcie się dowiedzieć kim jest naprawdę owa «frajlein»? Ale jego dyplomacja na nic się nie zdała; kupiec nachmurzony wcale nie odpowiedział. Natomiast wskazał nowe schody, i rzekł niechętnie:

— Teraz, już tylko strych. Czy Wasza Miłość jeszcze ciekaw? Tam już nic nie trzymam jeno bernsztein surowy, a wysoko iść.

— Co, wysoko? A toć właśnie w to mi graj! — Zawołał Każmiérz. — Jaciem jeszcze niedawno latał jak opętaniec po linach i masztach. Bywało, nieraz pół dnia siedzę w Bocianiém gnieździe. Im wyżój, tém człeku weselój.

Mówiąc to, puścił się co żywo na schody, istotnie drabiniaste. Musiał się tam w ciemnościach ktoś ukrywać, bo tuż przed nim zatupotały jakieś nóżki, a przytém tak mocne szelesty, że nawet zasapany Pan Majster zaczął głowę zadzierać, i pytać niespokojnie:

— Co tutaj tak fiuka? Czy Hedvich znowu sobie kota chowa? Ta dziewczyna zawdy coś musi wymyślić.

A Każmiérz śmiał się w duchu, i szeptał sobie:

— Głupiś Asan. To nie kot umyka, jeno mysz, a jeśli kto tutaj kota personifikuje, to chyba ja, co się za nią upędzam po całej twojój chałupie.

Strych był także na dwie części rozgrodzony, ale tylko lekkim przepierzeniem. Tu i tam, stały ogromne skrzynie, zamknięte na kłódki.

Nie wszystkie jednak znalazły się w porządku. Gospodarz zajrzawszy do tylnój przegrody, chwycił się za głowę, i jął krzyczeć:

— Herr Iesu! Paka roztworzona! Już tu znowu któryś chłopak mi plądrował.

I klnąc półgłosem, (ale na ten raz już w czystej niemieczczyźnie,) zaczął najprzód zamykać wieko, potém szukać zarzuconój kłódki.

Tymczasem Pan Każmiérz zajrzał do drugiej przegrody, gdzie świeciło niewielkie, okrągłe okienko, i tam, o radości! dostrzegł nakoniec swoją «apparycyę.»

Stała ona w najciemniejszym kąciku, szczuplutka, niebieska, i cała wystraszona, jakby Chochlik domowy, którego czarnoxiężnik uwięził w zaklętém kółku.

Pan Każmiérz grzecznie się zbliżył, zdjął czapkę, i z pięknym ukłonem rzekł:

— Po raz wtóry, składam Waćpannie moją rewerencyę.

Zarumieniła się i dygnęła.

On zaś ciągnął dalej:

— A czemuś to Waćpanna niechciała mi się kłaniać kiedym był na dole?

Panienka, której szybko wracała przytomność, wyskoczyła z ciemnego narożnika, i odparła, figlarnie przechylając główkę:

— A czemuś to Waćpan kłaniał się takowój której nie znasz?

— Boś Waćpanna patrzyła na mnie.

— Abo to prawda? Jam patrzyła za tém weselem co ciągnęło mimo naszego domu.

— Teraz ja znowu powiem: abo to prawda? Nie mogłaś Wacpanna patrzeć za tém weselem, kiedy już było na trzeciej ulicy.

— Tam z dołu już go nikt nie widział, ale jam jeszcze widziała. Ztąd widać dziesięcioro ulic. Przyjrzyj-no się jeno Wacpan a dasz wiarę.

Każmiérz wetknął głowę w okienko.

- A prawda. Co tu tego widać! Ulic, domostw, kieby cacek na stole. Ale co mi tam po tém, wołę z Wacpanną gadać. Ładne było wesele, co?

— Ach! Jam jeno sobie myślała, daj mi Boże nosić taką suknię na mojem weselu.

— A to dziw, jak Pan Bóg te same akurat chęci nam zsyła! Bom i ja sobie myślał: Niech-no się tylko żenię, a moja panna musi mieć punkt w punkt podobnusięńkie obleczenie.

— To wiesz onę pannie.

— Czego? Takowego męża?

— Nie, takowego płaszcza i ukoronowania.

Zaczęli się śmiać i było im bardzo wesoło, kiedy nagle na tę wesołość spadła chmura: mistrz Johann zajrzał do przegrody, i mocno brwi naciągnął.

— Co ty tu robisz, Hedvich?

— Ja? Ja tu przyszłam aby się popatrzeć na ono precudowne wesele.

A Dobrodziej widział?

— A widziałem-ci! — Odrzekł z pogardliwem wzruszeniem ramion. — Jakoż nie miałem wstać i spojrzeć, kiedy szli z takimi pieszczkami, coby i umarłych pobudzili? Widno, jakieś uparte karliki, po staremu święciły swój sakrament.

— Aha! — Rzekł Każmiérz. — Więc to były gody wedle starego obyczaju?

— A tak. U nas w Gdańsku dawniej, wszelka Panna Młoda musiała się tak wycudaczyć. Ale jak przyszła nasza wiara, tak i zdmuchnęła te błazeństwa. Bo i do czego to podobne, przebrać jakąś mödchen za królowę, kiedy ona właśnie ma wiedzieć, że nie będzie w domu królową, jeno pierwszą sługą swego męża?

— A wszelako, — rzekła przymilając się Panna Hedviga, — jak będzie mój szlub, to ja się tak przebiorę. Dobrodziej pozwoli? Ej, pozwoli!

— Nie pozwolę. — Odparł twardo. Ale widząc jak panienka zmartwione oczy spuszcza, i już do nich fartuszek przytyka, zmiękł nagle.

— No no, nie lamentuj Hedvich. Obaczmy jeszcze. A teraz lepiej zejdz do kuchni, pomyśl co już nie długo czas na mój podwieczorek. Zastaw mi go na beischlagu.

Panienka potoczyła w koło wzrokiem zasmuconym; widocznie żal jój było ztąd odchodzić. Jednakże krótko się wahała; jeden dyg, drugi dyg, i zaczęła zlatywać po schodkach z takim chrzęstem sukni, jakby wichur się tam zakręcił.

— A to się Panu Bogu stworzenie udało! — Zawołał Pan Każmiérz. — Nie dziewczka jeno marcypan. Musi w domu Pana Konzula być konkurentów huk?

Pan Konzul najężył się jak puchacz, i z ukosa patrząc na młodzieńca, odpowiedział:

— U mnie w domu niepotrzebne konkurenty, bo dla Hedvigi mąż już obmyślony. Panu Każmiérzowi nie podobała się ta wiadomość.

— Czy tak? — Rzekł z przekąsem. — I cóż to za jeden, ów obmyślony fenix? Czy także gatunku kupieckiego?

— Tak, Mości kawalerze, i to najlepszego, bo to ja sam.

- W imię Ojca i Syna... Jakoż to może być? A mnie się przywidziało, że to Waścina córka?

— No, niby tak... Ona respektuje mnie jak oćca, ale ja nie żaden dla niej ociec, ani ona mi żadna córka. To dziecko wzięte z litości na wychówek.

Pan Kaźmiérz krzywo się spojrział, i przez zęby wycedził;
— Hm! Piękny to chrześcijański uczynek, jeno go sobie Waśc sowicie własnemi rekoma płacisz.

— Co chcesz, Mości Officyjerze? Odbierać swoje długi, nie żaden kryminał. Wychowała się ta dziewczka moim sumptem i fatygą, niechże mi za to wszystko jako żona odsłuży. No, i co jój za krzywda? Będzie panią, jakich niewiele w Gdańsku.

— Prawdać i to... in articulo fortuny, jest racya, ale zresztą... Ha, może jój właśnie te luxusy do gustu? Pewnie to jaka mizerna sierotka?

Tu kupiec odparł dość wyniośle:

— Niewiem ja czy mizerna, i niewiem czy sierota. Może jaka Wojewodzianka? Może jest u was jakowyś wielki pan, coby oddał całe swoje senatorstwo za odzyszczenie tój dziewczki? Jeno niewiē że ona u mnie, a ja niewiem gdzie jego szukac.

— Co Waśc gadasz? Jak Boga kocham, nic a nic nie rozumiem.

— A bo to cała historyja... To jest dziewczynina odbita z jassyru. Naszli my ją na Rynku Lwowskim.

— Jezus Maryja! Józefie Święty! I kiedyż to było? Temu lat piętnaście? Po wiktoryi Pana Koniecpolskiego pod Martynowem?

— A tak! Właśnie wonzas. Ale jakżeś to Waszmość utrafił tak richtig w datę?

— A bo i ja wtedy byłem, jako małe chłopię, zabrany w ten jassyr! I to jeszcze z siostrą nieduzą. I mnie ociec i matka naleźli na Rynku Lwowskim, ale onęj siostrzyczki już nie odnaleźli. Przepadła, jak kamień w wodę! A może ta Panna Hedwiga, to akurat ona? Co my jój się naszukali po świecie! Co my przetrzęśli miast i wsiów! I nic!... A teraz oto... Ach, może to sam Pan Bóg mnie tu nagnał? A tożby się Pan Ociec rozradował! Oj, czemu tēz to Pani Matka nie doczekała tēj godziny?

I chwycił się za skronie. A tymczasem kupiec zdumiały podnosił ręce i powtarzał:

— Herr Gott! Herr Gott! A to naprawdę byłby cudowny casus!

Obaj od wzruszenia zamilkli.

Nagle Kaźmiérz zaczął go trząść za ramię.

— Ależ gadaj Waśc wszystko co wiesz o tēj dziewce! Niechże ja wysonduję czy to Krysia czy nie Krysia? Gadaj, bo mnie już emocya zadławia.

— Za pozwoleniem... — Stęknął kupiec, wysuwając się z pod żelaznej ręki wojskowego. — Zaraz... opowiem wszystko dokumentnie, jeno tu na strychu jakoś nam nie głaźno... Może zejdziemy do komory? Abo jeszcze lepiej na beischlag? Już dzień roboczy skończony, ja zawdy sobie wieczorem na chłodku siaduję, tam będzie nam najlepiej poszprechować.

— Gdzie chcesz Panie Radny, choציaby i w lochu, jeno mi zdejm ten kamień z serca.

I zaczęli co prędzej schodzić.

Kupiec jednak, mimo «emocyi,» zajrzał jeszcze do kazdēj komnaty, aby się przekonac czy wszystkie szafy dobrze pozamykane, a potēm wpadł i do warsztatu, dla sprawdzenia roboty dziennēj.

Tymczasem Pan Kaźmiérz zbiegał.

Już ledwie kilka stopni miał do zejścia, gdy spostrzegł w sieni brzeg niebieskiej sukni, wystający z otwartych drzwi kuchennych, i usłyszał głos Panny Hedwigi, która mówiła z uniesieniem:

— Ach, Mina! Mina! Co to za kawaler! Jeszczem jak żyje takiego nie widziała! A toć anioł z nieba!

— E! Co mi za anioł, z wąsami? — Sarknęła w głębi kuchni Wilhelmina. —
I taki na gębie osmalony, jakby z dyablami w piekle przy smole kucharował.

— Ach, nie gadaj tak, Mina... Powiadam ci, anioł. A jaki galant w dyskursie! Bo przyszło i do dyskursu. Ja chciałam jeno mu się przypatrzeć, więc wyleciałam na schody. A tu on, z Dobrodziejem, zaczyna iść na górę. Więc ja hyc, uciekam. A oni precz coraz wyżej, aż pod dach. Jak mię tam przyparli do ściany, tak już i nie było gdzie uciekać. Ale się fortunnie stało. Gadał mi takie śliczne rzeczy... na ten przykład, że jak ja co pomyślę, to zaraz i on musi to samo pomyśleć.

Tu Wilhelmina zaśmiała się i rzekła:

— Ej, żeby to tak był Freibitter, a porwał na swoją Freigatkę, toby panienska z nim pojachała na morze, co?

— Ojoj! Na koniec świata! Do Indyjanów, do Ameryków, gdzieby jeno chciał!

Tu okręciła się na wysokim trzewiczku, i nagle spostrzegłszy Kaźmierza schodzącego z ostatnich stopni, cała stanęła w ogniu.

On wpatrywał się w nią dość długo, ale tym razem poważnie, i ujawszy jój rękę, zapytał:

— Powiedz mi Wacpanna, ile tobie latek?

— Na siedemnasty.

Uderzył się w czoło, szepnął:

— Owóz tedy, nie!

Poczém rękę jój przycisnął do piersi, i znowuż owinął ją spojrzeniem, ale na ten raz już ognistém.

W téj chwili załopotalo po schodach ciężkie zstępowanie Pana Majstra. Panienska furknęła do kuchni, Kaźmiérz zaś raz jeszcze przeciągnął ręką po czole, i szepnął:

— Nie, to nie Krysia. Krysia miała cztery lata jak nas wzięli, toby już teraz miała kole dwudziestki. A może ta dziewczka kłamie? Ej, chyba nie. Młodziesie to. Jabym na oko i piętnastki jój nie dał. A przytém i włos jenszy,

i buzia. Tamta była kieby Cyganeczka. Ach nie, to nie Krysia. Już ona nigdy się nie najdzie.

I westchnął.

Jednak smętność nie przylegała na długo do jego zuchowatěj duszy. Więc zaraz się uśmiechnął, i dokończył;

— Że nie siostra, to nie. Ale staremu się nie przyznam. Niech sobie myśli że siostra. Łacniej mié będzie w domu cierpieć. I ona łacniej przyjdzie do konfidencyi.

Właśnie Majster Johann go zachodził, i drzwi otworzywszy, z pięknym ukłonem przeprowadzał:

— Proszę Waszą Miłość na beischlag. Hej! Słyszysz tam Hedvich? Przynaszaj nam tu kufle!

III.

Na złotym ganku.

Na tarasie, wzdłuż Kraty, pomiędzy zielenią, biegły dębowe ławy o rzezanych oparciach. W pośrodku, wznosił się stół okrągły, raz na zawsze już wmurowany, i wyrzynięty z tegoż samego szarego granitu, co i olbrzymie przedgankowe kule.

Gdy siedli, Majster Johann obejrzał się po ziółkach, które do koła pachniały z doniczek, urwał listek, i ssąc go w miękkich wargach, zaczął powoli mówić:

— Nie wieleć ja wiem, ale i to jest coś. Owóz, trzeba zacząć od téj biednej Dorotei. Moja żona była z pod Przemysła.....

— A! To z moich stron. — Podchwycił Pan Kaźmiérz. — Ale. cóż u Boga, na jakiz manier nasza Przemysłanka, tutaj się Waszeci napatoczyła?

— Nie tu, jeno tam. Trza wiedziéć Waszmości, że my, wielkie kupce Gdańskie, mamy

du-

zo konszachtów z Leopolem, bo tamtędy droga na handel z Lewantem. Ja teraz, to tam tylko wyprawuję agenty, ale za młodych lat, nieraz bywało, jadę sam. Tam właśnie wzięła mi Dorotea w oczy.

— A gładka była?

— A juści, to już keine gadanie. A po co by ja ją wziął?, Jam tu mógł dostać bogatęj, ho ho! i jak jeszcze! Ale dla mnie zawdy co schöne, to kunsztem pachniało. Gładka była. To jedno téż tylko miała. Ha no, była i dosyć dobra, acz — jak to zawdy wasze niewiasty — trocha za harda. Przytém nie dała mi nijakiej konsolacyi. Ale była uczona; czytać, pisać, ani się zająknęła, powiedam Waszmości, moje Standbuchy to tak trzymała, jakoby Rathauzowy secretarius. Cóż, kiedy w domu deserta Arabia! Mnie to było ciężko, a już ona, to dzień i noc lamentowała za kinderkiem. Tak zeszło z jakie pięć lat. A właśnie umarł jój Fater. Dużo to narobiło nam gomonu. Dorotea nie wychodziła ze łzów, a jam był zły, bo miała dwie siostr za mężami, a te miłe szwagry chciały nas okpić. Fortunka po tym oćcu i tak mała na śmiech, a oni jeszcze chcą i to rozdrapać. Żona precz gadała: «Oj, żebym ja tam była, tobym nie dała ciebie skrzywdzić».

A jam widział, że jój się chce w swoje strony, i że jój się chce jeszcze starą matkę obaczyć, i w tym frasunku ją zrekonfortować. A sam wonzas nie mogłem jachać. Ale właśnie tam jachał mój brat, Michael. Możesz Wasza Miłość słyszał o Michaelu Schultzu?

— Tak, coś... To był morski człek?

— Ale gdzież tam! Nigdy. To był sławny Meister od zegarów, taki sławny, co nie tylko w całej Hanzie miał reputancyę, ale i Cesarz Rudolf bierał od niego horologia, i z Paryża o nie pisano.

— Więc ten brat miał jachać do Lwowa?

— Ia. Tedy ja mówię: «Dorotea, pojedź ty z Michaelem, obaczysz jeszcze starą matkę, i siostrom się nie dasz odrwić». A ona całuje mię po rękach. Tandem, pojachali. Atu w jaki miesiąc potém, straszne rzeczy gadają ludzie: jako tam wpadli Tatarowie, i pod Leopolem już plądrują. Tedy ja drzę o brata, i także téż o moją Dorotę. A tu po jakich dwóch miesiącach, są! Wracają zdrowi, żona przywozi trochę geldu po oćcu i w dodatku co jeszcze? Małego kinderka.

— O! Proszę!

— Cóż, kiedy nie swoje to było dziecko, jeno znajdek. A w takich okrutnych imprezach znalezione, co i trudno uwierzyć, i ja téż babskiemu gadaniu mało bym dał wiary, ale Michael tam był okulatem, a ten zawdy prawdę mawiał. Owóż tedy, prawili tak we dwoje, co Tatarowie rozlatawszy się po kraju, nie łapali prawie nijakiego niewolnika, jeno samych dzieciów.

— A tak, prawdę wam brat powiedział, oni na to najbardziej łase, bo to ze starego już niełacno uczynić poganina, a z dzieci to zaraz narobią sobie Turków i Tatarów; i jeszcze potém to biedactwo bije się za wiarę Mahometa, i to z takim zawziatkiem jak żaden rodzony Turczyn.

Zwyczajnie, zaprzaniec. Niechże będzie pochwalony Majestat Boski, że mnie na podobną infamię nie przyszło, a już mi było bliżusio, boć ja już piszczałem w ich rękę, i nigdy pono jeszcze tyle tego maleństwa nie trzymali w garści.

— Otóż to właśnie i mnie tak prawił Michael, co jeszcze póka świat światem, nie nabrano tyle dzieciarni w jassy; to — prawil — nie na sta, ni na tysiączki, ale na dziesiątki tysięcy; jak fury z onemi jeńczykami zaczęły ciągnąć za Ordą, to ciągnęły całkie trzy mile

niemieckie. To — praw! — była czysta wojna anty-kinderna. Owóz, kiedy ten wielki generalissimus Koniecpolski rozbił ich na trzaski, tak tedy po wiktoryi patrzy, a tu owe trzy mile pełne fur z dzieciaszkami. Co tu z tém robić? Jedne zara na miejscu pobrały to oćce, to bracia, co kto swego znalazł. A resztę zawieźli do Leopola, i tam na Rynku tak wystawili jakoby w jarmarcznej budzie. Tam tedy zjeżdżały się matki różne, każda swego maleństwa szukała, a co nic nalazło ni matki ni oćca, to pocziwe mieszczi Leopolskie rozebrały pomiędzy siebie. A co to tam były za lamenty i jubilacye, ci się poznają, owi swego nie znajdują — tu się ściskają, tam płaczą — to jakoby Sądny dzień.

- Komu to Waszeć mówisz? Wszakci ja tam był — i sprawiedliwie gadacie co Sądny dzień, bo iście wszyscy my zmartwychwstawali, i jedni szli do rajy, do rodziców, a drudzy niekoniecznie do rajy, boć to tam niejedno pańskie dziecko po-

szło na nędze do chałupy, abo i z ran zmarniało nim je swoi odszukali.

— A tak, właśnie; i wiele było i takich, co się nikt o nich nie spytał, nie wiem z jakowój tam racyi, czy że im Tatarowie ubili familię, czy że na czas nie zdążyła z szukaniem? Owóz tedy, moja Dorotea słysząc wielkie cuda o téj niesłychanej tragedyi, wybrała się takoz z Michaelem na Rynek. Poszli jeno tak, byle się napatrzeć, aleć jak obaczyła tyle tego maleństwa, ona co się kochała w dzieciach, tak zara serce jój spłynęło dezolacyą i affektem, a kiedy jeszcze widziała jak mieszczi Leopolskie rozbierają między siebie sierotki, tak sobie —powieda — zara pomyślałam: «A toć mię Pan Bóg na to właśnie tu przysłał, abym i ja tu sobie wybrała pociechę.» A było w czém wybierać, jeno kłopot co brać? Bo i to ładne, i to gładkie, a wszystko nieszczęśliwe. Wszelako, najbardziej wpadło jój w oko to co było najmniejsze, niemowlę malusie, co piszczało tam na słomie, tak — powieda — jakby ten voglek, co go złe chłopcy z gniazda precz wytrzęsły. Niewiasty po kolei to lulały, przynosiły temu trochę mléka, ale wziąć nikt nie śmiał; każdy wolał brać starsze, bo to już łatwiejszy odchówek, a to było takie subtelne, że i dotknąć strach, i szatki były na tém bardzo pańskie. Dorotea tedy czekała jeden dzień, i drugi dzień, i trzeci, aż obaczy, że ani żadna matka do téj odrobiny się nie przypytuje, ani żadna inna nie przygarnia, tak czwartego dnia zabrała jakby swoje, i mnie tu przywiezła.

— I cóż Waszeć, ucieszył się?

- Bogać ja się tam ucieszył! Żeby jeszcze chłopiec, to nie powiem, ale żona mi gadała tak: «Jakbym ja wzięła chłopca, tobyś ty go wychował na lutra, a jak dziewczynę, to będzie moja dziewczka, i zrobię z nięj dobrą katoliczkę.» I prawda, zrobiła z nięj taką zelantkę, jak i sama była. A kiedym jej mówił: «A kto wie, czy i ona nie luterka? Małoż to w Polsce dyssydentów? A może nawet z Aryjanów?» To ona mi pokazała Szkaplerz co znalazła na szyi dziecka, i to już keine gadanie była racya, bo żaden z naszych nie zawiesi dziecku na szyi takiego bałwochwalskiego amuletu. Nie marszcz się Wasza Miłość, każdy gada wedle swojej perswazyi. Owóz chciała bardzo, abym i ja miłował tę dziewczkę, i nazwała ją Hedvich, że to niby ta Święta była Niemka, a swoją drogą jest Patronką polskiego narodu. Alem ja długo nie mógł cierpieć owęj dziewczyny; bo jak się Dorotea w nięj rozpassyonowała, tak już i Handbuchy w ką, i gospodarstwo w ką, i pan mąż w ką, nic tylko Hedvich i Hedvich. A jak dziewczka podrosła, tak jeszcze gorzej, bo com ja miał jedną katoliczkę w domu, to teraz dwie, a niewiadomo która większa zelantka? A jak mi zaczęły sprowadzać, a to Dominikanów, a to takich a to siakich mnichów, tak i Minister już nie chciał do mnie przychodzić na kunsztyczek bieru. Pukałem, krzyczałem, aleć one zawsze postawiły na swojém, bo to były obie takie ła-

siwe, że i dyabeł dałby się zawojować. Zwyczajnie, polnische frau.

— I kiedyż to Waszeć postrzegłeś, że jednak ta Panna Hedwiga warta miłowania?

— Póka Dorotea żyła, tom ją ją zawdy miał za małe i liche dziecko, dopiero jak żony zbrakło, jak ta zaczęła mi usługować, a nadskakować, jak rodzonemu oćcu, tak nakoniec i postrzegłem, że to bestyjka cudna, bo i buzia gładka, i włos jakby z bernszteinu, i pańska maniera, i serce pełne rekognoscencyi, zgoła, gdyby nie ta żarliwość wedle wiary, toby na świecie nie było lepszej dla mnie żony.

— I nie boisz się Wasze onej żarliwości?

— Ba! Poradziłem zjedną, poradzę i z drugą. A to tém łacniej, że tu mam niby i ojcowską władzę. Kto to wie jeszcze, jak to tam dalej będzie? Abom to ja raz widział największe fanatyczki, co jak poszły za lutrów, tak się i nawróciły?

- O! Tego bym nie radził Waszeci, bo nużby się znalazła jój familia, toby z Waści duszę wywlekła.

— Ja też nie myślę gwałtów robić, jeno tak sobie mówię: Będzie chciała do nas przystać, a no, to chwała Bogu — a nie będzie chciała, to i bez tego gładka. Co mi tam u niewiasty, doktorskie dysputy? Byłe ją na gębie Pan Bóg pobłogosławił, to już i dość dla niej mądrości.

W téj chwili drzwi domu z wewnątrz się rozwarły, i wyszedł z nich nieśmiało Kornelius, już bez czeladniczego fartucha, z hollenderska, z hollenderska, ciemno przybrany, z czystą krężą i włosom porządnie przygładzonym.

Stanąwszy bokiem na progu, ręką przytrzymał za sobą drzwi rozwarłe, dla przepuszczenia Hedwigi, która z głębi sieni nadchodziła, czy raczej nadpływała, z tą wyprostowaną, niby łabędzią postawą, jaką przybiera osoba, niosąca w obu rękach coś ciężkiego. Hedwiga niosła tacę krągłą, z hebanu kunsztownie wytoczoną, a na niej dzban i kilka wysokich szklenic. Wszystkie te naczynia opatrzone srebrnymi pokrywami, były ze szkła ciemno-zielonego; na tém tle, krotochwilny jakiś artysta, pomalował figurki osobliwszych garbusków, o czapkach uszaty, o strojach pstrokatych, jakoweś karty, koboldy czy też błazny, którym z ust wywijaly się wstęgi, zapisane niemieckimi conceptami. Wyżej, garbuski zupełnie takie same, tylko już ze srebra wyrobione, goniły się w pociesznych skokach, tworząc przy kufkach srebrne ucha, i kłębiąc się na pokrywach, jakgdyby w poplątane guzy. Oprócz dzbanka i kufla, był jeszcze i chiński talerzyk, a na nim w małą szachtę ułożone, majaczyły złotawe krajanki toruńskiego piernika.

Na ten widok, Pan Kaźmiérz zerwał się i skoczył po rycersku, ażeby z rąk panieńskich odebrać tak niewygodny ciężar, na co znów panienka nie chciała pozwolić. W tém certowaniu

się wzajemném, szklenice już zaczęły dzwonić, i tylko dzięki obustronnej zgrabności, taca bez szwanku dojechała do stołu.

Mistrz Johann ruszał nieznacznie ramionami, nakoniec ozwał się:

— Po co też to Wasza Miłość czynisz sobie subickcyę? Dziewki rzecz usługować mężom.

— A jakże Waszeć chcesz, abym nie ulżył fatygi mojej Pannie-Siostrze?

— A co? Jak ona się uciesznie patrzy? — Zawołał Majster, widząc zdumienie z jakim Hedwiga spojrziała na Pana Kaźmiérza.

— Słyszysz Hedvich? Ten kawaler mi tu właśnie rozpowiada, że i on także był w tym samym kinderkowym jassyrze co i ty, i że tam zgubił jakąś małą siostrzyczkę, i że całe życie jój szuka, i że to może ty właśnie jesteś oną siostrą?

— Jezu miłosierny! — Zawołała, składając ręce jakby do modlitwy. — Więc na koniec końców mogłabym wiedzieć co ja za jedna, i to właśnie Waszmość...

Tu niedokończyła, i tylko ze złożonemi wciąż rękoma, podniosła oczy na młodzieńca.

On wpatrzył się w nią przenikliwie, chcąc wyczytać z jój twarzy, jakie wrażenie ta wiadomość na niej uczyni?

W pierwszej chwili nic nie dostrzegł oprócz dziecięcego zdumienia. Ale co dostrzegł wyraźnie, to ponure oczy Korneliusa, które z po-za ramienia Hedwigi, strzeliły ku niemu niechętnie i podejrzliwie.

Niepodobało mu się to spojrzenie, i odpowiedział na nie wzrokiem pełnym wzdargy, która wyraźnie mówiła:

— A ty jakiś mizerny Czeladniku, co tobie do mnie, Porucznika Jego Królewskiej Mości?

Hedwiga wciąż trzymając ręce złożone, zapytała:

— I Waszmość masz rodzice? Ojca? Matkę?

— Ach, matki już nie. Ale Pan Ociec żyw.

Przez ten czas, gospodarz nalewał piwo do kufli. Jeden dla gościa, drugi dla siebie, trzeci podał Korneliusowi.

- No, teraz — rzekł — kiedyś już Wasza Miłość ze mną zatrinkował, racz-że nam powiedzieć, jak mamy Waszmość tytułować?

— A prawda! — Odrzekł śmiejąc się młodzieniec.....jam zapomniał się sprezentować z godności, a Waszecina dyskrecya wielce jak widzę cierpliwa. Owóż tedy jestem Kaźmiérz Korycki, herbu Prus Primo.

Po twarzy Pana Rajcy przeleciał maleńki cień rozczarowania. Zapewnie spodziewał się jakiegoś słynniejszego nazwiska.

Ale Hedwiga powtarzała z radością:

— Korycki! Korycki! Jak to się wdzięcznie wymawia! Może ja panna Korycka? No, a ten erb, jak on wygląda?

Pan Kaźmiérz zdjął z palca krwawnikowy sygnet, i podając go panience, mówił:

— Patrz Wacpanna, tu jest półtora krzyża.

- Aż półtora? Jezu Chryste! Dlaczego?

— Dlatego, że nasze dziady zawdy się za

krzyż biły, i nieraz téż za to krzyż Pański znosiły. Exemplum: Święty Stanisław ze Szczepanowa, który tegoż klejnotu co i my zażywał.

— Tegoż samego? Czy to może być?

— A tak, nieinaczéj. Potem, niektóre jeszcze familie pododawały tu kupę różnych emblematów, jakieś kosy, jakieś podkowy, z czego sobie porobiły Prusy. Drugie i Trzecie, ale my trzymamy się starego, najlepszego, bo jak powieda Pan Miecznik, mój Ociec:

Dla żołnirza,
Dość jest krzyża.

Panna Hedwiga tymczasem, obracając sygnet na wszystkie strony, mówiła:

— O Jezu kochany! Jakież to nabożne! I jak rychtownie wyrzezane!

Aż nagle posmutniała.

— Wszystko to dobre, — rzekła — jeno kto i jako to zweryfikuje, czy ja naprawdę siostra Waszmościna?

— Sprawiedliwie Wacpanna prawisz. Nielacna to rzecz będzie. Wacpanna nic nie pamiętasz? Nic nam nie przycytujesz?

— O Boże, jakoż ja mam pamiętać, kiedy ze mnie było niemowlę? Ani by ja wiedziała o téj mojej niewoli, żeby Pani Dorota i starszy Pan Schultz nie byli mi o niéj gadali. Kiedym ja słuchała, to jakby gadali nie o mnie, ale o inszém personie.

- A dokumentów téż nie macie Waćpaństwo nijakich?

— A jakoweż dokumenta mogą być? — Odparł Majster. — Chyba one szatki, co je

miała na Leopolskim Rynku. Chcesz Waszmość, to choć to pokażę. Wołać mi tu Minę!
I przywołanej Minie rozkazał, aby przyniosła «kinderkowe» szatki.
— Jest-ci — dorzuciła Hedwiga — i ten kochany Szkaplirzyk, aleć on nic nie powie.
To mówiąc, z pod kręzy wyciągnęła Szkaplerz mocno już znoszony.
Pan Kaźmiérz pochwycił skwapliwie ten przedmiot, co przed chwilą spoczywał na jej łonie, i ucałował go z podwojonem nabożeństwem.
— I Wacpanna zawdy to nosisz?
— O, zawdy! Już się sznurek przetaił, że ledwie dyszy, ale ja nie kładę nowego, bo to ten sam, uważ-że Wasza Miłość, ten sam co mi tam kładły Rodzice, pewnie dufający jako mię ta świętość zasalwuje.
— Aha! I pięknie zasalwowała! — Podchwycił szydyczko Pan Schultz.
— Aj, nie gadajcie tak Dobrodzieju. Zasalwowała, i jak jeszcze! Wszakim ja nie ostała u Tatarów, jeno u Dobrodzieja chowam się po Chrześcijańsku.
Tu pochyliła się do kolan Rajcy, a ten, głaszcząc ją po głowie, mówił:
— Ej, ty ty łasico, ty zawdy umiesz wszystko miodem posmarować.
Widząc tę pieszczotę, chociaż zupełnie ojcowską, Pan Kaźmiérz zacisnął pięści pod stołem, i miał ochotę powiedzieć Panu Majstrowi coś

przykrego. Na szczęście, w téjże chwili powróciła Mina, niosąca piękną szkatułę z drewnianej mozaiki, o brązowych listwach i antabach.

— Widzisz Waszmość, — rzekł gospodarz — jako to moja Dorotea miłowała naszą Hedvich, te nawet oto jej gałganki chowała, niby jakie świętoście, w swoim najlepszym sepeciku.

Tu podniósł wieko, i Pan Kaźmiérz zobaczył najprzód sukienkę z niebieskiego teletu, naszywaną drabinkami ze złotych passamonków, obrzeżoną u dołu i u góry sutem namarszczeniem ze złotych koronek, czyli jak wówczas nazywano «forbotów». Sukienka była długa niby worek, ale maleńkie rozmiary staniczka, drobniutkie otwory na szyję i rączki, dowodziły że nosząca je dziecina, nie mogła mieć więcej nad sześć do ośmiu miesięcy. Pod sukienką leżała koszulka, jeszcze drobniejsza, cała zahaftowana mnóstwem flamandzkich wszywek i obszywek, niegdyś białych, dziś od zleżenia mocno żółkłych.

Pan Kaźmiérz patrząc na te ubiorki, pomyślał sobie:

— No, już teraz wiem dokumentnie, jako to nie jest Krysia, a to dla dwóch racyi. Pierwsza racya, że Krysia nigdyby w to nie była wzięła, kiedy już miała w one czasy kole czterech latek. Druga racya, że w naszym szaraczkowym domu, nigdy takowych luksusów nie znano. Pani Matka sama nie nosiła nijakich forbotów, ni białych ni złotych, a jeszcze by miała dzieciaki niemi pstryć? A toćby jej Pan Ociec, Boże odpuść, był na

skórce forboty wydeseniował. Nie, to nie Krysia, i basta.

Jednakże Pan Kaźmiérz nie zdradził się z żadnym z tych spostrzeżeń, i ani zmrużył oczu gdy Pan Rajca wytrząsając sukienkę, mówił:

— Zbrukana-ci ona, i nie dziw, przeszła bez łapy Tatarskie i bez Rynki Leopolskie, aleć zawdy widno jako to z pańskiego domu dziecko, z takiego, jak Waszmościny, nieprawdaż?

Zagadnięty, wywinął się uwagą:

— Ale jakożes to Wacpanna robiła, aby się zmieścić w takowy łątkowy przyodziewek?

A gdy Hedwiga zapytała:

— Powiedz mi Waszmość, czy ta siostrzyczka była woncez taka malutka jak i ja? A może Wasza Miłość sobie przypomnisz czy miała takowy przyodziewek?

Odpowiedział wymijająco:

— Juścić że mała była, to wiem. Ale czy miała takową sukienkę, tego ja wiedzieć nie mogę. Takie kuse chłopię jakom ja był woncez, nie baczy na żadne białogłowskie

ochędóztwa, jeno za batem i konikiem się ugania. Ale ja powiem Wacpaństwu tak: Jutro wracam doma. Tedy opowiem wszystko Panu Miecznikowi.....

— Co to za Miecznik? — Spytał Majster.

— A no, mój Ociec. Tedy powiem wiernie Panu Oócu, a juści on będzie wiedział najlepiej, czy Krysia miała takowe przyodzianie, i czy nosiła Szkaplirzyk, co jest u dziecka rzecz niebywała, i może stanąć za «lico». Tedy Wacpaństwu napiszę co Pan Ociec powiedział, a może

i sam przywiozę tę odpowiedź. Nie miał-ci ja już co prawda tu powracać, ale dla Panny Siostry warto jachać i do morza, i nawet za morza.

— Rozumnieś Wasza Miłość zakonkludował. Tedy Hedvich niemasz tu już co robić, odnieś ten sepecik do Myny, i ostań się tam w kuchni, a dopilnuj dla mnie kolacyi.

Ale Pan Kaźmierz okrzyknął się gwałtownie.

— A nie rób-że mi Waszeć tak okrutnej krzywdy. Wszakci ja wciąż gadam, jako jutro jadę, niechże dzisia jeszcze nacieszę się Panną Siostrą.

Hedwiga także, składając ręce, mówiła z przymileniem:

— Ach Dobrodzieju! Tam w kuchni takowy skwar! Jużem ja do kolacyi wszyściutko wydysponowała. Pozwól mi tu ostać.....

Majster w końcu przystał, choć niechętnie.

— Ha no, to już i ostań, jeno weź-że się do roboty, abyś nie siedziała jako ten szyld malowany, co to mówi: «A patrzajcież na mnie!»

Panienka ucieszona, pobiegła do sieni, skąd wtoczyła na ganek, leciuchny, misternie rzeźbiony kołowrotek, a Kornelius przyniósł dla niej zydelek z białego jaworowego drzewa; śliczny to był sprządek; na trzech skośnych, kręconych nóżkach, miał deszczułkę z brzegiem wyrzynanym w liście jakby wianek, a z tyłu oparcie, wążkie w obsadzie, coraz szersze w górze, całe wzorzysto pokłute w przezrocza, niby wachlarz ze słoniowej kości.

Na téj filigranowej podstawie, panienka przysiadła lekko jak ptaszę na gałązce, i błękitnym trzewiczkiem wprawiwszy w ruch warczące koło, zaczęła skręcać długie nitki lnu, blade-żółtego jak jój włosy.

Przy téj robocie tak cudnie wyglądała, że Pan Kaźmierz zapatrzył się w nią całemi oczami, całą duszą, i zapamiętał się zupełnie.

Już nie wiedział ani gdzie jest, ani kto na niego patrzy, tylko sam patrzył, patrzył, i w duszy sobie powtarzał:

— Apparycyo ze złotą nitką, bądź-że Parką mojego żywota!

Nagle przypomniał sobie gdzie i u kogo bawi, odkrząknął, zwrócił głowę do Pana Rajcy, i mówił:

— Przypatrowam się bacznie Pannie Siostrze, bo chcę sobie zrememerować, do kogo z naszój familii ona posiadała podobieństwo?

Tu z kąta, głos Korneliusa odezwał się przekąśliwie:

— Juści nie do Waszój Miłości.

Majster spojrział w tamten kąt zdziwiony, chwilkę pomyślał, potem dobrodusznie się roześmiał, i mówił:

— Ollender rzadko powié, ale już jak powié, to richtig. Waszmość — bez urazy — wyglądasz

jak kruk, a oko Waszmościne to jak ten Pharus co w ciemną noc nad portem dygota. No, a Hedvich, to bielusia jakbyja gniatko, a oczko jój, Vergismeinnicht. Gdzież tu familia?

— O, za pozwoleniem! — Zaprzeczył z wielką powagą Pan Kaźmiérz. - Abo to raz bywa rodzeństwo całe od siebie różne? A wszelako każde z nich podobne do kogoś z antecessorów. Tak i Panna Hedwiga... Czekajcie Wacpaństwo, do kogo to ona podobna? A! Już wiem. Jakem był mały, przychadzała do nas jedna moja ciotka. Nie była-ci ona już taka młodzusia, ale włos miała żółtawy, i oczy jako dwa modre kwiatuszki. Owóz Panna Hedwiga kubek w kubek do niej podobniusięńka. O..... im więcej patrzę, tém więcej to dopatrowam.

I na rachunek owój żółto-włosój ciotki, zaczął znowu, i coraz to już śmielój, przyglądać się Pannie Siostrze.

Ta, z początku rada była braterskiój uwadze, przytém i podchlebiał jój taki hołd milczący, bo dobrze czuła że w tych oczach pała nieopisany zachwyty. Niedługo jednak, rotowy ich ogień zaczął ją niepokoić i mieszać; po kilku chwilach, myślała że się skreći. Chcąc przerwać ten «urok» co stawał się cierpieniem, sama wróciła do rozmowy. Uśmiechnęła się i rzekła:

- Ktoby to myślał, że my już raz tak bliziusio kole siebie byli, i może na się patrzali, i bez tyle lat nic o tém nie wiedzieli!

— Kędyż to było? - Pytał zdziwiony Pan Kaźmiérz.

— A no tam, na Leopolskim Rynku. Przypomnij sobie Waszmość dobrze, czyś tam nie widział wóczas takiój małej bzdury w niebieskiój szatce i złotych forbotkach?

— Wstydno to wyznać, aleć takowój panienki nie pamiętam, acz pamiętam wiele innych rzeczy?

— Na ten przykład, co?

— Na ten przykład, kiedy nas wieźli, to pamiętam jako mię jeden Tatarzyn chciał na wozie związać, a jam się mu nie dawał, i takem się małemi rękami i nogami bronił, i takem się wściekał, że aż pomogło; bo właśnie tamtędy jachał sam ich wódcz, on sławny Kantemir, a obaczywszy jako się dzieciak broni, zaczął się śmiać że aż się za boki brał, i coś gadał do mego stróża, a ten zaraz dał mi pokój. Widno że mu się ten animusz w dziecku podobał, chciał sobie może ze mnie zrobić tęgiego Tatarzyna. Aleć ja leżąc na wozie, takem sobie medytował: «Kiedy się mnie sam wódcz pogański przelał, to ja w nocy wstanę, i tego Kantemira i wszystkich jego Regimentarzy wyduszę, za co mię nasi zara Hetmanem okrzykną.»

— A to piękna rzecz, kiedy chłopiec tak eroicznie roi. — Zauważyła z wysokiém zajęciem Hedwiga.

— Byłby ja téż pewnie w nocy wylazł, i byliby mię jak szczenię ubili, jeno że właśnie tegoż dnia, jeszcze przed nocą, Pan Konicpolski nadciągnął i wszystkich nas wyzwolił,

z czego ja nie był bardzo rad, bo już cały mój eroizm na nic się nie przydał. — Potém znowu pamiętam, że na onym Rynku, jakieś tłuste białogłowy posadziły mię na ziemi, pod szkarpa jakiegoś ogromnego domostwa, i kazały mi na głos wywoływać moją godność, aby mię familia łączniój odszukała. Ale wnet pożałowały, bo jakem zaczął krzyczeć: «Jam jest Kazio Korycki! Kazio Korycki!» Tak na całym Rynku nikogo jenzego już nie było słyhać jeno Kazia. Tedy mię znów prosiły abym przycichł, gębę mi łakociami zatykały, a ja nic, jeno się drę i drę, i takem się darł bez calutki dzień, aż mię i znalazło moje biédne matczyńsko, co już się téż wyrwało z pogańskich łyków.

— Jakoż to? Więc i matka była w jassyr wzięta? No, a ta siostrzyczka, kiedyż ją z Waszmością rozłączono?

— Od samego początku. Jeden porwał matkę, drugi siostrę, trzeci mnie, i wszyscy się rozlecieli na trzy strony, tak że ja z matką dopierom się tam na Rynku znalazł, a siostrzyczki już nikt nigdy nie widział, ani na pobjowisku, ani na woziech, ani w mieście. Nieraz my tak myśleli, że ją może Tatarzyn uciekając ubił, bo to nieraz oni wolą dziecko zarznąć, niżeli żywcem ostawić. A może ten co ją wiózł, potrafił uciec aż na Krym, boć i tacy byli co się przed nami salwowali. A może to po prostu jesteś

Wacpanna?

Tu Pan Majster, nalewając sobie po raz drugi kufel, otrząsnął się jak po zimnej kąpieli.

— Brrr... Co to za szczęście że oni tu nie dojeżdżają! Paskudna rzecz taka wojna.
Dobrześ Waszmość uczynił kiedyś wybrał służbę na wodzie.
— A ja właśnie się już odprawił od Wodnej Armaty.
— O, szkoda! — Zawołała Hedwiga, i oczami zmierzwszy jego postać, mówiła:
— Szkoda! Taki śliczny munderunek!
— I ja powiem: szkoda! Ha no, co robić, kiedy Pan Ociec każe?
— Dla czego to?
— Dla tego: było nas trzech braci.....
— O? Niceś Waszmość nic mówił. To i oni poszli w on jassyr?
— Nie. Oni jako starsze, już byli żakami u xięży we Lwowie. To ich salwowało. Tedy potem jeden poszedł pod chorągiew pancerną, a drugi do haltylerów. Tedy ja widzę że już mi wzięli i ziemię i ogień, tedy proszę się Pana Oćca aby mi dał iść na wodę, bo to woneczas wszyscy gadali, co to będzie za flotta jakiejś świat nie widział, i że król buduje ono warowne miejsce Władysławów. Jam zawdy miłował awantury, i takem sobie myślał: «Niech jeno dostanę się na morze, będzie ich w bród.» Pan Ociec długo się wzbraniał, aż mię i odpuścił tutaj. Najprzód więc jachałem na okręciach kupieckich; było się tam i sam, widziało się świata kawał, ale awantur mało. Tedy przystałem do Wodnej Armaty. A tu jeszcze gorzej. O batalię nie łączno, jeśli się trafi to jak ślepój kurze ziarno, a służba zmusna i sroga. Już ja tedy myślał wrócić pod

flagę kupiecką, i jachać do Indyów abo do Ameryki, za onym Panem Arciszewskim co tyle o nim gadania, aż tu przychodzi wiadomość, że starszy brat zginął w potrzebie, a w rok później znowu wiadomość: drugi brat ubity, — a tu Pan Ociec pisze do mnie: «Wracaj-że mój ty Beniaminie, boś mi już jeden ostał się na świecie. Służ jako chcesz, jeno już na łądzie, abyś choć czasami przyjechał do mnie, i w gospodarce był mi sukursem.» — Jakoż to nie posłuchać Oćca, staruszka samotnego? Wszystkich potracił, naprzód oną Krysię, potem Panią Matkę, potem dwóch starszych, już nikogo niema jeno mnie.

— I gdzież Waszmość się zaciągasz, do pancernych?
- Owóż nie. Na wodzie człek odwykł od konia, lepiej mi pójść do infanteryi. Hetman Zamoyski zawdy kawalerów tam namawiał, i gadał jako to teraz największa siła będzie w infanterzach. Tak to różnie ja się już przegryzował przez życie, i jako widzę jeszcze przyjdzie przegryzować się na inny manier, a zawdy awantur mało, chyba to może ja dzisiaj na nią się natknął, daj Boże szczęśliwie.

W téj chwili Pan Majster, który już sobie nalewał trzeci kufel piwa, chciał i gościowi napęlić szklenicę, ale spostrzegł że jest ledwie troszkę nadpoczęta.

— O! — Zawołał ze zgorszeniem. — Jaki to Waszmość nielaskaw na mój bier. A paradny bier, keine gadanie paradny. Czy nieprawda?

Pan Kaźmiérz zakłopotany odpowiedział:

— A no tak... dobry... jeno my na wodzie skąpo zażywamy piwa... to człek i nie przywykł.

Gdy kończył te słowa, Hedwiga się zerwała jakby wicher, i wpadłszy do sieni, drzwi za sobą zaparła.

— Co się stało? — Zapytał Pan Kaźmiérz.

— A kto ją wie? — Odrzekł Majster. — Ona nigdy nie może na miejscu spokojnie

usiedzieć. A i ty Kornelius, czego tak stoisz jak ten słup co drzwi podpira? Siadaj-że na swoim «ruhe.» — Trzeba wiedzieć Waszj Miłości, jako my tu mamy nasze miejsca na zawdy nominowane. Ja siaduję tu pod złotem oknem, i ten kąć zwie się: «Faterstuhl.» Moja Dorotea siadywała tuż kole drzwi, aby łąco mogła dopaść kuchni, to my zwali jęć ławę «na tymczasem.» Hedvich na swoim zydelku, my gadamy «na skrzydelku,» bo wiecznie lata. No, a tam po drugiej stronie drzwiów, ten drugi kąć ławy to «Kornelius-ruhe,» bo Kornelius tam nic nie gada, jeno siedzi jak mruk, i wzdycha za swoim Amsterdamem. A grzeszy chłopak; dziękowałby Panu Bogu że jest w mieście tak zacnym i sławnym jako nasz Dantzig. Gadaj-no Kornelius, u was tam niema takich złoconych i rzezanych domów, ani takich beischlagów, co?

— Prawda Panie Majster, beischlagów niema, aleć za to u nas w Amsterdamie niech jeno człowiek wsadzi w okno głowę, a już cały dycha

słonością wiatrów morskich, a tu co? Ani wie że jest kole morza.

— Gadaj co chcesz, już ja tam wolę nie mieć słoności w gębie, a dychać naszą aurą co jest mocna i słodka jakoby Goldwasser. On mi się zawdy chwali ze swemi Amsterdamami, Rotterdamami, Harlemami, a ja powiedam: pierwsze miasto w świecie, Dantzig. Czy nieprawda, powiedz sam Waszmość?

Każmięć się uśmiechnął.

— Żeby nie Kraków, tobym dał Waszeci racyę.

— Wasza Miłość nie byłęć w Amsterdamie? — Zapytał Kornelius.

— A byłęć. Gdzieżem-ci ja nie byłęć? Ze mnie wielki nawigant. Jeno powiedam:

«Wszęćdzie dobrze, ale w domu najlepšíęć.» Z tęg racyi tęg i Waści panie Czeladniku nie ganięć ze chwalisz swoje Amsterdamy. Każda lizka swój ogon chwali. Niechże Amsterdam będzie ogonem wszelakich miast świata.

Kornelius, który słabo jęćszce podchwytywał odcienia polskiej mowy, zamyślił się, niewięćząc czy ma na te słowa odpowiedzićć uśmiechem czy gniewem? W każdym razie, czuł więćszą skłonność do gniewu. Ten gość, choć prawie nieznanomy, był mu od pierwszj chwili niemiłym. Istnieją w ludzkich sercach przecucia.

Gdy tak sobie nieznacznie docinali, drzwi domu się rozwarły, i Hedwiga powróciła, niosąc znou tace, nierównie mniejszą niż pierwsza, ale stokroć piękniejszą, całą wyzłocistą. Na tace stały trzy naczynia, istne pieścidelka sztuki. Nalewka złota w kształcie ptaka, cała emaliami różnobarwnemi pokryta, jakby najwytworniejsza kraska. Przy nięć stał kielich ze szkła jasno-amarantowego, wyglądający na olbrzymi, wyzłobiony rubin; po jednej stronie był na nim wymalowany król ptaków, z rozpostartemi skrzydłami, z koroną u głowy; po drugiej stronie był napis polski. «Na zdrowye!» Między kielichem i nalewką, stała na złotj nóżce, mieniąca się stu kolorami opalu, wydrążysta koncha, pełna malutkich marcepanów. Pan Każmięć, ze zwykłą zakochanym bystrością, zauważył od razu że wszystkie miały kształt serduszek.

Pan Majster spojrział na Hedwigę z pódziwieniem, i zapytał półgłosem:

— Kto ci kazał to wszystko tu windować?

Panienka zmieszana odparła:

— Mnie się uwidziało..... że sam Dobrodziej chciał..... Jego Miłości nie smakuje nasze piwko, i pierniczka ledwie nadkąsił, więc dałam petycymentu..... no, i tych Królewieckich marcypanków..... Może będą lepiej do gustu?

— A będą, boś Wacpanna wybrała nic jeno serduszka.

Hedwiga zapłoniła się po same oczy.

— Wszakci ja mam być siostra, to winnam Waszmości dać serce?

— Biorę tedy serduszko Wacpanny.

To mówiąc, włożył do ust marcepanik, i smakując w nim z rozkoszą, powtarzał:

— Aj! Co za specyjalik! Do śmierci ta słodycz mi ostanie.

Hedwiga tymczasem pochyliwszy krasnę, ze złotego jój dzioba łała napój gęsty i ciemny, tak że kielich z amarantowego stał się morderowym.

Potém powróciła do kołowrotka. Robota jednak szła niesporo, kółko co chwila stawało, prządka wolała zasluchiwać się w rozmowie gościa.

Ten, ująwszy kielich, wniósł «Zdrowie Panny - Siostry,» pokosztował, i mówił:

— Ono zdrowie chciałbym duszkiem wypić, aleć—jako widzę,— nie godzi się takowego nektaru łykać bez konsyderacyi. Wyborność.

I powoli popijał, a pijąc przyglądał się ciekawie naczyniom.

— Co téż to u Waszeci precyozów!

— A, mamci tego trocha, bom zawdy adorował wszelakie meister-sticki. Ten kielich to pamięta króla Zygmunta Augusta. Nalewka przyszła mi z miasta Italskiego Firency, gdzie są wielkie Meistry złotniki. A ta skorupa na konfekty,— patrz jeno Waszmość co tu kolorów lata w oczach, i purpura, i lazur, i złote płatki,—to jest, morski rarytas, Nautylus.

— Przebóg! Nautylus, o którym jam się tyle naspiewał! — Zawołał Pan Kaźmierz. — A dajże go tu Panie Konzulu, niechże mu się naprzypatrowam. Jam go zawdy był taki ciekaw, zem już

nieraz chciał jachać na morza Greckie, albo Indyjańskie, aby tę bestyę obaczyć.

— A co to Waszmość śpiewasz o tym ślimaku? — Pytała Hedwiga.

— To, co IMci Pan Klonowicz o nim pisze w swoim «Flisie.» Znasz Wacpan tę książkę? Nie? A Wacpanna?

— I ja nieznam, jeno Pani Flora mi gadała nieraz, o takowej pieśni co ma być «Flis.» I ucieszne to?

— Powiem Wacpannie, cud świata. Jam zawsze kochał się w poethusach. A już na wodzie, to najlepsza konsolacya. Bo to na okręciach nudno, ni podwiki ni płasów, dzień jeden jako i drugi. Jak człek dorwie się niektórego voluminu, to i dziesięć razy w kółko czyta. Owóz ja tak onego «Flisa» zwertowałem, co go prawie całego mam w głowie. Szkoda że Wacpaństwo nie czytali, tam jest i o Gdańsku. Jeden z naszych Officyjerów przywiózł tę książczynę z Warszawy, to nieraz bywało wieczorami, siedzimy na pokładzie, a szczęki nam od ziewania trzeszczą, alić jak on zacznie nam one wiersze dyktować, a my wszyscy chorusem powtarzamy, tak i wieczór zleci jakoby z bicza trzasł.

— I co on tam — pytała Fledwiga — może pisać o takowym mizernym robaczku?

— Chcesz Wacpanna, to zaśpiewam?

— A mój Boże! Toż dopiero będzie nam uciecha!

— A może na ulicy nie uchodzi?

— Aleć owszem. — Nalegał Majster. — My tu sobie nieraz na beischlagach takie wyprawiamy chorały jakoby we Zborze.

— Owóz słuchajcie Wacpaństwo. Ja to zawdy śpiewam tak jako się śpiewa stara pieśń:

«Przeciwnie chmury słońce nam zakryły...,» bo tak sam Author pisze na tytule.

«Chcesz-li — powieda — możesz śpiewać Flisa na te note jako one Przeciwnie chmury.» — Szkoda co niema lutniey, to służy na podpórkę dla gardła, jak czekanik dla ręki. Ha no, jakoś to będzie.

Tu przetarłszy czoło, dla przywołania wyrazów do pamięci, zanucił głosem bardzo pięknym, pełnym filuternych zwrotów:

«Jest ryba trefna rzeczona Nautilus,

«A od niektórych nazwana Pompilus,

«A naszym polskim możesz ją językiem,

«Zwać żeglarczykiem.

«Bo z siebie własny uczyni okręcik,
«Jakby błaznek i morski natręcik,
«Gdy sobie igra za czasu pogody,
«Po wierzchu wody.»

— Jezu kochany! Co to za pieszczona piosenka! — Wołała Hedwiga składając w zachwyceniu ręce.

Śpiewak pokłonił się z uśmiechem, i dalej nucił:

«A już się z morza nad wodę wydzwignie,
«Najpierwój z siebie powódź precz wyrzynie,
«A gdy się ulży, stroi dziwne cuda,
«Ona obłuda.»

- Jezu kochany! Obłuda!

«Wspłynąwszy na wierzch wypręży się opak,
«I położy się nakształ okrętu wznak,
«Wnet miasto żagla nastoperczy wzgórze
«Posłuszną skórę.

«I płynie sobie by co statecznego,
«Jak Bosman gdy co prowadzi grzecznego.....»

— Sehr gutt. — Pochwalił Pan Rajca.

— Czekajże Wacpan..... Jak Bosman..... jak Bosman gdy co prowadzi grzecznego.....
Jak to tam dalej? A! Już mam:

«A gdy się czego on Pompiliusz lęknie,
«Radzi o sobie bez mieszkania pięknie,
«Gdy zasie znowu słoń wódę pije,
«W morze się kryje.

«Tam na to patrząc, w głowie sobie kryślił
«Człowiek roztropny, i okręt wymyślił.
«Tak wzór rzemiosło z przyrodzenia brało,
«Gdy nastawało,

«Więc na ryby kształt wnet skutę urobił,
«I udychtował i żelazem obił,
«Sztaba miasto łba, a rufa sprawiona,
«Miasto ogona.

«A miasto skrzeli dla pewniejszej jazdy,
«Przy burtach obu rozsadził pojazdy,
«Ztądże do czółna, ztądże też urosło
«Do łodzi wiosło.

«Tak nauczyła roztropna natura
«Urobić skutę zmyślnego Mazura.....»

— Ale co to ma być? Tu mi ktoś przygrywa? — Zawołał Pan Kaźmiierz zdumiony,

posłyszał bowiem że przy ostatnich kilku wierszach, jakieś dźwięczne struny towarzyszyły jego śpiewce. Zaczął się oglądać, i tuż na sąsiednim ganku, spostrzegł piękną damę w żałobnym stroju, z lutnią w ręku. Pan Schultz i Hedwiga także spojrzeli w tę stronę, i razem zawołali:

— Pani Flora! Jest Pani Flora! Jak to dobrze!

— Pani Flora ozwała się do Pana Kaźmierza:

— Cudnie Wacpan śpiewasz, jenoś połknął czworo strofów co tam wśródku siedzą. Pan Kaźmiérz się tłumaczył:

— Boś mi Wacpani szyki popsowała tą siurpryzą. Ani ja się spodziewał takowego akkopyamentu. A zkad to Wacpani znasz tę notę?

— O Boże! Jakoż nié mam znać? Ja to poema umiem jako pacierz, i godzinami sobie przy lutniey nucę. Ja bez wirszów i bez amorów niemogę nijak żyć, a teraz kiedy w tych oto kirzech Amory mię odbiegły, już tylko śpiewaniem się cuce. Chcesz Wacpan to razem zaśpiewamy?

— Jeno — przerwał Majster — już nie o tój skorupie. Śpiewajcie nam lepiej o naszym Dantzigu, jakoś Wasza Miłość powiedział, że w tój Miążce i o tём stoi.

— Hm... Niewiem czy sobie przypomnę... — Mówił zakłopotany Pan Kaźmiérz.

— Ale ja przypomnę. — Podjęła Pani Flora. — To tam gdzie on powie:

«Drażem to zową kędy port zawarto.....»

— A! Już wiem. — I zaczął znowu śpiewać, podtrzymywany przygrywką i głosem Pani Flory.

«Tu już przyjedziesz do misternój Windy,
«Tu ujrzysz dziwnych rzeczy na przebindy.»

— Uważasz Panie Majster, on tu wyraźnie pisze o Waszecinyh bursztynach. Tedy:

«Tu ujrzysz dziwnych rzeczy na przebindy,
«Jakom powiedział, już tu masz Szpiklerze,
«Masz i machlerze.

«Masz Most Zielony, cel naszój roboty.
«Tu wzwoody, wschody, dziwne kołowroty.
«Masz wagę, trefy, ławy, dziwne sprawy,
«Różne zabawy.

«Tu masz okręty z płóciennemi skrzydły,
«Tu masz z Zamorza dziwne skrzydływidły,
«Maszty wyniosłe z bocianiami gniazdy,
«Pod same gwiazdy.

«Tu w stradyjetkach masz śmiałe Bosmany,
«Masz z dalekich stron kupce i ziemiany.
«Przedawaj, kupuj.....»

— Jak to tam u licha dalej? Aha.....

«Chwał przedawajac, gań kupujac. Kupca
«Niechciój mądrego, szukaj sobie głupca.....»

Tu śpiew został przerwany przez ogromne śmiechy i oklaski. Pan Kaźmiérz, który siedział odwrócony od ulicy, obejrzał się, i teraz dopiero

postrzegł, że na wszystkich tarasach, jak mógł okiem sięgnąć i w prawo i w lewo, siedziało także mnóstwo osób; gospodarze przy szklenicach, panie i panny z robótkami; dzieci bawiły się na schodkach. Wszystkie te grona słuchały z wysokim zajęciem, nieznanym dla wielu pieśni Klonowicza, a ostatnie słowa, dobrze trafiające do ich kupieckiego zmysłu, wywołały wielką wesołość. Zaraz też towarzystwa innych ganków, odpowiedziały na ten śpiew innym śpiewem; jedni wykrzykiwali pustackie «Gaudeamusy,» drudzy niemieckie bajeczki o «Mądrym Lisie.» Na poprzecznej ulicy, ozwał się nawet któryś z Chorałów Lutra.

W tym chaosie głosów, trudno było myśleć o dalszym śpiewaniu «Flisa.» Pan Majster odezwał się do Pani Flory:

— Przeszłabyś Frau lepiej do nas.

I podał jej rękę. Ona, położyła lutnię, weszła na ławkę, i przeskoczywszy przez obie poręczki ztykających się z sobą ganków, usiadła obok Pana Schultza.

- Prezentuję Wacpani wielkiego u mnie gościa. Oto IMci Pan Kaźmiierz Korycki, erbu Prus, Officyjer królewski od Wodnej Armaty. A oto Pani Flora Korwiczkowa, wdowa po moim dobrym sąsiedzie, co był Sławetny Pan Bonifacyusz Korwiczek, Meister Passamonnik, i to Meister nad meistry. Takiego drugiego nie mamy już w Dantzigu.

Temi słowy zapoznawszy swoich gości, Pan Konzul zaczął opowiadać Pani Florze dziwną

przygodę, dzięki której Hedvich, jako się zdaje odnalazła brata i rodzinę. Piękna wdowa słuchając z niezmiernym zajęciem, spoglądała kolejno z pod oka, to na Pana Schultza, to na Pana Kaźmierza, jakby w duszy chciała ich obrazy porównywać, i coś z onych porównań wysnuć.

Pan Kaźmiierz przyglądał się jej także pilnie, i nie bez podziwu. Ubiór i postać tworzyły tu zupełne przeciwieństwo; ubiór był żałobny, surowy, smutny; z całej zaś tej fertycznej osobki biło tyle zdrowia, blasku i wesołości, że wszystko razem wyglądało tak, jakgdyby kto czarną wstążką przewiązał pęk róż stulistnych. Pani Flora była istotnie podobna do róży, pierś miała wypukłą, na licach kwitnące rumieńce. Musiały jednak pod tą wabnością kryć się kolce nieugiętej woli, bo w koło warg rozkosznie rozchylnych snuł się ciemny meszek, a z pod brwi prawie czarnych, równych, długich, (zadziwiająco równych i długich.....) świeciły oczy podbójcze, na których dnie połyskiwało coś twardego, jakby stalowa blaszka.

W owym też, na pozór skromnym ubiorze, po bliższym rozpatrzeniu, wzrok odnajdywał mnóstwo szczegółów świadczących, że piękna wdówka więcej musiała myśleć o żywych, niżeli o umarłych. Suknia była wprawdzie z czarnej wełny, kołnierz płócienny gładko wywinięty, ale jedno i drugie skrojone tak prześlicznie, noszone z takim wdziękiem, że i różowa szata nie wydała by się weselszą. Miała też na głowie czepiec wdowi, jak przystało z czarnych nicianych koronek, ale jego maleńki okrąg był tak zalotnie przypięty,

i swoim axamitnym jęczyczkiem tak zaczepnie na czoło się wysuwał, że przywodził myśl o ślubnym wieńcu. Miała też na sobie i trochę klejnotków, jedynych jakie w czasie żałoby godziło się nosić. Były to trupie główki z białej kości, powiązane ogniwoami ze srebra, wyrobionymi w drobniutkim kształcie parzystych, niedopierzonych skrzydeł; oprócz takich manelek i zausznic, miała jeszcze u pasa i srebrną banieczkę, którą czasem podnosiła dla wachania, a ile razy odetkała trupa główkę tworzącą jej koreczek, wnet cudne zapachy rozchodziły się po całym ganku.

— Co Wacpani za elixyry z sobą nosisz? — Zapytał Pan Kaźmiierz.

— Ach, jakoż niemam nosić? Mnie na Chrzcie Świętym dano Flora, i ja też jak ona bogini, bez kwiatów usycham, a tu przy tych kirzech nie mogę się niemi obsypować, więc chociaż ich wonnościami się pasę.

— I długoż to jeszcze dla Wacpani tych kirów?

— Ach jeszcze całe dwie niedziele. A potem już koniec. Jeno w sercu nie koniec. Do grobu ja będę płakała po moim nieboszczyku. Jak on adorował swoją Florę! Nigdy nie

widziała równie zacnej passyi. Cudny to był człek. Szkoda jeno że kostera. Aleć téż Pan Bóg srodze go pokarał. Nazbyt człeczyna miłował kosteczki, no i teraz już z niego nic jeno kosteczki.

Pan Kaźmiérz lubił krotochwile, ta jednak nie w smak mu poszła; przyciął usta i zamilkł.

Pani Flora téż już na niego nie zważała. Zwróciwszy się całą postawą ku Panu Schultzowi, weszła z nim w żywą rozmowę, przyczém co chwila pokazywała w śmiechu swoje wiewiórcze ząbki, albo przyglądała się swojej rączce, ubranj pierścieniami.

Młodzieniec, widząc że starsi Państwo na niego nie baczą, wstał i przystanął za krzesłkiem Hedwigi. Miał ochotę powiedzieć jěj niejedno słodkie słówko, ale go korciła obecność Korneliusa, tuż po-za niemi siedzącego.

Pochylił się więc do jěj ucha i szepnął:

— Czy to ten Czeladnik zawdy tak z Wacpaństwem siedzi w kupie?

— A zawdy. Co robić? Dobrodziej wielce go konsyderuje. Ale dla mnie to utrapienie.

— A! I z jakowj racyi?

— Bo mię fatygują te jego wylupiaste, Ollenderskie oczy. Gdzie się ruszę, tam i te oczy za mną, jak szpiegusy.

— Żebym jeno śmiał, tobym go przepędził na dziesiątą ulicę.

— Nie czyn tego Waszmość, ja sama go przepędzę.

I obróciwszy się niedbale, przez ramię mówiła do Korneliusa:

— Skocz - no Asan po nowe powismo lnu Znajdziesz tam w podwórku, na składzie.

Czeladnik zarumienił się i skoczył.

— Coś Wacpanna zrobiła najlepszego? A toć on za moment znów przylézie?

— To ja go znów przepędzę, chociażby i dziesięć razów. Jakoż się nasza sąsiadka Waszmości wydawa? Urodziwa, co?

Mówiąc to, niespokojnie spojrzwała w oczy Kaźmiérzowi. Ten się uśmiechnął z wewnętrzznego zadowolenia.

— Hoża niewiasta,— odparł — jeno musi być okrutnie rezolutna.

— A toś Wacpan trafił w samo cetno. Dobrze to taką być. A ja tego nieumiem, ja się każdego stracham.

— Uważasz-no Wacpanna jak tą Pani Flora mizdrzy się do Pana Schultza? Czy oni mają się k'sobie?

— Ach, dałby to Bóg!

— Tak powiadasz Wacpanna? Dałby to Bóg? A mnie się widzi jako Pan Schultz bliżej sobie szuka żonki.

— Zkąd się to Waszmości uwidziało?

— Bo mi sam gadał.

— Więc on o tém gada? O Boże, jakaż ja nieszczęśliwa!

— Tedy Wacpanna tego niemasz w życzeniu?

— Oh nigdy! Ja Dobrodzieja respektuję z affektem jak oćca, i nazywałam go zawdy «Faterkiem,» aleć od śmierci Pani Doroty, i tego mi zakazał. Niewiem jak mam gadać do niego, więc gadam: «Dobrodzieju.» Co to za nieszczęście że ta kochana Pani Dorota zmarła! Za nięj wszystko było dobrze. Ale ja tego nie zrobię. Jam jěj obie-

cała że nigdy nie pójde za lutra. Dosyćem ja się napatrzyła jaka to dezolacya, kiedy mąż innj wiary, a żona innj.

— Bardzo ja szczęśliw, że Wacpanna jesteś takowj rezolucyi.

Hedwiga stanęła w płomieniach, i podnosząc nieśmiałe oczy, zapytała:

— A co to Waszą Miłość może obchodzić?

- A i bardzo. Jeśli ja Wacpannie mam być bratem, to nigdy nie dam assentymentu na takowy nieklejnotny maryasz.

Hedwiga spuściła oczy,

— Ach tak..... Prawda..... Waszmość masz być brat.....

Zamilkli przez chwilę.

Właśnie też wracał Kornelius, niosący aż dwa powisma. Hedwiga zaraz mu jedno kazała odnosić na powrót, potem go słała do Miny, dla dowiedzenia się czy prędko będzie gotowa wieczerza, a nakoniec kazała mu szukać swojej chustki, téj z niebieskimi chwaścikami, którą zostawiła gdzieś, sama niewie w jakiej komorze i na jakim piętze? Tym razem Kornelius siedział bardzo długo, dziesięć razy obiegił wszystkie piętra i obszukiwał wszystkie kąty, nakoniec wrócił bardzo zmartwiony, nie odnosząc chustki, a to dla wielce prostej ale jemu nieznanaj przyczyny, że chustka ciągle spoczywała w Hedwigowej kieszonce.

Przez ten czas, Kaźmiérz i Hedwiga, oparci o złotą kratę, przyglądali się przepływającej publiczności. A było na co patrzeć. Jeżeli w godzinach roboczych, dalsze ulice pracowitego miasta, przedstawiały się pusto i głucho, zato w godzinie przedwieczorniej, cały ten tłum spracowany, wylegał dla odpoczynku i przechadzki, a wylegał rojnie i strojnie. A stroje pstrzyły się tą niesłychaną różnorością, jaka zazwyczaj panuje w wielkich portowych miastach. Oprócz ubiorów niemieckich i hollenderskich, przeważających liczbą, można było dostrzedz i wielu naszych ziemian, łatwych do poznania po czapce włożonej «brodźcem,» i po «marynalce,» czyli pasiastej opończy, jaką się zazwyczaj u nas kładło na samém wsiadaniu do komiegi. Owi sielscy przybysze, sprzedawszy rano swoje żyto albo pszenicę, chodzili teraz po mieście, zadzierając głowę, dziwując się kamiennym ozdobom na domach, i zamorskim gościom na ulicach. A było tych zamorczyków niemało; żółto-włose Angliki, kraciaste Szkoty, czarno-okie Portugały z siatką na włosach jak u białogłowy. Czasem pojawił się człowiek z Lewantu, Grek o kaftanie cudnie wyszywanym, lub Albańczyk biało-fałdzisty; gdzie nie gdzie nawet, niby tulipan, zakwitł bisurmański turban. Niektórzy z przechodniów zatrzymywali się przy gankach, i przez kraty wiedli rozmowę z siedzącymi na nich mieszkańcami domu, lub zaproszeni, wchodzili na taras, i siadali przy rodzinnych stołach. Inni, dążyli na zamiejskie przechadzki, w które Gdańsk zawsze obfitował. Między temi, naj-

liczniejsze były panny, plemię nigdy niesyte ruchu; nałożywszy na stanik małą pelerynkę, obszytą ciemnym passamonem, (takim samym jak i u sukni), a na głowę kapelus z słomiany o maleńkiem denku i ogromnych skrzydłach, (zupełnie podobny do naszych dzisiejszych «pasterek,») szły całymi trzódkami, pod wodzą matek lub ochmistrzyń, co je oprowadzały niby dla przyjemności, w rzeczy zaś dla złowienia Pana-Męża.

— Wacpanna lubisz spacer? — Zapytywał Kaźmiérz.

— Oh, passyami! Muszę ja być ze wsi rodem, bo w tych kamiennych ulicach duszę się i wędnę, a zawdy jeno wzdycham do zielonych liściów i łączek.

A u Pana Miecznika czy dom duży? Czy także na nim takie złote rzezania? A ogród jakowy? Czy jak na Biskupiěj Górze?

I zasypywała Pana Kaźmiérza pytaniami o jego rodzinę, o nieboszczkę matkę, a zwłaszcza o tę zaginioną siostrzyczkę. On nierad był przyznać się do niedostatków domowych, ani zgłębiać owego mniemanego pokrewieństwa, jak mógł się więc wywijał, i ciągle zwracał jēj uwagę na bieżące przedmioty.

— Czy widzisz Wacpanna ten potroisty kołnierz co wisi temu kawalerowi do pasa, niby trzy maluśkie białe płaszczki? To najnowsze kawalerskie noszenie.

— Widzę. O jakież to trefne! Jakoby melszpeis co się nie udał i oklapł.

— A tak, to też to się nazywa «kolnierz z konfuzyą.» niby tak się skonfundował, że jak Wacpanna z figielkami powieasz, oklapł.

I śmieli się do rozpuku, z tą pustotą młodości, co tylko sobie szuka pierwszej lepszej przyczyny do śmiechu.

— O dla Boga! — Wołał znów Pan Kaźmierz. — Cóż to za fiotylla ciągnie ku nam?

— To żona i córki tego grubego Van der Herna, co ma pono aż dziesięć okrętów.

Osoby jakim się przyglądali, były spowinięte niderlandzkim «huikenem,» czyli długim welonem, tworzącym rodzaj płaszcza, który się przytwierdzał na wierzchu głowy pod małym kapelusikiem; kapelusik ten, niby grzyb wywrócony wystrzelał w górę sporym prątkiem, który się zakończył grubą kulą puchu. Ponieważ ta czubata moda panowała przeważnie w Hanzeatyckich miastach, często więc owym prątkom nadawano wyraźny kształt rudelków, a wtedy kapelusik zsuwano tak silnie na przód głowy, że ów rudel sterczał ze środka czoła, i groził oczom przechodzących. Widok takich dam czubatych, («les dames huppées,») nas by dziś niesłychanie zdumiał i rozśmieszył; Kaźmierz i Hedwiga, widując ich mnóstwo codzień, ledwie czasem na nie zwracali uwagę. Trafił się jednak i taki przystroj, który zdumiał Pana Kaźmierza.

— A to co za jedne? — Zawołał. — Czego to sobie one tak zakryły gębę?

— Mówiąc to, wskazywał dwie nadchodzące, bardzo zgrabne damy, które miały głowę i stan spowinięte w koronkowe kaptury, w rękach okrą-

głe wachlarze z piór puszystych, a na twarzy czarne axamitne pół-maski.

— To przyjezdne. — Objaśniała Hedwiga. — Pono z Angielskiego kraju. Tamtejsze białogłowy strasznie są bójne o swoją skórę, tedy jak za dom idą, zara nadziewają maskarkę, zimną na to żeby ich mróz nie szczypał, latem aby ich słońce nie smoliło.

— No dobrze, ale teraz nie zima, i słońce już zaszło, to po co?

— To może wedle kurzawy, albo może wedle «urocznych oczów?»

Gdy tak młoda para śledziła przechodniów, ci śledzili ją niemniej ciekawie. W owych salonach pod otwartym niebem, jakimi są tarasowe ganki, życie Gdańszczan, (przynajmniej w letniej porze), upływało tak jawnie, że wszelka zmiana w tym życiu, zwracała zaraz powszechną uwagę. I tu, cała ulica spostrzegła niebawem, że na tarasie Pana Schultza znajduje się gość nowy i świetny. Szeptano sobie o tym żarty i prognozyki, a panny, pod różnymi pozorami, przechodziły tam i sam przed gankiem Bursztynowego Domu, aby lepiej się przyjrzeć kawalerowi o płomiennych oczach, i aby z żalem zauważyć, że te oczy zwracały się wyłącznie ku Pannie Hedwidze.

Powoli zmierzch zapadał, i gwiazdy zaczynały wypryskać na niebo. Ulice, dosyć wąskie a obudowane wysokimi gmachami, zaciemniły się prędzej niż place i ogrody. To też służba zawieszala na tarasach różnobarwne latarki; gdzie niegdzie nawet stawiano nieosłoniony lichtarz, bo wieczór był tak ciepły i cichy, że świeca paliła się spokojnie jak w izbie. Wszystkie te światełka migocąc między zielenią doniczek, odbijając się w złotych kratkach i malowanych szklenicach, nadały obrazowi zupełnie inną, czarodziejską cechę. A pod tym czarodziejstwem snuła się wesoła rzeczywistość. Wkrótce też, zaczęły dzwonić noże i półmiski, balsamiczne powietrze napełniło się mniej wykwintnemi, ale za to smakowitemi zapachami potraw, na każdym tarasie zastawiano wieczerzę.

Mina także, przyniosła najpierw pyszną latarnię o złocistych prątkach i cudnie rznietęj bańce, którą zawiesiła u spizowego węża, umyślnie wbitego na ten cel nad oknem. Potem stół obciągnęła prześlicznym flamskim obrusem,

i zaczęła na nim ustawiać różne wytworności.

Pan Kaźmiérz spostrzegłszy te przygotowania, wziął czapkę i niby chciał odchodzić. Ale Hedwiga spojrzała na niego błagalnie, i dygnawszy mówiła:

— O Jezu! Waszmość jutro masz jachać, daruj-że nam jeszcze te ostatki. Siostra prosi uniżenie.

Pan Majster, który był dnia tego w doskonałym humorze, i któremu Pani Flora tłumaczyła

przed chwilą, «w jak dobrą komitwę powinien wejść z rodziną Hedwigi,» także gwałtem przytrzymał gościa. Siadł więc Pan Kaźmiérz ze wszystkimi do stołu, nietyle dla jedzenia, ile dla podziwiania zastawy; bo jakżeż ten stół był ubrany! Co za misy malowane jak obrazki! Co za kielichy majające jakby drogie kamienie! A te flasze w złocistych siatkach! A te pokrywy na półmiskach, całe srebrne, wypukło wzorowane, jakby jakieś damasceńskie hełmy!

— Ach! — Myślał sobie. — Już chyba i król na Wawelu nie siedzi przy sutszym stole.

Samo jedzenie mniej mu się podobało. Była wprawdzie i krucha zwierzyna, i drób' dobrze karmiony, ale były też i niemieckie specjały, niezrozumiałe dla szczeropolskiego podniebienia: jakieś gruszki z kluskami, jakieś ziółka ze śledziem. Pan Kaźmiérz byłby wolał zrazy z kaszą albo groch z kapustą; niewiele też jadł; zatopił z przyjemnością, to złote Goldwassery, to wytrawne Węgrzyny, to słodki Alikant.

Pan Majster przeciwnie, opiwszy się piwa, teraz już tylko jadł, ale też za czterech. Kornelius pomagał mu w milczeniu. Pani Flora jadła jedynie to co było słodkie i pachnące. Hedwiga nie jadła wcale. Rozmarzona, mówiła i chodziła jakby przez sen; nie ominęła jednak żadnego z obowiązków dobrej gospośi, nakładała na talerze, dolewała do kielichów, a Pan Kaźmiérz pomagał jej bardzo pięknie; rozkroił nawet na powietrzu kapłona, — co jest majstersztykiem kawalerskim — a chociaż Kornelius twierdził że «u nas w Am-

sterdamie inaczej się ptactwo krawa,» wszelako na ten raz nikt Hollendra nie słuchał, i nowy Krajczy uzyskał ogólny poklask.

Po wieczerzy, myśli zrobiły się jeszcze różowsze, rozmowy jeszcze strzelistsze. Od ulicy do ulicy brzmiały żarty i śpiewki; na jednych gankach urządzano gry pełne psikusów i śmiechów. Na innych toczyły się zażarte rozprawy o cenach pszenicy i budulcu, o nowych ocleniach i podatkach. Gdzie nie gdzie nawet już lutrzy z katolikami brali się do gwałtownych dysput.

Znagła, wszystkie rozmowy przycichły; zaczynała bić godzina dziesiąta. Najprzód, wydzwonił ją poważnie, powoli, jeden z większych zegarów miejskich. Słuchacze rachowali uderzenia, i po ostatniem, niejeden głos się odezwał:

— Jaka szkoda że już!

Potem inny zegar zaczął wygrywać prześlicznego, dzwonowego kuranta, potem kilka innych naraz odezwało się w różnych dźwiękach, to szklistych, to spizowych, i wszystkie te dźwięki napęłniły miasto muzyką nadpowietrzną.

Goście gankowi powtarzali chórem:

— Szkoda! Taki chłodek! Tak tu dobrze! Co robić? Trzeba iść doma.

Nikt jednak się nie ruszał. Już ostatni zegar zamilknął, a wszyscy jeszcze siedzieli, jakby w oczekiwaniu jakiegoś ostatecznego znaku.

Nakoniec i ten znak się pojawił.

Z dalekiej ulicy nadleciał dźwięk trąby, przeciągły, żaloszny, długi. Potem chwila

ciszy. Potem, jakiś głos mężczyźni zaśpiewał zwrotkę pieśni, żalną, przeciągłą, długą. I znów chwila ciszy. — Tak, trąbienie i śpiewanie, przeplatane koleją, zbliżało się coraz donośniej, aż w głębi ulicy, ujrano dwóch Pachółków miejskich, nadchodzących mierzonym krokiem.

Jeden z nich,

w stroju paskowanym czarno i czerwono, kończył właśnie swoje żalose wygrywanie; gdy się zbliżali do Bursztynowego Domu, opuścił od ust trąbę, a wtedy drugi Pacholek w, szafirowo-brunatnym ubiorze, znajomy już nam Kuba Grubasek, przystanął, i z całych piersi przeciągle zaśpiewał.

Już dziesiąta na zegarze.
Idźcie do snu gospodarze.
Strzeżcie ognia i złodzieja,
Chwalcie Boga Dobrodzieja.

Skończywszy swoją zwrotkę, uderzył ciężkim berdyszem o ziemię, i obaj poszli dalej, naprzemian trąbiąc i śpiewając.

Po ich drodze, na wszystkich tarasach powstawał wielki ruch; odsuwano stołki, żegnano się już na dobre, i rzucono sobie od ganku do ganku stokrotne «Dobranocki,» albo «Guttenachty.»

Towarzystwo Złotego ganku, rozeszło się jedno z ostatnich. Kaźmiarz tak był upojony, że

niemógł się oderwać od swojej Panny-Siostry. Coraz to nową powiastką, to nową krotoczwilą przedłużał rozmowę, a gdy wszyscy już powstawali, i gdy Pan Majster zapytał:

Tedy Wasza Miłość jutro jedziesz?

Zawahał się i odrzekł:

— Jutro nie jutro..... albo ja wiem? Taka jeszcze na mojej głowie kupa jenteresów, że i bożek Atlas by ich nie wyrzucił. Tak czy owak, zawdy ja tu jeszcze jutro zajrzę, i pokłonię się mojej Pannie-Siostrze. Ergo, bez adiusów, jeno do zobaczenia!

- Do zobaczenia! Do zobaczenia! — Powtórzyli wszyscy, i rozeszli się, ale każdy z innymi myślami.

Pan Kaźmiarz wracając do gospody, bił się pięścią po piersiach, i powtarzał:

— Licho mię tu przyniosło, do tego Bursztynowego Domu! Ta stokrotka utknęła mi tutaj, nie jakby kwiatusek, jeno jakby cierń. A to wszystko się na nic nie zda. Siostra mi ona żadna, to już wiem dokumentnie. Ożenić się z nią nie ożenię, boć to znajdek, może i dziecko szlacheckie, tak się widzi z onych forbotnych szatek, wszelako zawdy tu klejnot podejrany. Ładnie by mię Pan Ociec przyjął, jakby ja mu przywiózł takową pół mieszczkę a pół zakletą królowę! Bo to rosło u jakowychś Majstrów, a chowane w delicjach, nic, tylko stapać po perskich

kobiercach, jeść na włoskich emaljusach, odziewać się w tureckie altembasy. Coby też i ona powiedziała, gdyby jęj, tak wykrygowanej, przyszło siedzieć w naszych bielonych izdebkach, jeść z cynowej misy na stole krajką przykrytym, albo chadzać z dziewczkami do krów? Nie,— ciężka to afflikcya,— wszelako prosty rozum gada: «Ni ona dla cię, ni ty dla nięj.» Trza jachać. Nie będę jęj widział? To powolu ten śliczny konterfekt wyskrobie się z rekordency, wszakci nie jeden i nie dziesięć już się wyskrobało? Tedy pojadę, jeno jeszcze nie jutro. Jeden dzień, jeden mały dzionek jeszcze sobie, akkorduję; bez jeden dzień przecie korona z głowy nie spadnie; tylko raz jeszcze obaczę te śliczności, posłucham tego paradyzowego świergotku, trzebaż mieć i

nad samym sobą odrobinę zmiłowania; owóz robię sobie prezent ze dnia jutrowego, ale potem już bez pardonu jadę, i póki życia już nie wrócę.

Takie czyniąc postanowienia, Pan Kaźmierz ani się domyślał, że w tymże czasie Pani Flora wcale inaczej rozporządzała jego losami.

Wszedłszy na swój mały tarasik, jeszcze raz obejrzała się za odchodzącym Porucznikiem, i tak sobie przyszłość zaczęła rozбивać:

— Chłop jak ulany, niema co gadać, i orator wdzięczny, i śpiewa jak Orfeus. Pomyślałam ja sobie z początku, że może on dla mnie dobry? Ale potem widzę że nie. Pono to chudopacholek, pan na czterech czy pięciu chłopach. Wolę

ja mego Rajcusia i jego złoconą kamienicę. Wszelako i tamten mi się przyda; wyswatam za niego Hedwigę, bo ja nie wierzę w tę bajkę o zgubionej siostrze. On taki jój brat jak i mój, widziałam to z oczu, brat by tak nie patrzył po dyabelsku na dziewczkę. Frant z niego! Ukuł tę dykteryjkę, byle nos wściubić do jój konfidencyi. A niech ją bierze zdrów, ona mi srodze zawadza. Jak tylko Johann pochował tę biedną Dorotę, zarazem sobie powiedziała: «Panie Konzulu, będziesz ty mój, i twój kamienica będzie moja.» A co ja powiem, to zawsze się stanie. I teraz by my już pewnie byli po akkordalyach, żeby nie ta smarkata co mu precz w oczy włazi; póki będzie ją miał w domu, to stary nie wyjdzie z waryacyi. A ona nie zna się na nim, co młode to i głupie, będzie wołała lada awanturnika, byle miał wąsik smolony, i ładnie pobrząkiwał mieczykiem. Niechże sobie jadą za morza, a mnie zostawią starego, tak i dla nich i dla nas będzie dobrze.

Jakiż tymczasem były myśli samj Hedwigi? Te trudniej określić, bo doznawała i uciech i smutków, których sama sobie niemogła wytłumaczyć. Wracając do swojjej prześlicznj, panijskiej komnaty, na każdym zakręcie schodów szeptała z upojeniem:

— Tu go widziałam..... i tu jeszcze..... i tu..... tego najmilszego..... brata. Więc to brat? A no, chwala Bogu, wielkie to szczęście znaleźć brata.....

Niepróżno też to zara w pierwszj chwili tak serce we mnie do niego się wyrwało..... Tak, to pewnikiem brat.....

I ustami powtarzała:

— Wielkie to szczęście.....

Ale w głębi serca inny jakiś głosik odzywał się markotno:

— Więc to tylko brat?

I znów, cieszyła się myślą że go jutro zobaczy, ale gdy wspomniała o jego wyjeździe, ogarniało ją takie osmucenie, że miejsca sobie znaleźć niemogła, i gdy nakoniec twardy sen młodości zmorzył wszystkie rozmyślenia i troski, śniło jój się że Pan Kaźmierz mówi: «Nie jestem bratem Wacpanny, i nigdy nie wyjadę, nigdy!»

Majster Johann i Kornelius najdłużj zostali na ganku. Pan Schultz, rad dzisiejszj przygodzie, dopijał reszty ostatniego kufelka, i tak sobie mówił:

— Dobrze to, że znalazła się familia. Nie takiei familiany jak myślałam, ale zawdy bodę miał żonę szlachciankę. Trzeba tylko przyspieszyć ceremonię; niech jeno ów braciszek wyjedzie, ja zaraz krzyknę: «Hedvich, kłaść mi szlubny welon, i: ein, zwei, drei, do ołtarza!» Bo jakby ociec zastał ją frajleina, toby gotów jeszcze wziąć mi ją z przed nosa, a jak ją zastanie już Panią Konzulową, to będzie musiał kłaniać się Panu Zięciewi.

Tu rozweselony myślą bliskiego małżeństwa, zwrócił się do Korneliusa:

— No cóż ty, nic nie mówisz? Ten Officyjer, to ucieszny kompan?
- A wieć Pan Majster kto to taki?
— A no przecież sam powiedział, Kaźmierz Korycki, erbu Prus.
— Takci on mówi, ale czy to prawda?
— A czego by miał kłamać? Któżby to miał być jenszy?
- Ja wiem kto to jest,— ja zgadłem.
To mówiąc, Kornelius wstał z ławy, i tajemniczo przystępując do Majstra, szepnął:
— To zamaszkarzony Jezuita.
— W imię Ojca i Syna..... A po co by tu Jezuita przychodził?
— Jakto po co? Zwąchali że Pani Doroty już niéma, że jój wychowanka mogłaby między nami poznać prawdę, więc nasyłają swoje szpiegi, gotowi nam ją jeszcze wykraść.
— E! Co znowu? Zwaryowałeś chłopcze. Więc ty i na to nie kredytujesz, aby to miał być jój brat?
— Rękę bym w ogień włożył, głowę pod miecz oddał za to, że on ani jój brat, ani żaden Korecki. Jezuicka intryga i koniec. Tylko w tym kraju takie rzeczy się dzieją. U nas w Amsterdamie, żeby kto się tak nagle do czyjój familii przypotył, toby go zaraz Urząd aresztował.
— Ale bo widzisz, u was w Amsterdamie niema żadnych Tatarów ani żadnych jassyrów,

to tam bracia i siostry tak się nie zagubiają, a tu co jenszego, tu jest kraj awantur.

Wszakże, mimo własnych rozumowań, Majster się zatroskał i zamyślił. Ale po chwili uderzył pięścią w stół i zawołał:

— Jest! Mam argument. To nie może być xiadz przebrany. Widziałeś jego wąsy? Galanckie, co? Zkądby ich wziął Jezuita? Musiałby z rok czekać, nimby się takich dochował.

— Panie Majster, oni mają na wszystko sposoby. A od czego czary?

— O ho ho! I Jezuita i czarnoxięźnik. Niedługo już z nim na stos!

E, głupstwa gadasz, nie psuj mi próżno głowy.

To mówiąc wstał, i oparłszy się na ramieniu Korneliusa, (bo piwo trochę go z nóg ścięło), skierował się ku sieni, a po drodze mówił:

— Głupstwo czy nie głupstwo, zawdy trzeba już z tą Hedwigą skończyć, bo strzedz panny w domu, to lepij z fajerką siedzieć kole Pulwerthurmu.

Ledwie pan wyszedł, zaraz Mina zjawiła się na ganku, dla pozbierania kufelków i wszelkich sprzętów ruchomych.

I na innych tarasach służba gospodarzyła, sprzątając reszty wieczerzań, wynosząc stoły i krzeselka, zdejmując dogasające latarki. Potem zaczęło się zamykanie drzwi okutych; jedno po drugich zapadały, z głuchym łoskotem, z ciężkiem

zasuwaniem ryglów, zakładaniem sztab i zgrzytem kluczków. Kto na piętrach jeszcze palił światło, ten pilnie zasuwiał okna lub wynosił się do izb wewnętrznych, ażeby ront powracający, nie kołatał mu do drzwi z przestroją. Czasem jeszcze wśród wysokich donic tarasowych, jakaś zapóźniona czuła para zamieniała ostatnie szepty, ale i ta nikła we dwie strony, gdy uderzenie berdyszów o ziemię, zdradziło zbliżanie się nocnych stróżów. Zwolna wszystko przycichło i przygasło. Zégary wybiły jedenastą; wtedy, zabrzmiała w powietrzu cudowna muzyka złożona z trąb i fletów, muzyka która od wieków całych, zawsze w owój przed-północnej godzinie, odzywa się na kościele Ś-tój Katarzyny, jakby przedsenna modlitwa usypiającego miasta,— i gdy ostatni dźwięk fletu rozwiął się wysoko, nic już nie świeciło nad Gdańskiem, tylko tysiączne gwiazdy ciepłej letniej nocy, odbite w czarnych kanałach Spichlerzowój Wenecyi, w brylantowych szybkach kamienic, i w marzeniach serc rozkochanych.

IV.

W Artusowym Dworze.

W sześć tygodni później, o téjże wieczornej porze, na głównym placu Gdańskim panował ruch wielki, a przytém i wesoły. Z olbrzymich okien Artusowego Dworu, biła na pół placu olbrzymia łuna; z najbliższych i najdalszych ulic wysypywały się pacholki z pochodniami, a za nimi szły wystrojone gromady mężów i niewiast, młodzieńców i panien; wszystkie ciągnęły do Artusowej sali, gdzie miasto dnia tego wyprawiało walną, taneczną zabawę.

Pomiędzy młodzieżą, najszcześliwiej stąpali, najbuńczuczniej wyglądali wojskowi od Puckiej marynarki, którzy tego wieczora wszyscy znaleźli się w Gdańsku; a jak raróg jaśnieje wśród sokołów, tak wśród wojskowych, jaśniał urodą i fantazją, płomienooki Pan Kaźmierz Korycki.

Bo Pan Kaźmierz jeszcze nie był wyjechał. Póki miał przed sobą cały ów jeden dzień zwłoki,

zdawało mu się że ma skarb nieprzebrany; ale nazajutrz, gdy przyszło na dobre do pożegnań, uczył się tak nieszczęśliwym, że — jak to zwykle bywa w podobnych razach — zaczął z samym sobą wchodzić w układy.

— Kiedy — rozmyślał — mogłem sobie darować jeden dzionek, to mogę sobie pozwolić jeszcze jaką trzydniówkę, abo dla okrągłości, choćby i całą niedzielę. Za jeden marny tydzień, przecie mi Pan Ociec głowy nie zdéjmie z karku?

Odezwał się więc w następne słowa do mieszkańców Bursztynowego Domu:

— Zreflektował ja się. Po co mi dwa razy nawigować wedle całej Wisły? Wysłałem ja do Pana Miecznika pisanie, gdzie mu wyłuszczam wszelakie cyrkumstancje co do fatów Panny Hedwigi. Jéśli tedy — jako mam sperandę — moje dorozumienia okażą się czystą veritas, wonzas tuszę sobie, iż nie ja będę jachał doma, jeno sam Pan Ociec tu przyjedzie, dla zreknoskowania wdzięcznej córki, zacząłem wszyscy razem będziemy mogli uczcić Pana Konzula jako jój salvatora, i nacieszyć się sobą jako jedna familia.

Słowa te zostały przez wszystkich bardzo mile przyjęte; i rzeczywiście, na trzeci dzień, Pan Kaźmierz napisał do ojca, z tą wszakże różnicą, że w liście nie wspominał ani słowa o Hedwidze, tylko tłómaczył się jakimiś trudnościami wojskowemi, które opóźniły jego wyjazd; było téż w tych słowach i trochę prawdy, bo przy dobrej woli, znalazły się pewne niedokładności w ukończeniu służby, które teraz, na wielkie

zbudowanie swoich zwierzchników, tknięty nagłą sumiennością Pan Porucznik, chciał koniecznie najrzetelniej dopełnić.

Tak usprawiedliwiwszy się we własnych oczach, Kaźmierz zaczął żyć z dnia na dzień, w tém czarodziejskiém odurzeniu, co niechce nic przewidywać, co gotowe jest przyjąć wyrok śmierci na jutro, byle dziś jeszcze nie stracić swego raję. Dziwił się tylko, jak mógł dwadzieścia kilka lat przeżyć na ziemi bez Hedwigi?

Jak mógł kiedykolwiek spoglądać na inne białogłowy? A spoglądał..... ach, tyle razy! Tak, — ale dawniejsze jego spojrzenia nie były podobne do dzisiejszych; dawniej, ciskał tylko iskrami oczu, a dzisiaj płomieniami serca. Dawniej, wszystkie kobiety (byle ładne), miały dla niego równą wartość; dzisiaj czuł, widział i wiedział, że ta jedna, to jest właśnie owa jedyna, która w Xięgach niebieskich została dla niego przed wiekami zapisana, darowana, słowem — tak jak śmierć — przeznaczona.

Ta pierwsza prawdziwa miłość, promieniowała z jego serca niby pierścień ognisty, pod którego upalnością i serce ukochanej topniało jak rosa pod słońcem. Z początku, przekonana że to jest nieznanie jój dotąd, uczucie siostry dla brata, Hedwiga nie broniła się wcale od nowych, upajających wrażeń; jednakże po dniach kilkunastu, zaniepokojona stanem swojej duszy, już wybierała się do kościoła Dominikanów, dla zasięgnięcia rady od mądrego swego spowiednika,

Ojca Damiana, gdy nagle, inna spowiedź, sprowadziła niespodziany przewrót w jój pojęciach.

Pan Kaźmierz — jak wiemy — w pierwszym zawiązku znajomości, był rad swemu rzekomemu braterstwu; prędko mu jednak ono zacieżyło, bo jeśli pozwalało na pewną niewinną poufalskość, za to wzbraniało wszelkich półsłówek i półwyznań, zmuszało go nawet do hamowania zbytniej wymowy oczu. Młody junak niemógł długo znosić podobnych więzów, i już po dwóch tygodniach je rozerwał. Stało się to, bez żadnego z góry powziętego zamiaru, lecz w przystępie niecierpliwości. Widząc u Hedwigi coraz większe zdumienie nad jego dziwnym zachowaniem się względem «siostry», wyznał jój nagle, bez ogródki, że nie jest jój bratem, a na poparcie swojego twierdzenia, dodał:

— Wiem to dokumentnie, bom nakoniec dostał ów respons, gdzie Pan Ociec rememoruje mi, jako Krysią miała rok czwarty kiedy ją poganie unieśli. Tedy wedle daty, Wacpanna niemożesz na żaden fason być mi siostrą, i ja temu jestem bardzo rad.

Mówiąc to, wpatrywał się bacznie w Hedwigę, i dostrzegł z radością, że i jój te słowa najwidoczniej przyniosły ulgę. Odtąd, stała się nieśmielszą, ale zarazem i czulszą, przyczém zdradzała jakieś tajemnicze uszczęśliwienie, którego dawniej nigdy w niej nie dostrzegał.

Wprawdzie ta szczęśliwość była dla Hedwigi zamącona pewnym niepokojem; Pan Kaźmierz prosił ją, a nawet stanowczo żądał, ażeby wia-

domość o liście Pana Miecznika zachowała tylko dla siebie, «gdyż - mówił — niech Pan Konzul jeno się dowie, że my nie familia, zara będzie chciał mię od Wacpanny exulować, przyczém on albo ja możemy położyć głowę.»

Prawa dusza Hedwigi wdrygnęła się na taką nieszczerłość; mniej wszakże, niż byłaby się wdrygała dawniej. Gdyby Pan Majster był pozostał dla niej na zawsze niczém innym, tylko jój ojcowskim, szanownym opiekunem, byłaby pewnie odrzuciła żądanie Pana Kaźmierza. Ale od chwili, gdy opiekun zaliczył się do zalotników, stracił niezmiernie w jój oczach na powadze, i zrównał się niejako z Kaźmierzem, przyczém wszakże zachodziła ta wielka różnica na jego niekorzyść, że nie był kochanym, podczas kiedy tamten..... ach tamten!

Skoro jeszcze Hedwiga wspomniała, że takie wyznanie mogłoby istotnie rozdzielić ją z najmiłszym, a co więcej, stać się powodem ciężkich, może krwawych zatargów, przytłumiła szemrania swojej duszy, i zachowała milczenie wobec Pana Rajcy, który ze zdumiewającym spokojem niczego się nie domyślał.

Źródłem téj niedomyślności była potężna miłość własna. Pan Johann Schultz miał przekonanie, że gdy obdarzy Hedwigę swoją wspaniałą osobą, swoim nazwiskiem wielce w Gdańsku cenioném, swoją sławą kunsztmistrzowską, i swojemi wielkimi bogactwami, wyświadczy jój najwyższe dobrodziejstwo, i nie przypuszczał, aby kiedykolwiek, mogła kogokolwiek nad nie-

go przełożyć. To przekonanie zaślepiło go tak mocno, że patrzył a nie widział, słuchał a nie, słyszał, i gdy już cały Gdańsk — przyglądający się zalotom Porucznika — z uśmiechem powątpiewał o jego «braterstwie», jeden Pan Rajca nie miał ani cienia wątpliwości, codziennie zapytywał o «respons» Pana Miecznika, i źle wróżącego Korneliusa, kilka razy tak porządnie zfułał, że i jemu w końcu zamknął usta.

Kornelius jednak trwał w swoich złych przecuciach. U niego miłość, pozbawiona próżności, nie sprawiała zaślepienia, lecz owszem jasnowidzenie prawdy.

Miłość ta dawno już w sercu jego rosła. Za życia Pani Doroty, karmił się nadzieją, że może kiedyś potrafi sobie wysłużyć tę śliczną panienkę, która w oczach jego coraz nowymi wdziękami rozkwitała.

— Czemu nie? — Myślał nieraz! — Gdy zrobię mój «meister-stick», a będzie on taki, że cała Hanza okrzyknie się z podziwu, gdy i ja też zostanę Meistrem, czemużbym nie miał otrzymać jęj ręki?

Ta nadzieja dodawała mu sił do pracy, rozbudzała jego zdolności, przywiązywała go do Meistra Schultza, i cały ten dom czyniła dla niego Edenem.

Nagle — zrobił straszliwe odkrycie.

Po śmierci Pani Doroty, spostrzegł, że sam Pan Majster chce zająć marzone przez niego miejsce.

Wpadł w rozpacz — znenawidził swego

zwierzchnika — jednakże, jeszcze się z nim nie rozstał.

Miłość jego stała się beznadziejna i posepna, a jednak jeszcze podszeptowała mu jakieś półsłówka, na które złośliwie się uśmiechał. Wiedział, że Hedwiga w związku z Panem Schultzem nie może być szczęśliwą, a zatem — kto wie? Może jemu przypadnie udział pocieszyciela? Dawno znajomy, zawsze pod jęj ręką — a przytęm, tak wiernie, tak szalenie zakochany — on może prędzęj niż inny..... Nie będzie to już takie wielkie szczęście jak posiadanie jęj dozgonne, ale — i kradziony skarb, zawsze skarbem,— a przytęm, co za rozkoszna zemsta nad tym niegodziwcem Panem Schultzem!

Znienacka — wśród owych, już zachmurzonych, ale jeszcze przyjemnych marzeń, jak piorun z nieba spadło, zjawienie się Pana Kaźmierza — i na ten raz, Kornelius uczuł, że gmach jego przyszłości już do podwalin się rysuje, że to nieprzyjaciel stokroć groźniejszy od Majstra Johanna, bo tamten zabierał tylko rękę Hedwigi, a ten wykrada mu jęj serce. O tak, wykrada! Kornelius od pierwszej chwili spostrzegł olśniewające wrażenie, jakie młody junak sprawił na Hedwidze, i odtąd, codzien dopatrywał nowe objawy budzącego się w nięj uczucia, nagłe rumieńce, — smętnie zadumania — i niespodziane wybuchy radości — wszystkie owe znaki sercowego rozkwitu, na które on tak dawno czekał, a które teraz — niestety — zwracały się nie ku niemu, ale ku temu posłowi nieszczęścia! Oh,

on się znał na miłości, on, co tak dawno i zawzięcie kochał! To tęz niemógł zrozumieć spokoju Pana Majstra, trząsł się ze zgrozy na jego zaślepienie, gwałtem chciał mu oczy otworzyć, i byłby w końcu pewnie dopiął celu, gdyby nie

Pani Flora, która ze zwykłą sobie przenikliwością, dostrzegła niebezpieczeństwo jakie od tęj strony zagraża, i zażęgnąła je machjawelskięm orzeczeniem: «Divide et impera». Zaczęła Pana Majstra podjudzać na Korneliusa. W każdęj niemal rozmowie dziwiła się, «dlaczego tak znaczny jak on personat, postponuje się ze swoim Czeladnikiem, i pozwala mu nos wtykać w domowe sekreta?»

Pan Majster, (który miał słabość do Pani Flory, i wielce sobie cenił jęj zdanie), polechtany w swojej próżności, zaczął lekceważyć Hollendra, zaprzestał z nim żartów i zwierzeń, i tak go zwolna od siebie odsunął, że chłopiec, karmiony ze wszech stron upokorzeniami, zaciął się w milczeniu, i już prawie wcale nie wychodził z warsztatu.

Nietylko pod tym względęm, ale i pod wszelkimi innemi, Pani Flora stała się istnym duchem opiekuńczym dla dwojga zakochanych, którzy nie podejrzewając, aby piękna wdówka mogła w tęj opiece mieć jakie osobiste widoki, nie znajdowali dla nięj dosyć słów dzięczynnych, i z pełnęm zaufaniem otwierali jęj duszę. Pani Flora była nieprzebraną «w amowych fortelach». Z dziwną sztuką umiała zagadywać i sobą wyłącznie zajmować Pana Schultza, dzięki

czemu, tamci mogli wedle woli rozmawiać na uboczu. Hedwidze powtarzała jak najwierniej pochwały i wykrzykniki, z jakimi Kaźmięrz odzywał się o nięj, a Kaźmięrza wtajemniczała w najskrytsze panięskie zwierzenia.. Czasem nawet, rzeczy tak zgrabnie ułożyła, że niby trafem schodzili się w jęj domu, a chociaż te schadzki były krótkie, poważne, i zawsze pod jęj okiem odbywane, jednak przedstawiały dla nich nieocenioną chwilę swobody, w której uwolnieni od oczu Majstra i Hollendra, mogli nakoniec odwiązać maskę przybranego braterstwa. Bo i Pani Flora już razem z niemi śmiała się z owęj «maszkarady». Pan Kaźmięrz nie potrzebował nawet czynić jęj w tym przedmiocie żadnych wyznań, sama je uprzedziła. Kiedyś, gdy przed nią utyskiwał na milczenie Pana Miecznika, rzekła do niego:

— Nie kpj z białołowy Panie Officyjerze. Aniś Waszmość pisał do Oćca, ani czekasz od niego responsu.

— Jakoż to? — Podjął zmieszany Pan Kaźmięrz.

— A tak jako ja mówię. Waszmość wykoncypowałeś takową hallegoryę, aby łódkę swego affektu przeprowadzić między rafami przeciwnych sobie humorów.

I wcale się to Waszmości nie gani. Bosman jako może lawiruje, niby kręci na prawo, a w rzeczy jedzie na lewo, i mądrze czyni; milszać mu jego skutka, niżeli wola srogich Akwilonów.

— Nie będąc ja się z Wacpanią spierał,

kiedy prorocko czytasz w sercach. Owóz, upraszam jeno, abyś mię przyjęła pod banderę swojej protekcji, a tuszę sobie, że z takowym sygnałem, dopłynę do fortunnego portu.

I płynął dalej Pan Kaźmięrz «fortunnie». Tygodnie za tygodniami schodziły w rajskiem zaczarowaniu, tak dla niego jak i dla Hedwigi. Cudna to była pora w ich życiu, niby młodzieuchny Maj miłości, kiedy uczucie nie jest jeszcze wyznane ustami, a już zdradza się w każdym spojrzeniu, w każdym ruchu, zwłaszcza w owych półsłówkach, na pozór szarych i zwyczajnych, a podszytych drugiem, różowem znaczeniem, które jest widzialne tylko dla drogiej istoty.

Niebo też na wszystkie sposoby sprzyjało temu zaczarowaniu; pogody były ciągle prześliczne; Pan Konzul coraz częściej dawał się wyciągać na zamiejskie «spacyry». Chodzono więc we czworo, to na «Biskupią górę», to do «Nowych Ogrodów».

Co Sobotę jeżdżono do wioski nadmorskiej, gdzie bogaci Gdańszczanie i ciekawi podróżnicy przybywali co tydzień, dla spędzenia dnia niedzielnego na zabawie i użyciu kąpieli w morzu; nazywało się to jeżdżeniem «na Soboty». (Dzisiejsze Zoppoty).

A że miejscowość była blizką przylądka Heli, Pan Kaźmięrz zapragnął pokazać swoim znajomym flotę królewską, stojącą w Puckiej

zatoce, a zwłaszcza okręt, na którym kilka lat przemieszkał. Wojenny ów statek, zwany «Łabędziem», choć dobrze już wysłużony, wyglądał wspaniale i prawdziwie po monarszemu, był to bowiem jeden z owych pięciu okrętów, co przewożyły Zygmunta III-go do Szwecji. Wojskowi od Łabędziowej załogi, niedawni współtowarzysze Kaźmięrza, uprzedzeni przezeń o przybyciu jego przyjaciół, wyczytali mu z oczu na co się zanosz, i przyjęli ich uroczyście; Pana Konzula nawet z wyróżniającą «attencyą», co niezmiernie mu pochlebiło. Piękność i wdzięk Hedwigi wznieciły w nich taki zapał, że — jako godną najwyższej «admiracyi», okrzyknęli ją swoją «Admirałką». Pani Flora, chociaż mniej głośno, zbierała jeszcze więcej hołdów, bo jęj dowcip i śmiałe wzięcie, były jakby stworzone do zawracania głowy Panom Oficerom.

Siedziano więc przez cały wieczór na pomoście, oświeconym różnobarwnemi latarniami; śpiewano chórem «Flisa» i różne lżejsze fraszki, wieczorzano z sutemi kielichami, dawano z dział gęste salwy, aż Pan Schultz w upojeniu oświadczył, że jeśli będzie miał kiedy syna, to go przeznaczy do «Wodnej Armaty». (Przy tęg sposobności dobrze jest nadmienić, że używane u nas wyrażenie: «Wodna Armata», nie oznaczało

bynajmniej artylerji wodnej, ale «armię morską», czyli flotę wojenną, i było zapewne zepsutém przypomnieniem Hiszpańskiej «Armady», której niedawne przedsięwzięcia i klęski, tyle uzyskały rozgłosu).

Innej Niedzieli, pozwolono im zwiedzić Zamek Władysławowski, na co Gdańszczanom rzadko bywał udzielany przywilej.

Czasem też, nie wychodząc z obrębu miejskiego, tuż za Zieloną Bramą, wsiadali do czółna, które ich wiozło po ciemnej a przepastnej Motławie, okrążającej Spichlerzową dzielnicę. Tam dopiero można czuć i widzieć, jak silnie bije serce Gdańska. W dzień, ruch niesłyszany. Krocie statków o kształtach wszelakich, ciężkich, wybujałych, jaskółczych. Na statkach i na stopniach domów, tysiące ludzi gadających stu językami, od flisaków Krakowskich, do murzynów, niewolników jakiegoś zamorskiego armatora. Wszyscy krzyczą, kłaniają się, uśmiechają, a rękami machają, bo wszyscy się targują, i każdy chce każdego przekonać. Tu zboże, z przeraźliwym skrzypem idzie w górę po «misterniej» Windzie, ówdzie z sypkim jękiem spada na szalę niemniej misterné Wagi. Na palowych pomostach, pełno stołów dla pisarzy i wexlarzy, pełno budek z błyskotkami, przekupniów z przysmakami. Wszędzie chaos kolorów i dźwięków — jarmark narodów — zrękowiny morza i ziemi, obsyłających się wzajemnie swojemi bogactwami.

Z końcem dnia, dzielnica ta staje się jeszcze ciekawszą. Ruch cichnie — zmrok szarzeje — Motława robi się czarna jakby Kocyt. Nad ową żelazną wodą, bezokienne Spichlerze, ślepe, głuche, siedzą jakby niezgrabnie ociosane opoki. Powietrze, pocięte króskami lin i masztów, połamane gzygzakami windowych profilów, płacze

się w niezrozumiały rysunek. Wtedy, wszystkie owe Klonowiczowskie «wschody, wzwoły i tetry», wszystkie owe młyny Krzyżackie o dziwoląźnych kształtach, zaczynają majaczyć niby gród przedpotopowy lub zaklęty, zbudowany nie przez ludzi, ale przez jakieś bajeczne, pół-potworne istoty, które z po za każdego węgla, już..... już mają wyjrzyć..... Niejedno serce czuje tam ich obecność, przynajmniej nasi zakochani czuli ją wyraźnie, i to przyjazną i usłużną, bo podczas kiedy Pani Flora, siadłszy u jednego końca łodzi z Panem Schultzem, opanowywała go swoją sidlącą rozmową, tymczasem na drugim końcu, Kaźmiierz i Hedwiga mogli zamieniać spojrzenie lub uścisk ręki, niepochwytne dla cudzych oczu jak Motławowe Chochliki.

Tak to w owych złotych tygodniach, życie uśmiechało się do młodej pary, podsuwając jej codzien to nowe, a zawsze miłe «sprawy i zabawy».

Obecnie zaś, wszystkie inne gasły obok owej zabawy tanecznej w Artus-hofie, z której miasto całe obiecywało sobie wiele przyjemności, ale nasi znajomi jeszcze więcej niż inni, bo tam Hedwiga miała po raz pierwszy wystąpić w liczniejszym zgromadzeniu.

Jednakże wszystkiemu jest koniec; przyszedł on i dla owego miłosnego Maju. Właśnie w przeddzień Artusowych tańców, Pan Kaźmiierz

otrzymał od ojca list, który go do głębi duszy poruszył. List nie zawierał żadnych groźb ani łajań, ale był niesłyszanie smutny. Ojciec żalił się na swoją samotność, na brak pomocy w gospodarstwie, i niemógł zrozumieć powodów, dla których «najmilszy synaczek», po długich latach rozłąki, jeszcze tak okrutnie odwłóczy swój powrót?

Ów smutek i owa łagodność, wstrząsnęły Panem Kaźmierzem silniej niż najcięższe wyrzuty.

Rzekł do siebie:

— Raz już trzeba skończyć.....

A zakończenie tylko jedno już dzisiaj dla niego istniało: małżeństwo z ukochaną.

Bo przez ciąg tych sześciu tygodni, myśli Kaźmierzowe uległy najniespodziewañszym przeobrażeniom. Stało się to nieznacznie i prawie bezwiednie. Teraz nie byłby chciał uwierzyć, gdyby mu powiadano, że jeszcze przed czterdziestu dniami stawiał jakiegokolwiek w tej sprawie zarzuty. Wszystkie one gdzieś przysły, i przemieniły się owszem na potwierdzające dowody.

Jój niewiadome urodzenie? Ach przeciwnie, bardzo wiadome, bo dość jest widzieć jak ona wygląda, jak chodzi, jak patrzy, i we wszelkiej rzeczy sobie poczyna, dość pogadać z nią przez trzy pacierze, aby przysiądz że jest wysoko urodzona. I jak jeszcze wysoko, kiedy nawet cały żywot przebyty pomiędzy miejskimi łąkami, niemógł z niej zetrzeć tej cechy pańskości!

Gniew Pana Miecznika? Ależ niech on ją

tylko raz obaczy, niech jeden dzionek z nią przebawi, a będzie syna błogosławił za to, że przywiózł mu taką synowę!

Jój przywyknienie do wielkich dostatków? Ależ Pan Kaźmiérz codzień jój powiada, jakie to życie skromne jest i twarde po naszych szlacheckich dworach, a ona zawsze odpowiada, że wolałaby małą chatkę na wsi, gdzie jest zielono i kwiecisto, niż złocone komory po kamiennych miastach.

Już więc z jego strony niemoże być mowy o żadnym wahaniu. Ale jest jeszcze inna, ogromna niepewność..... Oto, czy ona, Hedwiga, przystanie na sposób, w jaki Pan Kaźmiérz chce ich szczęście doprowadzić do celu? Sposób to niezwykły i mocno niebezpieczny..... a jednak, niema innego. Już on dobrze sobie głowy nad tém nałamał, i ostatecznie się przekonał, że niéma innego.

Właśnie krocząc przez miasto, ważył w umyśle te nadzieje i te trudności, kiedy spotkał Panią Flore, wychodzącą z kościoła Dominikanów. Usłyszawszy o co chodzi, wróciła się z nim do kruchty, i tam odbyli długą, cichutką naradę. Skutek jój musiał przypaść Pani Florze do serca, bo przy pożegnaniu, stanęła jeszcze na progu i rzekła:

— Galanckoś Waszmość to wymedytował. Sposób rezykowny, ale heroiczny, jakby w jakiejś poemie. Jeno bez pytania się, ani Panów Oóców,

ani Panów Schultzów, bo to by próżno przyczyniło perplexyi, a tak, post factum, będą musieli oba powiedzieć «Amen», i wszystko z czasem się zagodzi.

— Więc Wacpani dajesz całki swój assentyment?

— Oh! Z całej duszy. Sprawiedliwieś téż Waszmość powiedział, że w moim domu tego niemożna uplanować, bo toby na moją sławę cisnęło szpetną famę, i pomnij téż Waszmość, że by mię to skłóciło z Panem Rajcą, a on dla mnie precyozny przyjaciel. W peregrynacyach za miastem takóž trudno by to przefilować, bo Pan Schultz wiecznie z nami na spacyry chadza. No, a tam, w onej tłocznej assambli, w onym piaskowym rozgardyaszu, cała rzecz pójdzie łączno, i nieprędko będzie zweryfikowana, i nikt nie zostanie posadzony o to, że był komperem. Jeno zawdy powtarzam, niech rzecz będzie z xiędzem, bo jak bez xiędza, to Waszmość postradasz moją konsyderacyę, i będziesz wart huncfockiej kaźni.

— Za kogóz mię Wacpani masz? Dawniej co prawda, uciekał ci ja od więzów Hymenu, ale dzisiaj sam do nich wzdycham, sam do nich ręce podawam, bo jak raz człowiek szczęście złapie, toby je chciał na wiek wieków do siebie przykować.

Po tak zachęcającej rozprawie, Pan Kaźmiérz przez dzień cały uwijał się jak oparzony. Jeździł do klasztoru Oławskiego, jeździł do Władysławowa, wszędzie odbywał jakies

tajemnicze

narady. Nazajutrz także, rozsyłał na wsze strony swojego pacholika Maćka, niby Hajduka wedle węgierskiej sukni, w rzeczy zaś poczciwego Mazura, który zbytkiem rozumu nie grzeszył, ale miał takie przywiązanie do pana, że na jego rozkaz byłby pewnie próbował, czyby się nie dało przejść pieszo przez morze?

Nakoniec pod wieczór, Pan Kaźmiérz zaczął przywdziewać strój balowy, nowiuteńki, prześliczny. Nie był on bardzo kosztownym, ale dla skromnego mieszka, stanowił i tak niemały wybryk. Mieszek ten, jak pamiętamy, już przed sześcioma tygodniami srodze pisał, a cóż dopiero teraz? Ach teraz, milczał, głuchą ciszą konania. Ale bo téż, co to wypadło niespodzianych wydatków! Przez te wszystkie tygodnie, Pan Porucznik nietylko już opłacał gospodę, ale i kwiatkami obsyłał Pannę-Siostrę, i Pani Florze nosił różne słodkie łakocie, a czasem i jaką wykwinną niewieścią fraszkę, i jej służebnej, Fruzi, nieraz do ręki wetknął upominek. Przy takim drobnym ale ciągłym szafunku, pieniądze jakie był przeznaczyl na drogę powrotną, rozeszły się niewiedzieć kiedy. Musiał więc brać różne rzeczy «na borg», a potém poszukał pewnego Imci Pana Millera, co swoim «geldem» ratował skłopotanych młodzieńców. Markotno mu to było, ale mówił sobie:

— E! Jakoś to będzie. Niech jeno wrócę na wieś, to wezmę, się tego do harunku, i wszyst-

ko w mig odrobię. Nie teraz pora na sknérzenie. Raz jeno w życiu człek się żeni. Raz jeno człek na prawdę się kocha.

(Tak zawsze młodzi mówią, zapominając, że są ludzie, co i po dwa razy, i po kilka razy się żenią. A co do zadania, ile razy człowiek naprawdę się kocha, tego żaden psycholog jeszcze nie rozwiązał, bo każdemu zakochanemu, za każdym razem się wydaje, że to dopiero jest pierwszy raz «na prawdę»).

A już jeżeli kiedy niewypadało «sknérzyć», to niezaprzeczenie dzisiaj. Mógłże w swoim zwykłym porucznikowskim ubiorze, zszarzanym już dosyć długą służbą, wystąpić na tém wspaniałem zebraniu, gdzie chciał pięknie wydać się przed Hedwigą, gdzie miał po raz pierwszy prowadzić ją w taniec, gdzie miał jój powiedzieć takie rzeczy, od których zawisło jego szczęście albo nieszczęście, słowem, w tym najważniejszym dniu swego żywota?

Przy wrodzonej sobie sprężystości ducha, Pan Kaźmiérz wprędce zapomniał o troskach, borgach i Millerach, i rozwiązanie tych kłopotów odłożywszy do dni następnych, teraz już tylko cieszył się swoim nowym strojem. I naprawdę miał się czém cieszyć. Gdy Maciek pana ubierał, to aż usta rozdziawiał od podziwu, a ręce mu się trzęsły od radości. Wprawdzie ubiór dzisiejszy, pod względem barw i kroju, był podobny do codziennego, ale z jakże odmiennych

pierwiastków stworzony! Zamiast kaftana z łosiej skóry, Pan Kaźmiérz nadział «szustokor» (tak u nas wymawiano *juste-au-corps*), usyty z mięsistego, kanarkowego «hatlasu», objęty przy szyi obwisłym, koronkowym kołnierzem, i takiemiż u rąk mankietami. Na piersiach, zamiast prostego rzemienia, miał ukośnie przeciągnięty, czarny niesokorowy passamon (kupiony w składach Pani Flory), u którego po staremu zawiesił kordelas. Hajdawery nie były z grubój rasy, ale z cieniuchnej niebieskiej sajety, ze srebrnemi na szwach rygielkami. Niziutkie półbucia żółte safjanowe, lekkością swą dorównywały prawie Francuskim trzewikom. Na barkach zamiast włochatěj burki, Pan Porucznik zawiesił krótki deljunak z ciemno-wisniowego axamitu, białą sateniską podsyty, i srebrną pętlicą u piersi

zadzierzgnięty. Na głowę nałożył precudną magierkę, tegoż ranka w mieście zakupioną; (Gdańsk albowiem słynął z wyrobu najpiękniejszych magierek); było też to istne pieścidełko, z błękitnym denkiem, i wąską bobrową obłózką, nad którą wystrzelało harde pióro sokole.

Naciągnąwszy nakoniec zamiszowe rękawice, rad z siebie, poszedł do Artusowego Dworu, czyli «Artus-hofu».

Gmach ten, jeden z najdziwaczniej pięknych i najpiękniej dziwnych, jakie można spotkać w północnej Europie, był istnym Benjaminem

Gdańszczan. Tam oni, przez ciąg długich czasów, nagromadzili zwołna «swych myśli przędze i swych uczuć kwiaty».

Przędza to trochę rażąca pstrokacizną, kwiaty to nieznanne innym wyobrażniom, ale właśnie z tej przyczyny że gdzieindziej nieznanne, że z nikąd nie naśladowane, zaciekawiają swoją samorodną niezwykłością i krasą.

Artus-hof, przytulony do Ratusza, tworzył z nim razem parę gmachów, królującą nad całym Gdańskiem. Na Ratuszu miasto się rządziło, w Artusowym Dworze się bawiło, gdyż był to budynek przeznaczony wyłącznie na wspólne zabawy (jak dzisiejsze Resursy), i dość też nań spojrzeć, aby poznać, że urodził się z wesołej myśli.

A najprzód, już sama nazwa przypomina obrazy wysoce poetyczne, i co więcej, pełne społecznego znaczenia; musi ona sięgać owych czasów, kiedy najchętniej czytowaną księgą, był sławny szereg romansów o królu Artusie, przy którego stole wszyscy czuli się równymi, bo stół ten, wycięty w kształt obręczy, nie miał ani miejsc wyższych, ani szarego końca.

W tej przezroczystej przypowieści, bardzo zasmakowały republikanckie miasta, dobijające się przez cały ciąg Średnich Wieków, o coraz nowe prawa i swobody. Zasmakował w niej również i Gdańsk hardogłowy, który ją nawet obrał za «motto» do swoich zgromadzeń. Wiec w Artus-hofie, jak niegdyś przy «Okragłym stole», powiedziano sobie, że nie będzie ani miejsc

wyższych, ani szarego końca. Czy dygnitarze Koronni, czy szlachta wioskowa — czy Patrycjat miejski, czy niższe kupiectwo — czy opasłe Majstry, czy wysmukła Czeladź — czy swoi, czy cudzoziemcy — wszyscy tu byli względnie równi, wobec świętych praw gościnności. Powtarzamy jednak wyraz względnie, bo i tu, jak zawsze i wszędzie, kto bogatszy, ten więcej przepychu roztaczał — kto mędrszy lub dowcipniejszy, ten więcej miał słuchaczy — kto siedział na urzędzie, ten odbierał niższe pokłony — a im kto piękniejszy, tym więcej zbierał hołdów. Na to i sam Artus już nie mógł poradzić.

Ale z tym wszystkiem, bawiono się przednio, i w gmachu godnym przesławnego miasta.

Budynek to duży, i taki głęboki, że swemi dwiema szczytowemi ścianami, wychodzi na dwie odmienne ulice, a jednak w całej swojej długości, szerokości, i wysokości, zawiera tylko jedną jedyną salę. (Wyjąwszy parę bocznych, malutkich pokoików, które są raczej wnękami wykrojonemi w odwiecznej grubiznie murów, i dawniej służyły za «bufety.»)

Przy białym dniu, sala jest oświetlona dosyć dziwnie, na przestrzał, gdyż obie ściany szczytowe składają się prawie wyłącznie z kryształu. Nie są to właściwie ściany, ale — i tu i tam — po trzy okna, olbrzymie jakby łukowe bramy, przedzielone tylko filarami, ozdobne — tak zewnątrz jak i wewnątrz — mnóstwem posągów, godeł i wyłóceń.

Dwie boczne ściany są nierównie dłuższe; każda z nich także rozpada się na trzy działy; ale tu już niema żadnych okien, tylko wielkie, mocno zaciekawiające freski. W ich

treści niemożna się dopatrzeć żadnego następstwa ni łączności, ale to niedziw, kiedy w każdym z tych działów inna Gilda gospodarzyła, i na własną rękę przyozdabiała swoją połąć muru. Jedne kazały sobie malować ustępy z Biblii lub Żywotów Świętych, inne z Mitologii, a jeszcze inne lubowały się w Allegorji. Z owych różnych pomieszanych natchnień, wytworzył się cały świat fantazji, prześliczny, i jak cała postać Gdańska, bezwzorowy.

Jest jednak we wszystkich tych obrazach, jeden rys wspólny; ze środka wszystkich, (przynajmniej główniejszych,) wystają gałęziste, prawdziwe rogi jelenie. Gdańszczanie je tam umieszczali, na dowód że posiadają «prawo łowów.» Prawo to, stanowiące przez długi czas, we wszystkich krajach, wyłączny przywilej najwyższych stanów narodu, srogimi zakazami obwarowane, było dla niższych, celem gorącej żądzy i zazdrości. To też miasta co go się dobiły, niemogły się niem nacieszyć. I Gdańsk tej uciechy kosztował nie bez dumy, znaczniejsi jego mieszkańcy oddawali się namiętnie owęj «pańskiej» rozrywce, i gdzie tylko mogli, rozwieszali trofea myśliwskie. Ztąd i w Artushofie owe rogi, które na rozpacz malarzy, niemiłosiernie do ich dzieł przybijano. Wprawdzie niektórzy artyści, wybrawszy stosowny przedmiot, zdolali usprawiedliwić w obrazie obecność tego

dziwaczego przydatku. I tak, we fresku poświęconym Djannie, Akteon, już na pół zmieniony w jelenia i wyskakujący z obrazu, bardzo dobre sprawia wrażenie. Ale taki «koncept» nie wszędzie mógł być z równem szczęściem przystosowany.

W «Sądzie Ostatecznym» naprzykład, ów jeleń co smętném okiem przygląda się duszom potępionych, stanowi zagadkę, nad którą dzisiejsi widzowie napróżno sobie łamią głowę. Tymczasem klucz zagadki taki prosty! Każda Gilda chciała mieć swego jelenia, musiał więc jeleń znaleźć się i w Dniu Sądym. Pytanie tylko, w jakim usposobieniu twórca obrazu go tam domalował? Czy śmiejąc się dobroduszenie z pustego żarciku? Czy naigrawając się gorzko z «filisterstwa» swoich Mecenasów?

Pod rzędem fresków, stoją z obu stron ławy ciężkie i wspaniałe, rzeźbione jakby stalle, a przed nimi niemiń pomnikowe stoły. (Dziś, dla potrzeb Giełdy, wysunięte na środek sali). Ale najgrubszym tu pomnikiem, jest piec olbrzymi, prawdziwy patryjarcha pieców, gmach wielopiętrowy, którego polewa, o wypukłych kwiatach i osóbkach, o barwach rozlicznych ale nieco fałszywych, majaczy nakształt wyblakłej makaty.

Nad tém wszystkiém zaokrągła się przepyszne sklepienie, długie i wysokie jak u nawy kościelnej, oparte na czterech słupach, zaznaczających środek sali.

Z owych sklepień zwieszają się ozdoby, dziwne, i niezaprzeczenie stosowne dla portowego miasta; są to kołyszące się na sznurach, maleńkie

modele okrętów, jakie w Gdańsku bywały różnemi czasy budowane, kupione, lub zdobyte. Wszystkie owe karawelle, stradyjotki, galeassy, i rozliczne inne morskie domy, wyrobione misternie, z maszcikami, żagielkami, okienkami, tworzą nad głową przechodniów nadpowietrzną flotyllę, która dziś jeszcze, choć już mocno zczerniała i zmurszała, stanowi prawdziwe muzeum żeglarskie, a za nowości, musiała być nietylko miłą lecz i drogą tym ludziom, co w niej widzieli swoje własne dzieje, przygody i sławę.

Niegdyś też, między rzędami okręcików, były i gęsto rozwieszone pająki, («meistersticki» słynnego Gdańskiego mosiężnictwa,) które wieczór setkami świec woskowych rzęście rozświecały salę, i przez owych sześć bram przezroczych, biły na miasto we dwie strony, dwoma potokami złotój luno.

Pan Kaźmierz znał na wylot cały Dwór Artusowy; od kilku lat nie ominął żadnego większego zebrania, i jako jeden ze świetniejszych tancerzy, nahulał się tam do syta. Nigdy jednak ta sala nie wydała mu się tak piękną jak teraz; mury jój tchnęły dzisiaj dla niego jakąś tajemniczością, która go i wabiła i przestraszała.

— Tu, — mówił sobie — dzisiaj, za moment, wyprognostykuje się cała moja przyszła destynacya.

Na początek wszakże, spotkało go nieprzyjemne wrażenie; ów jego wypieszczony ubiór, co w skromnej gospodzie wydawał mu się tak wspaniałym, tu gasł i nikał obok innych. Ale bo co też to przepychów przewijało się po tej sali! Najświetniej błyszczeli nasi klejnotni panowie, ciągle tu przyplływający z pszenicą i żytem; ci zwykle po mieście chodzili w swoich podróżnych «marynałkach,» ale na zebranie w Artus-hofie wydobywali z sepetów najcenniejsze stroje; wszędzie były w oczy brokadjowe żupany — guzy jak pączki róż, z samych rubinów — czaple kity — kapiące od złota pasy — wschodnie szable nabijane turkusami - szkarłatne czuhy i ferezje o brylantowych szponach. — Było też i mnóstwo cudzoziemców, przynoszących tu okazy wszelkich strojów Europejskich, Azjatyckich, a niekiedy i Afrykańskich, bo czasem na jakim Kastylskim okręcie, zawinął i jaki Maur o białym zawojowym kapturze. Przychodzili na tę zabawę przez ciekawość, a sami stawali się jedną z największych jej ciekawości. — Pomiedzy właściwymi Gdańszczanami, starszyzna ubierała się z niemiecka lub hollenderska, młodzież zaś najczęściej z francuzka; zwłaszcza na taneczne zebrania, kładziono prześliczne pończochy i trzewiki, «pourpoint'y» z barwnymi wypuszczkami, płaszczyk wależjuszowski wywijający się z pod leciuchnej kręzy, a na głowę — toczek zdobny piórem. Ta głowa była fryzowana z niezmiernym staraniem; jedni zakręcali nad czołem dziwnie harde czuby; — inni, (ci mianowicie, co mieli spadające koronkowe kołnierze), nosili włosy

długie i do pół pleców rozpuszczone, według mody zwaną «kometową;» — inni jeszcze z po za lewego ucha zwieszali sobie warkoczyk, ową tak słynną «cadenette», co się zakończyła «galantem», czyli wstążką w motyla zawiązaną; — czasem, zamiast warkocza, był to pukiel zwinięty w rurkę długą, ile tylko dało się, najdłuższą. — Ci «Kadenettowi» panice, jako stanowiący ówczesną «złotą młodzież,» mieli zazwyczaj wielkie u dam powodzenie. Obecnie, u Gdańszczanek, najwięcej go miał młody Morsztyn, czasowo tu bawiący patrycjusz Krakowski, pono wnuk tego potentata morskiego, co niegdyś, własnymi okrętami, na własną rękę, prowadził handel z Anglią i Hiszpanją. Dzisiejszy Krakowianin, nie posiadał już tyle co jego dziad okrętów, ale za to był posiadaczem sławnie pięknych, blade-złoty włosów, które uwijał w pukiel długi aż po serce, zakończony blade-błękitną kokardą. Według przyjętych wówczas, mitologicznych zwrotów mowy, przezwano ten pukiel «strzałą Feba,» i twierdzono że choć taka miękka, strzała ta, niejedno serce już na wylot przeszła.

Dziś jednak pięknego Morsztyna, przyćmiewał jeszcze piękniejszy «sire de la Crosade,» rodowity Francuz, który wspaniał się w naszych bojach rycerskimi dziełami, a w Artusowej sali wspaniał się wprowadzeniem nowej kawalerskiej mody; jego pukiel ciemny, prawie czarny, zakończony gorąco-różowym «galantem,» był nietylko równie długi jak «Febowa strzała,» lecz jeszcze, o dziwo! na wysokości ucha był przetknięty py-

szną, gruszkowatą perłą. Mody tej, tylko co wynalezioną przez jednego z książąt Lotaryńskich, nikt jeszcze na północy nieznał; gość Francuzki dowiedział się o niej przez listy odebrane z Paryża, i wnet sprytnie ją przystosowawszy, zbierał teraz tryumfy, którym także nie brakło ambrozyjskiego smaku mitologii, gdyż jedna z Gdańskich piękności, spostrzegłszy ową perłę, ozwała się na pełnej sali, że «to pewnie sama bogini Wenus, wyszedłszy z morza, przyniosła mu taki trefny prezent.»

W obec podobnych współzawodników, jakżeż nie miał trochę posmutnieć Pan Kaźmierz? A jednak, niesłusznie smutniał. W zbytnej skromności zapominał, że jeśli nie nosi na szatach złota ni klejnotów, za to ma usta jak rubiny, zęby jak

perły, a w oczach czarne brylanty, którymi sieje całą Golkondę czarów. Zapomniał, — ale niebawem przypomniały mu to wszystko same białogłowy. Jak zaczęły z pod oka na niego spoglądać, a uśmiechać się, a szeptać, niby cicho, jednak dosyć głośno aby dobrze słyszał:

— Co za chłop urodziwy!

— Czysty bożek Mars in persona.

— Oj, żeby mię tak porwał do płasania, tobym chyba w obłoki wyleciała....

Tak Pan Kaźmiérz pokręcił węża, i pomyślał sobie:

— Ej! Chyba ja tu nie ostatni. A może się znajdzie i ktoś taki, dla kogo będę nawet i pierwszym?

Ów «ktoś» jeszcze dotąd nie znajdował się w sali, czemu Pan Kaźmiérz był rad w pierwszej chwili, boć wedle serdecznego kodexu, słuszną jest, a nawet konieczną rzeczą, by na miejsce spotkania, kawaler przybywał wcześniej niż pani jego myśli.

Teraz wszakże, gdy sam się już stawił, byłby chciał i ją ujrzeć jak najprędzej.

Trzymał się więc w pobliżu wejścia, i nie spuszczał z oczu szklanej bramy, którą wciąż napływały nowe pary i nowe gromadki strojnych gości.

Po chwili jednak musiał głowę odwrócić, bo tuż przy nim wrzała rozprawa taka gromka, że nie można było jęj nie zauważyć.

Na ogromnej ławie, przy ogromnym stole, siedziało kilku niemniej ogromnych mężów z Urzędu Miejskiego. Wszyscy o twarzy podobnej do pełni miesiąca, z brzuskami jak beczułki, na których trzymali zaplecione ręce, wszyscy w ubiorach buchciastych, w kręczach jak półmiski, jedni w grubych biretach, drudzy w kapeluszach takich płaskich a szerokich, jakie dziś już tylko u kardynałów można widzieć. Między temi dobrze wypasłemi towarzyszami, odznaczał się jeden, także ogromny wzrostem, ale chudy jak zeschłe drzewo, Secretarius Frydrych Hogge, który właśnie kończył swoje dowodzenie:

— Tak czy siak, zawdy ja powiem że Szpiryngowe cło, to nasza największa calamitas.

— Największa calamitas. — Powtórzyli chórem tłusci towarzysze.

— Bo proszę ja, dla czego dawne króle żadnego cła po nas nie wyciągały? Ale to literalnie, żadnego. Dopiero jak te nieznośne Szpiryngi, przybłądy z za morza przyszły, tak zara król ich nam na kark nasadził, i teraz rachuj się, płac i zawdy płac.

— Ia. Ia. Licho ich przyniesło z Ollendryi.— Przywtażali tłusci towarzysze.

Ale tu, po-nad wszystkie głosy, jakby dzwon srebrny, wybił się głos Pana Burmistrza Krzysztofa Freimutha. Siedział on przy tym samym stole, rozparty na wysokim krześle, także wspaniały, ale nad podziw kształtnie zbudowany. Ubiór miał z szafirowego Weneckiego axamitu, o jedwabnych, białych wypuszczkach, w około bioder szarfę ze złotęj siatki, a na piersiach kosztowny łańcuch. Czy od upału, czy od niemilego wzruszenia, musiało mu się zrobić gorąco, bo nagle zerwał swój wielki kapelusz, okręcony złocistą wstęgą, zaczęła pokazywać się jego twarz, piękna jakby oblicze Jupitera, zazwyczaj rozpromieniona łaskawym uśmiechem, ale teraz pałająca oburzeniem, które na środku jego czoła zarysowało Jowiszową bruzdę.

— Przez Boga żywego! — Zawołał. — Proszę ja Waszych Uprzejmości, nie gadajcie takich szpetnych rzeczy, boć na samo ich słuchanie, wnętrzości się w czleku precz skręcają. A dlaczegóż Król Jegomość niema cła wybierać? Wszakci we wszystkich królestwach i republikach tak się dzieje, że ludzie coś przecie przynoszą do Skarbu, wedle powszechnęj potrzeby? Inaczęj, żadne pań-

stwo na nogach by nie ustało. Pytam się Waszeciów, in gratiam czego my jedni na świecie mamy być wolni od wszelakiej obedyncyi?

— Ja swoje powtarzam. — Skrzeknął swoim twardym głosem Secretarius. — Dawne króle tego nie robiły, i dobrze było.

— A właśnie że źle. Dawne króle były za dobre.

— Ba! Czy to można być za dobrym? — Sarknął z ubocza ryżo-włosy Wójt Hans Hecker, co miał twarz podobną do łasiczego pyszczka.

Wtedy Pan Burmistrz uderzył w stół swoją dużą ale białą pięścią, i odparł:

— A można! I najlepsze na to exemplum, że ta dobroć nas popsowała. Kto nas to wyrwał z okrutnej Krzyżackiej oppresyi? Kto nas do serca przytulił? Kto, jak nie one króle nasze oćce, i nie ona wspólna matka nasza? Przez lat półtorasta my chleb u nich jedli za darmo, jako te małe dzieci co nic nie robią, a dostają nietylko swoją rację, ale jeszcze w dodatku i łakocie. A że teraz Król Jegomość prosi tego, co my już od lat półtorasta powinni byli dawać, to krzyczmy jakby nas kto żywcem ze skóry obdzierał. I wiecznie będziemy jako te liche minores? Abo jak te szerszenie próżniaki, co z ula miód wyjadają, a same go tam nie przynoszą? Co my dotąd im przynosili? Nic, jeno krnąbrności, i burdy, i bunt. A! Serce się wzdryga na takową ingratitude. I żeby to jeszcze robiono po tyrańsku? Ale nieprawda. Panowie Szpiryngi są ludzie godne, i mądre, i sprawiedliwe. Ja więc

powiem: w niejednym nieprzebiecznym casusie, my widzieli jako to istne są heroy.

— Ale wszystkiem trzęsą. — Przerwał chudy Frydrych. — Wszystkiem trzęsą, a nam co po tém? Kto flotą rządzi? Panowie Szpiryngi. Kto cło wybiera? Panowie Szpiryngi. Kto wszelki zatarg rozsądza? Panowie Szpiryngi. Dla czego właśnie oni?

— Dla tego, że Król Jegomość raz przecie znalazł sobie ludzkie, co nie służą prywatnie tej lub onej prowincyi, albo prywatnie tego lub onego miasta, ale służą pospolitą rzecz. I kłamie kto powie, że oni sami jedni rządzą. Wszakci w onej Morskiej Komissyi zasiadają rozmaite dygnitarze, i Denhoffy, i Ossolińscy, i Guldenszterny. A wszakci są tam i nasze rodowite Gdańszczany? Czy nasz kompan, poborca Jerzy Hefel tam nie siedzi, co? A wszystko same zacne persony. Król Jegomość dobry ociec, a my zawdy byli złe dzieci.

Tu znowu ryż Wójt Hecker, ozwał się z fałszywym uśmiechem:

— A po co się Waszmość tak sierzysz? Nikt z nas tu nic nie gada przeciwko Królowi Jegomości, jeno żeby nie było tych przeklętych Szpiryngów.....

Tu mówca, niedokończywszy wyrazu, pozostał z otwartymi ustami, towarzysze jego także nagle zamilkli. Wszyscy zwrócili oczy ku wejściu, gdzie powstał wielki szum i rozruch. Tlum rozstąpił się z uszanowaniem, i weszło trzech okazałych mężów; byli to trzej bracia, Izaak, Abraham i Arnst Spiryngowie, rodem z Delftu, Ko-

missarze królewscy, ludzie — jak słusznie mówił Burmistrz Freimuth — wielkiego rozumu, oraz nieskazitelnej prawości; a mieli też w sobie i coś bohaterskiego, i zaprawdę potrzebowali niemalże odwagi, aby jakiś ład zaprowadzić w tym rozszałém od swawoli mieście, co chciało mieć wszystkie prawa i przywileje, a nie spełniać żadnych państwowych obowiązków. Silni obywatelską swoją cnotą, nie lękali się czczych krzykaczy, i też mimo pokątnych wicherzeń, mieli ogólny szacunek i posłuch. Oto i teraz, Ojcowie miasta rzucili się hurmem, aby przyjąć nowo-przybyłych, i dziękować im za łaskawe zaszczycenie Artus-hofu swoją zbyt rzadką, a zawsze upragnioną obecnością. Zwykłym nawet porządkiem rzeczy ludzkich, ci co przed chwilą najwięcej krzyczeli, teraz pchali się z najniższymi pokłonami, a chudy Kogge zgiął się przed nimi we dwoje, niby na wpół złożony kozik.

Burmistrz Freimuth nie pchał się z innemi, stał uśmiechnięty na stronie; ale nowi goście sami przystąpili ku niemu, i uściskiem szerokiej dłoni serdecznie go powitali.

Z trzech braci Spiryngów, dwaj starsi byli już bardzo poważni; zwykle też lubili przestawać ze starszyzną. Za to najmłodszy, jeszcze chętnie przysuwał się do niewiast, i czasem nawet poszedł z najpiękniejszą w taniec. Wszyscy trzej mieli twarze duże, o szlachetnym wyrazie, o podkreślonych wąsach, i niewielkiej, w trójkąt

świętej bródce. Stroje były na nich czysto hollenderskie, jakoby popękane w pasy, z pod których

wystawały spody innej barwy; z kołnierkami obszernymi jakby koronkowe pelerynki. Na głowach osutych pierścienistym włosiem, nosili miękkie, ogromne kapelusze, o piórach puklających się w różnobarwne kity. A mieli przytém jedną jeszcze ozdobę, której tu nikt inny nie posiadał: u każdego z nich, na piersiach, między rozchodzącymi się brzegami koronek, przypięty złotą iglicą, kraśniał świeży tulipan. Były to trzy żywe klejnoty Harlemskie, trzy cuda sztuki ogrodniczej.

U najstarszego Izaaka, tulipan ciemno-morderowy, przy świetle wieczorném wyglądał prawie czarno, u drugiego był w paski fioletowe i gorąco-żółte, u trzeciego w płomyki pąsowe i białe.

Przybycie trzech braci, wniosło pomiędzy zgromadzonych jakieś usposobienie uroczyste; wszystkim się wydało, że sala pojaśniała, jakby padł na jej mury odbłask majestatu królewskiego.

Tój téz tylko chwili widocznie oczekiwali muzykanci, aby dać hasło do rozpoczęcia zabawy. Ledwie Komissarze kilka słów powitalnych zamienili, już na chórze kapelmistrz podniósł obie ręce, i huczna muzyka z kotłami, uderzywszy «Alla polacca», zaczęła grać Wielkiego, czyli, jak go także zwano, Pieszego. (Ta ostatnia nazwa zdradza spostrzeżenie, które tylko w rycerskim narodzie mogło powstać; zauważono bo-

wiem, że przez powolność swoich ruchów, był on tém w porównaniu do innych żywszych tańców, czém jest miarowy chód piechoty, w porównaniu do rozpędów i skoków konnicy).

Tańcowano go wtedy zupełnie inaczej, niż w późniejszych czasach. Najprzód wystąpili sami mężczyźni, po dwóch trzymający się za ręce. Na czele Panowie Spiryingowie, z innemi dygnitarzami państwa, których zawsze pewna liczba przebywała w Gdańsku. Dalej Komendant miasta, osiwiwały wojennik, ze starożytnego Pruskiego rodu Ferberów, szedł ręką w rękę z Burgrabią, Panem Steffensem, przebogatym patrycjuszem Gdańskim. Szło czterech Burmistrzów i czternastu Wójtów, którzy razem z owym Burgrabią, mianowanym od Króla, stanowili wspaniały Senat Miejski. Po nich, kilkudziesięciu parami, stapał Centumwirat, czyli Rada Stu mężów, od plebsu wybieranych, tworzących obok Senatu coś nakształt Izby Poselskiej. Dalej sypali się wielcy kupcy, wojskowi, znaczniejsi marynarze, bogate Majstry, a nawet i Czeladź co kształtniejsza, wszystko wedle wieku i godności. Tak, uprzejmie rozmawiając, niby zniechęceni zwiłjali swoją wstęgę w różne uczone skręty, a gdy kilka razy już obeszli jedną stronę sali, wtedy po drugiej stronie wystąpiły parami, najprzód matrony, dalej panie dojrzałe, dalej młodsze, wszystkie wedle wieku i godności. Teraz, oba orszaki tańcząc osobno, przyglądały się sobie zdala, i przy spotkaniu zamieniały ukłony. Czasem orszak mężski ustępował damskiemu

z «traktu», i sam przechodził pod przeciwną ścianę. Aż gdy kapela uderzyła na «finał», dwójki mężkie i żeńskie zaczęły się rozpadać, potworzyły się z nich pary mieszane, a z tych par wstęga jedna, lecz dwa razy dłuższa, i wszyscy popłynęli w około całej sali, pochodem iście tryumfalnym.

Naprawdę «wszyscy», gdyż od téj pięknej przechadzki nikt się nie wymawiał, chyba chromi, albo «malkontenci», którzy niezdołali sobie dobrać upatrzonęj pary. Do małej garstki tych ostatnich należał dziś Pan Kaźmiérz; stał on pod ścianą z naszożonemi brwiami; widok tego pochodu, dla wszystkich oczu pełen blasku i kraszy, jemu wydawał się bladym i smutnym, bo między Centumwiratem brakło Pana

Schultza, o co zresztą byłby mniejszy kłopot, ale między białogłowami brakło..... ach, wiadomo kogo.....

— Złe mi się napoczyna on festyn. — Pomyślał.

Tymczasem, po zakończeniu Pieszego, starszyzna zabrała miejsca na ławach pod ścianami, a młodzi skupiali się w pośrodku, bo na chórze kapela zaczęła grać Galiardę, czyli, jak u nas wymawiano, Galarę.

Śliczny ten taniec Włoski (Gagliarda), był niezmiernie wesoły, pełen pustackich a niewinnych igraszek; dama i kawaler mogli w nim kolejno popisywać się z prawdziwymi dziwami Terpsychorowego sztukmistrzostwa; to też nietylko

dla występujących, ale i dla patrzących był rozkoszą. I teraz, cały pierścień widzów zebrał się w około czterech filarów, między którymi kilkanaście par wykonywało Galjardowe harce.

Tylko Pan Kaźmierz odwrócił się, i stanął do nich plecami. Teraz już nie brał go smutek, ale go brały złości. Mój Boże! Ten taniec był taki stosowny do figlarnych ruchów Hedwigi, tyle sobie żeń obiecywał uciechy!

— Owóż i Galarda już dla mnie stracona! — Rozmyślał gorzko. — Jak też to można tak haniebnie marudzić? Pewnie to tam Pani Korwiczkowa muska i muska czoło, a oni precz na nią czekają, bo wiem, że mieli przyjść jedną kompanią.

Chcąc sobie skrócić chwile niecierpliwości, zbliżył się do kółka mężczyzn, którzy w kącie sali wiedli żywą, rozmowę. Kilka słów z niej zasłyszanych, przykuło jego uwagę, byli to bowiem wszystko «ludzie morscy», i o morskich rzeczach gadali. Właśnie Pan Wojciech Zabokrzycki, dzielny Oberszter od królewskiej floty, mówił, podnosząc głos jakby na okrzycie, dla przekrzyknięcia już nie szumnych bałwanów, ale gwaru rzeszy i kapeli:

— Cuda nam tu Waszmość Panie Van der Helst rozpowiadasz o Panu Krzysztofie Arciszewskim, i bardzo ja rad że on u was awansował aż na Vicereja i jakoby drugiego Jazona. Jeno nie pojmuje, czemu się Waszmość tak dziwowasz? Abo to on pierwszy? Co tu gadać że

my ludzie nie do wody. A ów Jan Skolnus, co był admirałem u króla Duńskiego?

— Kiedy to? — Pytał głosem grubym jak tuba marina, zagadniony gruby Van der Helst.

— Oho! Jeszcze za króla Kazimierza. On pono wynalazł takie kraje, co potem z kretesem zaginęły, i nikt już niemoże ich odnaleźć. To był taki człek jak ów Kolumbus. No, a Sierpinek? Ten, co to mu Król Zygmunt August powiedział pewnego dnia: «Stwórz mi Acan flotę.» i stworzył z niczego, i wyrabiał ze swemi Freybitterami takie bajkowe cuda, że aż Bałtyk skakał z radości.

— No, no..... nie wszyscy skakali. — Przerwał chmurnie, tuż stojący armator Stilling.

— A i to prawda. — Odparł Zabokrzycki. — Wy, panowie Gdańszczaki, nie bardzo się w nim kochali, nagrzeszyliście z téj okazji kryminalnie, naścinaliście głów niewinnych.....

— No, no..... — Wtrącił armator. — Co tu wypominać stare rzeczy? Król wonczas wybaczył, a Waszmość nie wybaczasz?.....

— Dajmy tedy pokój Sierpinkowi. Ale kto jeszcze? No, a Lanckoroński, Kommendant Pucki? Mało to on się nadokazywał takich dziwów, co godne żeby je Cycero opisał? Albo i Cypelmann, co to tu, pod samym Gdańskiem, zbił flotę szwedzką? Na to my już sami patrzali.

— A tak. — Potwierdził Stilling. — To była piękna wiktorya. Cypelmann miał tylko dzie-

więc okrętów, a Szwedy miały jedynaście, a wszelako ich stłukł na miazgę.

— I nawet — wtrącił Pan Kaźmiérz — ich dowódca Hoenszyld był zabit.

— Jenó — ciągnął dalej Stilling — ten Cyppelmann nie ze wszystkim wasz.

— Jakto nie nasz? — Krzyknął Zabokrzycki. — Że nazwa Niemcem trąci, to nie racya, tu pełno takich, ale duszą, całą duszą był nasz. Jamci go znał, i miłowałem go jak rodzonego, i nie dam sobie gadać, że nie nasz!

Pan Zabokrzycki był zacietrzewiony, Pan Stilling także zaczynał się zapezać, byłoby pewnie przyszło do dłuższej zwady, ale w tej chwili zrobiło się na sali poruszenie; Galjarda właśnie dobiegała do końca, muzyka ucichła, i tłum zaczął od filarów odpływać ku ścianom, przyczem zgiekliwą falą rozciął nasze kółko rozprawiaczy.

Nastała między tańcami przerwa, podczas której chędogie dziewczęta wysuwały się z bokówek, i roznosiły po sali rozmaite napitki; dla mężczyzn wina i miody, a zwłaszcza kufle z pieniącém się piwem; dla dam, ciepłą zupkę z bułki, bardzo zdrową, i przedziwne mleczko z migdałami. Ustawiały też na stołach cudne, płaskie naczynia, wyrobione w kształcie konch albo łódek, pełne konfitur i cukierków, a przy nich niemniej cudne dzbany, z zimną wodą, zaprawną smakiem owocowym; roznoszono także całe pi-

ramidy tłustych, przewybornych ciastek, i nawet; modne już wówczas torty, nad którymi piętrzyły się różne figurki z cukru; te przedstawiały zwykle jakąś mitologiczną przygodę, najczęściej Wenerę wysyłającą Kupidyna z łuczką, albo przyjmującą jabłko z rąk Parysa; wiadomą jest bowiem rzeczą, że niema na świecie miasta, gdzieby ta bogini posiadała tyle posągów i różnych wyobrażeń, ile posiada ich w Gdańsku. Tak to ów gród, już dziś podtatusiały, za swoich pięknych czasów umiał być romansowym.

Jeszcze wszyscy mieli usta pełne tych przysmaków, kiedy kapelmistrz sam ujął za skrzypce, i urznął króciuchną, ale dziwną, podrygliwą przegrywkę, a wnet po całej sali rozszedł się szmer uciechy, nieledwie okrzyk radości.

Jedni drugich nawoływali, śmiejąc się i klaszcząc w ręce:

— Giga! Giga! Będzie Giga!.....

Ze wszystkich tańców, jakie krążyły kiedykolwiek po warstwach wykształconego społeczeństwa, żaden podobno nie miał tak bajecznych powodzeń jak sławna niegdyś Szkocka Giga. Był to taniec jeszcze trudniejszy od Galjardy, nieledwie akrobatyczny; to też jeśli gdzie się jeszcze przechował, to tylko między tancerzami

na linie, którzy do dziś dnia zdumiewają widzów tym lub owym jego ułamkiem.

Przez ciąg siedemnastego wieku, cała Europa szalała za Giga. Szalał za nią i Gdańsk rozbawiony, témbardziej, że mnóstwo mieszkało w nim Szkotów; było nawet jedno przedmieście zwane Szkocekiem; wprawdzie, miasto miewało częste zatargi z tém przedmieściem, (którego mieszkańcy, zabici katolicy, bronili gorliwie praw Biskupich), ale przy «okrągłym stole» Artusowej uciechy, zapominano krwawych dysput, i wobec owój czarodziejskiej nuty, wszystkie serca na chwilę w jeden rytm uderzyły.

Widząc pary „dobierające się skwapliwie, Pan Kaźmiérz coraz żałośniej opuszczał ręce i głowę. A więc i Giga dla niego przepadnie? Ta Giga, w której — dzięki marynarskiej swojej sile i zwinności — tak wielkie zawsze odnosił tryumfy!

Wiedziały o tych tryumfach damy; to też dziwiły się i krzywiły, czemu piękny Porucznik żadnej z nich nie zaprasza? Nakoniec, pewna Pani Wójtowa, tęga i rumiana jak piwonja, wzięła się na odwagę, trzepnęła go facołem po ramieniu, i spytała:

- A co to Waszmość tak się zapamiętywasz jak figura na mauzoleum? Nie lepiej byś to Waszmość szedł do tanku?

— A poszedł by ci ja na skrzydłach, cóż kiedy ona białogłowa com ją sobie zarekwiował, jeszcze nie nadciągnęła z miasta.

— A to Waszmość sobie powiedz: Bierz ją, lichu! I pokonsoluj się z innemi. Abo to tutaj nas mało? A z takim rycerskim płasownikiem, każda rada wyskoczy. No kawalerze, wybieraj. Cóż to? Chcesz Waszmość nam pęrgnąć?

— Exkuzuj Wacpani, zara wrócę, jeno mi się widzi jako moja panna tam ode drzwiów nadciąga.....

Pan Kaźmiérz zmyślił sobie tę wymówkę, byle tylko się wysłiznać ze szpon Pani Wójtowej. Rzeczywiście, nim się obejrzała, pęrgnął jój z pod ręki, ale u drzwi — jak przewidywał — nie znalazł swojej panny.

Wyszedł na taras, pełen służby i ciekawych widzów. Stał tam długą chwilę, — napróżno! Wprawdzie maruderzy jeszcze nadciągali, ale to już coraz rzadziej się trafiało, i sala była nabita po brzegi.

Przemyśliwał tedy:

A może by kogo posłać, aby dostać języka, czy tam się co złego nie stało?

I żałował że Maćka z sobą nie miał, ale Maciek został w gospodzie, dla pilnowania pewnych koników, co mogły wprędce być potrzebne.

Wrócił tedy Pan Kaźmiérz jak niepyszny między gwarne tłumy, stanął pod filarem, a podczas kiedy Giga rozbijała się na środku sali, on utkwiał oczy w jednym z nadpowietrznych okręcików, i zwolna zapadł w zadumę, która go spowinęła swoim białym obłokiem, jako mgła wodna gdy okręt otoczy.

Nagle..... jakaś błękitna jasność olśniła go tak mocno, że aż musiał oprzeć się o filar. To pani jego myśli! To wszyscy oni wchodzą..... O..... już są na sali.....

Przodem idzie Pan Konzul, ubrany bardzo suto, w sajan z czamletu barwy cygrynowej, czyli koloru wody morskiej, (seegrün), z popieliczemi wyłózkami, na przodzie roztwarty; z pod sajanu sterczy jego pierś wypukła, i wydyma się obercuch czarny, sztucznie rzezany, srebrzystą taśmą sznurowany; u kolan i u trzewików chrzęszczą róże z kilkobarwnych wstążek, przeszpilone srebrnemi sprzączkami; na kapeluszu chwieją się czarne i seledynowe pióra; głowę pod niemi Pan Rajca nosi wysoko, jednak z tém wszystkim wygląda dziś niedobrze; jakieś ma pod oczami sine plamy, na policzkach ciemne wypieki, krok chwiejny i nierówny. Ale widocznie się przemaga, nadrabia uśmiechem pełnym dumy; a ma z czego być dumnym, bo i sam dziś wystąpił uroczyście, i pod rękę prowadzi Panią Florę, która w koło siebie roztacza upajającą czarowność.

Od miesiąca już ona zrzuciła przecie uprzykrzone kiry, i dziś nakoniec mogła przystroić się pięknie. Ach, nie tak pięknie wszakże jakby chciała! Prawa przeciw-zbytkowe ciężą na nią bez miłosierdzia. Mimo wspaniałości swoich wdzięków, prosta wdowa po Majstrze passamonniku niemoże nosić ani kosztownych tkanin, ani prawdziwych klejnotów. Ten zakaz jest największą zgryzotą jój życia; ile to już godzin ona się nad nim napłakała! On téż jest głównym powodem

gwałtowności, z jaką Pani Flora pragnie wyjść za którego z członków Magistratu. Ich żony, szczęśliwe! mogą nosić i czysty jedwab' i czyste złoto, i drogie kamienie.

Tymczasem, biedna wdówka nagradza sobie te braki, wykwinnym smakiem w ubraniu, co sprawia że w oczach męzkich, nieraz przyćmiewa mniej piękne, choć wyzłocone «Panie Radne.»

Dziś właśnie potrafiła sztuką zdobyć takie zwycięstwo. Suknię przywdziała z pół-bławacia zwanego Bomzynem, przepysznej barwy malinowej. Stanik u przodu ma głębokie wycięcie, z kąd jój bogate łono wychyla się jakby motyl, co białe skrzydełka rozłożył na dnie kwiatowego kielicha. Porównanie do kwiatu wypada tém stosowniej, że w koło całego

wycięcia rozwachlarza się kołnierż stojący, przezroczysty, oparty na drucianym płotku, i tak wywinięty jakby połowa jakiejś ogromnej lilii. Od tego tła obłoczkowego, tém silniej odbijają karminowe usta i przestrzeliście oczy Pani Flory. Na głowie, u samego jój wierzchu, ma tak zwaną «forgę» czyli kilka piór białych, postawionych zupełnie prosto, które z warkoczowego koszyczka wytryskają w górę jakby pieniąca się fontanna. Taki przystroj, podobny do końskich pióropuszków, dzisiejszym oczom wydał by się dziwnym, a nawet może śmiesznym; ale wówczas był bardzo wzięty; a niewiasty lubiły go i za to, że łudząc oko, dodawał im wzrostu, czemu i Pani Flora była rada, bo jój postać kształtna lecz nieco przysadzista, wiele na tój złudzie zyskiwała.

Jeśli strój pięknej wdowy zwracał oczy swoją krasą i wybijał pełnią kształtów, za to ubiór Hedwigi odznaczał się wstrzemięźliwością barw i kroju. Szła ona drobnym kroczeniem po drugiej stronie Pana Schultza, z oczami utkwionymi w ziemię; dzięki jednak znanj panieńskijsz sztuce, mimo spuszczonej powiek, widziała wszystko i wszystkich, a już co najpierw dostrzegła, to żółty «szustokor» pod filarem. Na ten widok zaćmiło jój się w oczach, ale i tu panieńskie czary przysły jój nieomylnie w pomoc, i choć tylko już wpół przytomna, szła dalej, niby przez sen płynąc, i budząc w koło miłe szmery.

Suknia jój nie była dziś niebieska w białe floresy, ale biała w niebieskie ciągnione kwiateczki. Uszyta ze wschodniego, pół-przezroczystego «persu,» sięgała po samą szyję, bo Pan Majster, czy zazdrosny o widok jój wdzięków, czy przejęty purytańską surowością, pomimo nalegań Pani Flory, nie pozwolił na żaden sposób aby miała stanik wycięty. Więc w koło jój szyi marszczyła się jak zawsze stokrotkowa kręza, tylko zrobiona z koronki nierównie piękniejszej niż codzienna. W złotych włosach miała jak zawsze bramkę z błękitnej wstążki, ale dziś był na niej naszyty djadem z bursztynowych kwiatów, prześlicznych, mgławo- przezrystych, trzęsących się za każdym jój ruchem jak światełka. U drobnych uszu wisiały także same kolczyki, obrobione w kształcie serduszek. W pasie też owinęła się bursztynowym sznurem, którego ziarna grube, równe, białawe, spadały na przód sukni jakby

dwa różańce, zakończone chrześliwymi wisiorami. Nawet jój rękawiczki białe, niebieskim jedwabiem haftowane, zapinały się na bursztynowe guziczki.

Któs z obecnych, spostrzegłszy u niej ową mnogość morskiego klejnotu, nazwał ją «bursztynową panienką». Nazwa ta wnet obiegła całą salę, a niejeden sądząc z oblicza, mówił, że i serce u niej musi być «czyste jak bursztyn.»

Za Majstrem i jego dwiema towarzyszkami, samotnie stąpał Kornelius, w ubiorze hollenderskim o dwóch niewesołych kolorach, ciemno-stalowym i ciemno-ceglastym, co go czyniło podobnym do pęku zardzewiałych kluczy, i dobrze licowało z jego posępną twarzą, przypominającą twarze więziennych dozorców.

Przybycie nowej gromadki, sprawiło niejake wrażenie w Artusowej sali. Hedwiga ukazywała się tam po raz pierwszy, a i Panią Florę, (która najpierw dla choroby mężowskijsz, a potem dla żaloby, przebyła parę lat w zamknięciu), witano jakby zmartwychwstałą. Obie panie zostały skwapliwie otoczone. Pan Kaźmiérz najskwapliwiej nadbiegał, i już chciał witać się z Hedwigą, gdy Pani Flora odciągnąwszy go na uboczne, zaczęła mu z żywością rozpowiadać:

— Ach, Wasza Miłość ani sobie figurujesz, co ja przeszłam srogich emocji! Żeby nie ja, Waszmość byś tu nie widział swojej panny.

— Wielki Boże! Co się stało?

— Rzecz dość zwyczajna, Pan Schultz nam zachorzał.

— Aha! Co prawda, źle mu z oczu patrzy. No, aleć to nic obłożnego, kiedy przyszedł?
- Nie przyszedł, jeno się przywłókł. On często miewa jakoweś darcie w nogach, i jakieś okrutne bolenie na wnętrzu. Medyk Pagliano zadekretował, jako to zbytńia wilgoć z picia cerewizyi, ale Pan Konzul powieda, że Włoch niezna się na piwie, i dla tego takie androny plecie, i cały Magistrat go w tym sensie sukkursuje, bo wszyscy oni w piwku się kochają. Owóż dziś, przychodzę do nich, już ustrojona, — wszak niepodle, co?
— Ach, boginie z Olimpu mogą zajrzeć Wacpani!
— Tedy widzę, i Hedwiga już wymuskana, jeno Pan Majster jeszcze się guzdrze, i szat nie nie naciąga, i popija tyzannę, a precz stęka: «Oj bięda! Niemożę pójsc. Herr Gott! Niemożę.» Ja tedy, w duszy rada że nam wolność ostawi, dalej w namowy: «Ostań się Waszeć doma, legnij na becikach, a ja Pannę Hedwigę zabiorę i pomatkuję modelowo.» A tu figuruj sobie Waszmość, jak się dziewczyna wyrwie, tak mało co wszystkiego nam nie popsowała. Powieda: «Kiedy Pan Meister nie idzie, to i ja nie pójde, jeno się ostane, aby Dobrodziejowi usługować.»
I już odpina kolce i ściąga rękawice. Ażem się zdumiała, bo to wszelaka panna, kiedy ma iść na taniec, to i po trupach by gotowa skoczyć, a ta benewolnie powieda: «Nie pójde.» No, i co Waszmość

powiesz? Właśnie ta cnota wygrała. Pan Schultz się rozczył, że aż oczami zaczął mrugać, a ja na niego wsiadam: «A nie wstyd to Waszeci przyjmować takie sakryfycium? Kaz jęj pójść ze mną i basta.» A Pan Schultz: «Ja większe zrobię sakryfycium; acz kiszki we mnie piszczą, pójle.» — I zara się odział, i takeśmy go tu przywlekli, ale ja radzę Waszmości, co masz robić to prędko rób, albowiem on lada moment zacznie znowu stękać, i gotów się z nią wynieść przed północkiem.

— Niedobra to impreza. - Odparł skłopotany Pan Kazmiérz. — Nielacno tak wielkie plany egzekwować na łapu-capu. Ha no, wezmę się do rzeczy, aleś zawdy mi już Wacpani fantazyę zwarzyła.

— No, no, jeśli Waszmość nie potrafisz w godzinę przerobić jęj konwikcyi, to powiem że z Wodnej Armaty nie tęgie wychodzą konkieranty.

Ważną tę rozmowę przerwał Burmistrz Freimuth, który już od początku krążył około Pani Flory; należał on do jęj stałych wielbicieli; ach i ona byłaby dla niego wszystkimi innemi pogardziła, bo i piękny jak bożek, i dwa razy bogatszy od Pana Rajcy, i Burgemeister, jeden z miejskich królów! Ale cóż, kiedy niestety już miał żonę! Wprawdzie chuda była jak szczapa, i kaszłaca jak owca, mówiono że niedługo pociągnie, wszelako trudno liczyć na takie gadanie, skrzypiące drzewo nieraz przetrwa najzdrowsze zagajniki. Wiedziała więc mądra wdowa, że Pan

Burmistrz obecnie na nic jęj się nieprzyda; w każdym razie, jego nadskakiwanie pochlebiało

jęj bardzo słodko, a co więcj, mogło posłużyć za wabik na inne ptaszki. Rozpoczęła więc z nim rozmowę ciętą i świecistą jak rotowy ogień, a od czasu do czasu strzelała na bok okiem, dla przekonania się, czy w obliczu Pana Majstra nie dojrzy błysku pożądanej zazdrości?

Ale Majster w tęg chwili nie patrzył na Panią Flore, tylko na Hedwigę, którą tancerze już hurmem otoczyli. Był między niemi śliczny IMci Pan Morsztyn ze swoim złotym puklem, i Sire de la Crosade z perłą w uchu, i nawet najmłodszy ze Spirynków. Zaciekawieni kwitnącą buzią, i turkusikowemi oczami «bursztynowej panienki», wszyscy zapraszali ją do Sarabandy, której hasło już dwaj główni skrzypkowie dawali na chórze, wykonywając przygrywkę śliczną i cieniuchną, jakby rozmowę dwóch słowików. Hedwiga zakłopotana, rumieniąca się po same oczy, kręcąc w rękę bursztynowe wisiory, odpowiadała kawalerom, że «bardzo przeprasza Ichmościów, że chyba to będzie na późnięj, bo do pierwszej Sarabandy już się przyobiecała IMci Panu Koryckiemu.»

Właśnie tęg Kazmiérz nadchodził, spojrział: z dumnym uśmiechem po współzawodnikach, i wyprowadził ją na środek sali, gdzie kilkanaście par już stawało do Sarabandowych zalotów.

Cudny ten taniec Hiszpański, wprowadzony do Paryża przez tancerkę Zarabandę, (która, mu też i nazwę zostawiła,) stał wtedy u zenitu swojej wziętości. Pary szykowały się do niego we dwa

rzędy, mężczyźni po jednej stronie, a kobiety po drugiej, ale każda para była tylko sobą zajęta, między każdą z nich odgrywał się osobny dramacik miłosny, pełen dworskiego wykwintu i godności; przebieg jego był dość powolny, w tempie dosadnie wybijaném, i można twierdzić że pozostał wspaniałym pierwowzorem, z którego Menuet później się urodził, a raczój wyrodził, bo gdy Sarabanda była tylko czułą, Menuet stał się czułościowym.

Pan Kaźmiérz zaczynał taniec z myślą — jak sam powiedział — zwarzoną przez ostatnie słowa Pani Flory. Tak mało mieć czasu na wykonanie tak wielkiego zamiaru, to prawdziwa feralność! Ale po chwili, wrodzone junactwo zapanowało w nim nad wszelką troską, i powiedział sobie:

— A może właśnie lepiej tak? Dość już onego politykowania. Raz trza ruszyć z kopyta, i pokazać się konkierantem.

Wkrótce téż, urok owego niemego dramatu, pieszczotliwość muzyki rozkołysanej, a zwłaszcza wdzięk istoty co się przed nim przesuwała jak senne zjawisko, wprowadziły go w takie upojenie, że co chwila zapominał uczonych zwrotów tańca, płonął, rwał się, byłby chciał chwycić ją w objęcia, i uciec z nią na jaką pustynię. Tymczasem, przynajmniej słodkimi słowy czynił sobie folgę. Powolność ruchów i niejaki w nich przestanki, pozwalały na częstą choć rwaną

rozmowę. I tak, przy pierwszym ukłonie, zapytał:

— Na jaką to pamiątkę Wacpanna zawdy się odziewasz w niebieskość i białość? Czy dla tego że z nieba zeszedł, i że konserwujesz niewinność Aniołów Pańskich?

Hedwiga ująwszy suknię w obie ręce, i oddawszy mu wzajemny ukłon, odpowiadała:

— Nie, proszę Waszmości. To na pamiątkę onych szatek, co mię w nich poganie zabrali. To były ostatnie szatki w jakie mnie moja matka przyodziła, i kiedy takowe noszę, to mi się wydawa, jakobyem jeszcze pełniła rozkazanie mojej świętej matki.

Tu żywsze zwroty przerwały rozmowę.

I znowu; w chwili gdy podawał ję rękę, tancerz nagle przystanął jakgdyby olśniony, oczy sobie drugą ręką przysłonił, i spytał:

— W jakiej to kryniczce Wacpanna się mywasz?

Ona, obiegłszy go do koła, położyła paluszek na ustach, i odrzekła:

— A! To mój sekret.

A znow on, ścigając ją kolisto, wedle figury tańca pochylił przed nią kolano, i patrząc błagalnie, mówił:

— Zmiłuj-że się, o panno mego serca, nad memi oczyma, boć ja oślepnę od glancu twojej urody.

Ona, wykręciła się na końcu sopy, i odparła figlarnie:

— A kto Waszmości każe patrzeć?

— Kto? Kto?..... — Powtarzał kilka razy i pytanie to przeciągnął aż do chwili, w której ostatnia figura taneczna pozwoliła mu ręką przesłać ję od ust pocałunek, naonczas dopiero dał odpowiedź:

— Kto mi kazał? A któż jeśli nie ten bożek, co sam na oczach nosi binde, a ludzkie oczy otwiera na to co jest godne jeno bogów?

Tu smyczki uciawszy «code», zagłuszyły wszelką rozmowę. Kaźmiarz po zakończeniu tańca podał jej znowu rękę, odprowadził ją na ławeczkę pod filar, i stanawszy tuż obok, mówił głosem przyciszonym, a drżącym od wzruszenia:

— Bożek to małuśki, ale srogi. Puścił mi tu w piersi taką haniebną strzałę, że ja z niej muszę umierać, jeśli Wacpanna mię nie wykurujesz.

W Hedwidze serce uderzyło jak u wylęknionego ptaka. Zrozumiała, że nadchodzi już chwila przełomu, ta cudowna i groźna chwila pierwszego wyznania, której czysta panieńska dusza, i pragnie i lęka się zarazem.

Cała drżąca, zapytała ledwie słyszalnym głosem:

— A jakież ja Waszmości mogę podać remedium?

— Daj mi Wacpanna swoją rączkę w dozgonną posiadłość, a ja ją sobie położę na sercu, i pod tą rączką jak pod Mekkańskim balsamem, rana się w ten moment zagoi.

Hedwiga, mieniając się jak cudowny obraz, odparła już pewniejszym głosem:

— Rada bym ja to dla Waszmości uczyniła, bo i miłosierdzie każe rannych opatrować, ale decyzja nie jest w mojej mocy.

— Jenow w czyjój? — Zapytał, chmurząc się i brwi naciągając.

— A no, Pana Schultza. Wszakci to mój opiekun wedle prawa. Jemu Waszmość się zadeklaruj.

— Nigdy! Za nic w świecie!.... — Zawołał Kaźmiarz głosem nagle podniesionym. Po chwili, zmiarkował swą nieostrożność, i mówił znowu ciszej;

— Niemożna, i nie godzi się. Najprzód, musiałbym powiedzieć żem nie jest Wacpanny brat.

— A to i lepij. Niechże raz już się skończy to grzeszne kłamanie.

— Dobrze, ależ pomyśl Wacpanna: ja, mam się prosić mojego rywalizatora? Kłaniać się? I to jeszcze przed kim! A jak zrekuje?

— Może i nie zrekuje. On się bardzo w Waszmości kocha....

— Tak, póki myśli żem brat.

— Przytém, będzie podchlebion proszeniem się Waszmościnem.

— Dobrze, ale jak zrekuje, to co będzie potém?

— To się obaczy. Po co mamy sobie złą kabałę wyciągać przed czasem? A może i pozwoli? Wszakci on zawdy powie, że chce mojego szczęścia.

— Więc to Wacpanna mianujesz swoim szczęściem?

Hedwiga spojrzała na niego z uśmiechem i rzekła:

— Niby to nie wie Wasza Miłość?

A na tym ostatnim wyrazie położyła słodki nacisk, jeszcze wymowniejszy, niż to jej spojrzenie i ten uśmiech.

Kaźmiarz złożył ręce w zachwycie.

— A toś Wacpanna z mańki mię zażyła. Po takowém słówku, jakoż ja mogę się jeszcze rewoltować? Pójdę, chociażbym wolał iść na bomby i smoki, niż w pokłony do tego człeka. Co robić, Wacpanna każesz, pójdę, i to dzisiaj, w ten moment. Raz kozie śmierć. Niechże już wiem co mię czeka. Jenow błagam, panno mego życia, panno mego zbawienia, choćby zrekuował, nie odpuszczaj mię od siebie, jenow ratuj.

— Dobrze, dobrze, najprzód Waszmość zrób swoje, a potém i ja zrobię co się da.

Kaźmiarz spojrział raz jeszcze na Hedwigę z niewymowną czułością, i puścił się między tłumy, dla odszukania Pana Schultza.

Siedział on pod piecem, oparty obu łokciami o stół, na którym świeciła przed nim szklenica pełna piwa. Spozrzegłszy nadchodzącego Kaźmiarza, odezwał się dość wesoło:

— Co to Waszmość tak żywo ze swoją Panną-Siostrą gadałeś?

— My właśnie uradzili, abym ja się przed Panem Konzulem prezentował, z wielką nowiną, i wielką petycją.

Po twarzy Majstra przeleciała chmurka niepokoju.

— A!..... Cóż to takiego?

— Dostał ja nakoniec z domu on wyglądany respons, i Pan Miecznik mi w nim rememoruje, jako Krysia miała już trzy czy cztery lata kiedy ją w jassyr zabrano. Tedy to na żaden fason niemoże być Panna Hedwiga.

— Hm! I żeś to Waszmość sam sobie tego nie rememorował, to czysty fenomen.....

— Jam się jeno z braćmi zabawiał, na siostrzyczkę mało my dbali, aż dopiero gdy zaginęła, wtedy po niewczasie była żalność.

— Szkoda! Zła nowina. Już my tedy nic sobie nie będziem. A jam już się nauczył uważać Waszmość za kawałek syna.....

Każmiérz przygryzł sobie wargi. Miał ochotę powiedzieć:

— Za wiele konfidencyi, Panie łyku!

Ale się powstrzymał, i z przymuszonym uśmiechem odpowiedział:

— A może on kawałek syna się ostanie? Powziął ci ja dla tój panienki taki wielki a święty affekt, że bez niój żyć dalej, ani rusz. Niemożę być bratem, ale możę być lepiej, małżonkiem.

Tu Każmiérz powstał, i pięknie się pokłoniwszy, wymówił uroczystym głosem:

— Tandem tedy, przychodzę z tą petycją,

abyś Waszeć, jako przybrany ociec Panny Hedwigi, chętném sercem dał mi ją za żonę.

Pan Schultz w jednej chwili zmienił się do niepoznania. Pulchna, czerwona twarz jego, nagle wydłużyła się i żółkła. Wlepił w Każmiérza okrągłe, rybie oczy, i przez zęby sam do siebie mrucał:

— Aha! Wylazło szydło z worka. Nie głupi był mój Ollender.

Pan Każmiérz, zniecierpliwiony, siadł napowrót, i ręką w stół uderzywszy, zapytał:

— No, cóż tedy?

Majster, nie wstając z ławy, głową się tylko ukłonił, i odpowiedział z szyderczym uśmiechem:

— Wielki to dla nas onor, że klejnotny pan zniża się do biednej sierotki, szkoda jeno że ten onor za późno przychodzi.

— Jakto, za późno? Co to znaczy?

— A nie oświadczył-ci ja Waszój Miłości, Panie kawalerze, zaraz przy pierwszej Waszmościnej wizycie, że małżonek dla Hedwigi już jest wybran?

— Prawda. Waszeć to gadałeś. Ale póki Xiądz nie związał stuły, to jeszcze można zmienić rezolucyę.

— Nie Panie kawalerze. Co Johann Schultz raz powiedział i zadecydował, tego już nie odmienia.

— Odmieni, odmieni. Miéjże Waszeć Boga w sercu, ja pięknie proszę, i Panna Hedwiga powie, że to będzie jój szczęście.

— A! Ona tak powie? No, to się Wasz-

mość dobieł. Harde to dziecko, co śmie takie rzeczy gadać. Trza ją nauczyć moresu.

— Nie hardać ona, kiedy chce mieć Waściny assentyment.

— Czy chce czy niechce, bez mojego assentymentu nic nie będzie. Gdzieżeś to Waszmość czytał takie prawo, aby ucziwa frajlein, sama dawała decyzyę o swoim hymenie? To rzecz rodziców, abo familijnego konsylium. A w tym trybunale, ociec abo opiekun, to najwyższy sędzia.

— Masz racyę Waszeć, jeno i w tój lex jest excepcya.

— Naprzykład, jaka?

— Wtedy, kiedy sędzia jest razem i stroną.

— Po palestrancku Waszmość mię zajeżdżasz. Ja prosty człek, nierozumiem tych

subtelności. Jenó wiem że z tego nic nie będzie.

— Czy to jest ostatnie Waszeczine słowo? Panie Rajco, weź tę rzecz na rozmyśl, abyś dzisiejszój wiołencyi kiedyś nie pożałował. Ja jeszcze poczekam, Waszeć myśl odmienisz, i jeszcze raz pogadamy.

— Nie, Panie kawalerze, próżno się Waszmość nie fatyguj, keine gadanie rzecz skończona.

Tu Pan Majster powstał, uklonił się sztywnie, i zakończył:

— Raz jeszcze unizenie dziękuję za onor nam wyrządzony, acz na moją aftikę po niewczasie, i żegnam Waszą Miłość, bom ciężko chor, i pono przyjdzie mi opuścić tę piękną kompanię.

To mówiąc oddalił się, z pokornymi słowami ale z szyderczym uśmiechem na ustach, i z głową hardo podniesioną. Pan Schultz, jako nieodrodny Gdańszczanin, zawsze i wszędzie nosił ją wyniośle, a już najwynioślej na Ratuszu i w Artusowój sali, bo tutaj widząc w koło siebie potęgę miejskiego Senatu i blask miejskiego Patrycjatu, czuł się mocnym na swoich złotych śmieciach, i nawet klejnotnym panom rad przycierał rogów. A już nigdy nie doznał większój pod tym względem rozkoszy jak dzisiaj, kiedy w osobie Pana Kaźmierza, upokorzył i zuchwałego szlachetkę i przeszkodnego współ-zalotnika.

Dziwną może wydawać się cierpliwość, z jaką siarczysty Pan Porucznik przełknął tę nauczkę, i zaprawdę nie byłby jój zniósł tak przykładnie, gdyby nie przekonanie, że wkrótce, dziś jeszcze, ukarze hardość mieszczanina i zemści się na współ-zawodniku. Ta myśl ubierała i jego usta szyderczym uśmiechem, i chociaż krew się w nim burzyła, choć ręce go swędziły, myślał sobie:

— Dobrze, dobrze, ja jeszcze tak wolę. Obejdę się bez twojój permissyi.

Jednak ostatnia groźba Pana Schultza, naprawdę go rozzłościła, i nawet niepomalu przeraziła.

— Tam do licha! — Szepnął. — Jeśli on ją ma zaraz uprowadzić, to cały plan w łeb weźmie, przynajmniej na dzisiaj.

Tu wstał gwałtownie, plecami o piec się oparł, i głowę jak mógł wysunął po-nad tłumy, dla odnalezienia Hedwigi.

Nietrudno ją było znaleźć; wszystkie oczy zwracały się ku niej. Po środku sali, w największym wirze tańców, przesuwiała się lekka jakby duch niebieski, prowadzona przez IMci Pana Arnsta Spirynga, który właśnie w tój chwili kończył z nią Kuranta, i przy ostatnich zwrotach rzucił pod jój stopy swój płomienny tulipan. Ale i odetchnąć jój nie dano. Kurant, (la Courante), wdzięczny taniec Francuzki, zgrabny i posuwisty, był sam w sobie niezmiernie krótkim, ale za to zwykle powtarzał się wielokrotnie, bo w końcu zawierał pewną złośliwą figurę, dzięki którój, przy zręczném trafieniu w dobrą chwilę, jeden kawaler mógł drugiego ubiedz, i podstępem odbić mu tancerkę, z czego tóż powstało przysłowie: «Trafił frant na franta i wyciął mu kuranta.»

Hedwigę dziś ciągle odbijano. I teraz, ciężkiemu Panu Spiryngowi, sprytny Sire de la Crosade ją odebrał, i wydawał się tak uszczęśliwiony ze zdobycia «bursztynowój panienki», że niektóre siedzące panny zapytywały gorzko, czy ten znów z ucha sobie nie wyrwie perły, i nie ciśnie jój pod nogi tego podlotka, co niewiedziąc czém, chyba czarem nowości, tak bezwstydnie łowi tancerzy?

W tym krzyżowym ogniu hołdów i zazdrostek, Hedwiga byłaby mógła bawić się tryumfalnie, ale ona wcale nie czuła tryumfu; przeciwnie, w rysach nosiła wyraz głębokiego, źle przytłumionego zfrasowania, i głowę z niepokojem obracała, to ku piecowi, zkąd jój świeciły gore-

jące oczy Kaźmierza, to w przeciwną stronę, ku ławie przeznaczonéj dla najpoważniejszych matron.

Zaciekawiony Pan Kaźmiérz, także w tę stronę skierował spojrzenie, i dostrzegł tam Pana Schultza. Grono starszych i młodszych niewiast otoczyło go bardzo rojnie, podczas gdy on głową kręcił i ręce rozkładał, jak człowiek co się uniewinnia. Nagle, zniknął w tłumie, a Pan Kaźmiérz usłyszał tuż obok siebie wesoły głos Pani Flory:

— Przychodzę z dobrą nowiną. Ale.....co to Waszmość taki najézony?

— A jakoż mam się śmiać? Uczyniłem staremu deklaracyę, no, i ładnie na tém wyszedłem.

— A to Waszmość głupstwo zrobiłeś.

— Jakoż nie było zrobić, kiedy Panna Hedwiga niechciała zemną gadać, dopóka nie zdeklaruję się przed onym ślicznym opiekunem?

— No, no, nie sierz się Waszmość..... Niéma tego złego coby na dobre nie wyszło, już ona teraz będzie wiedziała czego ma po nim czekać, i łacniej nam z nią pójdzie. A właśnie czas po temu, przynoszę dobrą nowinę: Pan Schultz wraca do domu sam, a ją zostawia pod moją protekcyą.

— Chwałaż Bogu! A to jakbym odżył. I jakżeś to Wacpani takie miraculum zrobiła?

— Z początku chciał ją zabierać. Ja spolitykowałam, i nic nie kontruje,—ale nasadzam na niego inne białogłowy, a najwięcej tę gadzinę Freimuthową, co taka zła jak i chuda. Wszystkie tedy w krzyk: «O jaki z Waszeci tyran! Biédne dziecko, ledwie co zażyło pierwszych tańców, i już

ją zabierać? Zostaw nam ją Waszeć, my wszystkie będziemy jój matkowały.» — A ta chuda złośnica Freimuthowa jeszcze mu dolewa: «Ho, ho! My wiemy czemu Pan Konzul chce ją wyprowadzić, bo go bierze zajzdrość kiedy drudzy z nią sarabandują, a jemu powaga już nie pozwala hasać.» — Tedy Pan Schultz zawstydził się okrutnie, i powie: «Otóż ja pokażę Wacpaniom że to nie żadna zajzdrość. Ostawię tu Hedwigę — choćby do jutra — choćby do południa — a wy jój matkujcie, i wiedźcie że ja nie żaden tyran.» Widząc taką wiktoryę, chciałam rzecz dokończyć, i powie: «Weź Waszeć Korneliusa za rękodajnego, bo ledwo się na nogach trzymasz, a nam jeno pacholika odeślij.» — Ale tu się nagle zapérzył, i ofuknął mię: «O! Co to, to nie. Za nic w świecie. Niechże i ten biedny chłopczysko choć raz w życiu polustykuje.» — A jam zamiarkowała, że jemu nie chodzi o lustryki, jeno że chce nam ostawić szpiega. Co Waszmość tak się srodze marszczysz?

— Bo to zła nowina co mi Wacpani przynosisz. Kiedy Ollender ostaje, to my nic nie wygrali. On gorszy od starego. Już ja go chyba gdzie w kącie przyduszę albo kolnę.

Pani Flora przestraszona, chwyciła Pana Kaźmierza za rękaw.

— Na miłość Boską, nie czyńże Waszmość nijakich excesów, bo dopiero wtedy rzecz zagubisz. Już ja tak zrobię, że i Ollendra z przed oczu Waszmościnych sprzątnę.

— Ciekawym, co Wacpani z nim zrobisz?

— Jeszcze niewiem..... już moja w tém głowa..... jeno Waszmość nie turbuj się napróžno, ale bacz pilnie, i jak tylko Pan Schultz się wyniesie, wtenże moment suń do attaku.

To rzekłszy, pani Flora sama przesunęła się przez całą salę, dla naocznego sprawdzenia, czy Pau Majster istotnie się wynosi?

Zastała go już na tarasie, kończącego przyciszoną rozmowę z Korneliusem.

— Tedy — szeptał — nie spuścisz jój z oka. Ja więcéj na ciebie rachuję, niż na wszystkie babskie protekcy. Ty mędrszy niżeli ja myślał. No, a teraz —ciągnął dalej, sięgając do kieszeni — oto masz klucz od mojego domu. Weź go, bo ja nie chcę abyście się długo dobijali. Szpetnie to dla frajleiny stać po nocy na beischlagu, i czekać jak jaka zebraczka.

— Guttenacht Frau. — Dodał, zwracając się do Pani Flory. — Jużem ja Hedwidze

przykazał aby się Wacpani pokornie trzymała, i w jój zacnej kompanii doma powracała. Po co ja pił to piwsko, może mi ono zaszkodziło?

Tu szczelnie płaszcz zapiął, oparł się na ramieniu pacholika, który w drugim ręku miał zapaloną pochodnię, i stękając i utykając, puścił się w drogę dość nużącą, bo Dom Bursztynowy był na jednej z oddaleńszych ulic.

Stanął jednak w końcu przed swojemi drzwiami, zkąd pachółka zaraz na powrót odesłał do

Artus-hofu, sam zaś raz i drugi targnął za kołatkę.

Jak przewidywał, niedługo przyszło mu czekać. Mina jeszcze wyśrebrzała swoje cyny i wyplącała mosiądze. Bardzo się zlekła i zgryzła na widok chorego Majstra, dla którego — jako prawdziwa zahukana Niemka — miała cześć prawie niewolniczą. Naznosiła mu też betów co niemiara, naparzyła ziółek w trzech gatunkach, i za to miała tę pociechę, że po jakiejś godzinie ustały Majstrowe stękania. Czy dzięki swobodzie, jaką chory odzyskał opuściwszy duszną salę i rozzuwszy się z ciasnej szaty, czy dzięki ziółkom i wypocznieniu, dość że uczuł się lepiej, ale to tak lepiej, że znów zaczął samego siebie łajać:

— Po com ja głupi wyszedł z Artus-hofu, i ostawił ją na cudzej łasce?

Odesłał Minę, i chciał zasnąć, ale na żaden sposób niemógł. Ciągłe widział Hedwigę tańczącą z innemi, uśmiechającą się do innych, zwłaszcza do tego mniemanego brata, co go tak haniebnie oszukał.

— I jeszcze,— myślał sobie — powiedziała że tam jest jój szczęście! E! Może i nieprawda? Młodziki rade kłamią, byle się pochwalić. No, a choćby i powiedziała, to ktoby tam zważał na dziecinne gadanie? Boć to jeszcze dziecko. Póki go widzi, to się jego tandressami niby cackiem bawi, a jak trzy dni go nie obaczy, to i zapomni z kretesem. Ale niech-no ja do niej naprawdę sunę w koperczaki, to dopiero ją rozamoruję, bo jużby

chyba musiała być obrana z rozumu, gdyby nie pojęła co to dla niej za szczęście.

Tak rozmyślając, Pan Rajca z boku na bok się przewracał, a wciąż nad słuchiwał, czy Kornelius nie otwiera drzwi dolnych? Czy suknia Hedwigi nie chrzęści po schodach?

Nakoniec mu się wydało że oczekiwani prędzej wrócą, jeśli będzie ich wyglądał oknem. Wstał więc, poprawił na głowie szlafmycę, na barki nadział szlafrok mięciusięńki, tkany w duże różnobarwne kwiaty, i z komory sypialnej przeszedł do przeciwległej, zkąd mógł widzieć taras i ulicę. Nie zabrał nawet z sobą świecy, gdyż od tamtej strony xiężyc przepysznie jaśniał.

Siadł tedy Pan Konzul w oknie, a że przez małe, wypukłaste szybki, trudno było rozeznąć głąb ulicy, więc uchylił nieco jedną połowę okna, i z rozkoszą wciągnął do piersi wonne powietrze cieplej, letniej nocy.

Długo tak siedział, i marzył, i wyglądał, ale na ulicy było pusto i głucho, tylko xiężyc nieznacznie posuwał się po niebie, i zegary miejskie, z przekorną powolnością, wydzwaniały ciężące Majstrowi godziny.

V.

Pod srebrnym xiężycem.

Tymczasem w Artusowej sali, Hedwiga niespokojnym wzrokiem szukała oczów Pana Kaźmierza, który wcale nie patrząc na nią, siadł pod piecem, i żywą rozmowę prowadził z Panią Florą.

— Boże mój! Czy on się na mnie sierdzi? O..... Ani, pojrzy.....

Za to, kto inny spoglądał aż nadto. Kornelius, wpół ukryty za filarem, ściagał ją wciąż oczyma, których złośliwa chmurność, prawie dotykalnie ciężyla jój nad głową. Wkrótce

jednakże, kilku Oficerów z Marynarki otoczyło go wesołym gronem, i wśród żartów i śmiechów uprowadziło do bocznej komnaty, z której dolatywał ciągły brzęk butlic i kielichów. Kornelius opierał im się długo, po drodze jeszcze ciągle głowę w tył obracał, i niespokojne spojrzenia ciskał na Hedwigę. W końcu wszakże, czy dał się porwać kielichowej pokusie? Czy dał się

olśnić towarzystwem paniczów, których nagła uprzejmość zawrotnie mu pochlebiła? Dość, że coraz większy stawiał opór, dał się zaciągnąć do progu bokówki, raz jeszcze spojrzął na salę, i zniknął.

W tej chwili, Pan Kaźmiérz wstał jakby pod naciskiem sprężyny, i krążąc pomiędzy tłumem, nieznacznie zbliżał się do Hedwigi. Gdy stanął przed nią, przeleciała się zmiany zaszłej na jego twarzy; mimo upału panującego w sali, był blady, oczy iskrzyły się jak u żbika.

Pochylił głowę, i przez zęby mówił:

— Teraz tedy Wacpanna możesz zweryfikować jaka jest dla niej moja adoracya, kiedy wedle jój ordynansu, pokłoniłem się temu staremu łykowi, wziąłem rekuzę, i nie zdławiłem go na miejscu. Poszedł doma, żyw.

— Boże miłosierny! Więc niechce?

— A jakoż ma chcieć? Woli skarb dla siebie chować, niż drugiemu darować. Że rekużuje, to niedziw; jeno to mi dziw, żeś mię Waszmość Panna tak szpetnie zarezykowała.

— Boże dobry, cóż i miałam robić? Godziło się tak uczynić, bez respekt dla mojego protektora.

— Na respekt dla tego tyrana to Wacpanna baczysz, a na despekt dla mnie to nie raczyłaś baczyć.

— Nagrodzi się ten despekt Waszmości.

— A to na jaki manier?

— Teraz ja poproszę Dobrodzieja.

Pan Kaźmiérz gorzko się roześmiał.

— I Waszmość Panna figurujesz sobie że co wskórasz?

— Kto to wie? Nie taki Pan Majster straszny, jak go malują. Widziałam ja nie raz, jeno sto razy, jak na tę kochaną Panią Dorotę fukał i nukał, a w końcu zawdy stało się po jój woli.

— To był jenszy interes. Ja supplikuję, ja ostrzegam, nie prosź Wacpanna.

— Dla czego niémam prosić? Sumienie mi każe popróbować wszelkich submissyi. Zabić mię przecie nie zabije.

— Jabym zabił, gdybyś Wacpanna chciała iść za jenszego.

Hedwiga podniosła ku niemu oczy pełne lęku i — zachwycenia.

Słowa te, wypowiedziane głosem niby spokojnym, a zdławionym, od każdego innego byłyby ją na śmierć odstraszyły. W ustach Kaźmiérza, na śmierć ją do niego przywiązały. Teraz dopiero pojęła, jak jest przepaściście kochaną.

Ale jednocześnie, uczuła po raz pierwszy i cały ogrom swojej kobiecej władzy. Uśmięchnęła się w duszy, i pomyślała:

— Oho! Jeśli oni tacy, toć ja i z Panem Rajcą zrobię co jeno zechcę.

A potem głośno rzekła do Kaźmiérza:

— Nie turbuj się Waszmość, Pan Bóg czasem słabój białogłowie da wiktoryę, tam gdzie kawalerskie miecze się zwijały, jak to widzimy z onój nabożnej Judyt.

— Usiecz-że mi Wacpanna pijaka Holofernesa, bardzo proszę. — Odrzekł z bladym uśmięchem. Widoczną jednak rzeczą było, że do żartów tylko się przymusza, a w

duszy nie rad jest jój postanowieniu.

W tej chwili Pani Flora przystąpiła do nich, śmiejąc się na całe swoje puszyste gardziolko.

— Udało mi się! — Wołała. — Jak Boga Kocham, udało się! Poprosiłam socyuszow Pana Officyjera, aby wywiedli na kunsztyczek tego murzyna Korneliusa, co nas tu szpiegował jak Turczynki w Szaraju, i wywiedli go, jak Boga Kocham, wywiedli! Teraz możemy się bawić tak, co to hulaj dusza!

— Więc to Wacpani koncept? — Podjęła Hedwiga. — Niechże Pan Bóg Wacpanią nagrodzi, boć od tych jego złych oczu, to dalibóg można zachorować. Ale.... na Boga żywego! Wszakci on ma klucz? Jakże my powrócimy?

— Wyciągną mu i klucz, wyciągną! Czego to nie potrafią Panowie Officyjery? — Mówiła z uciechą Pani Flora, i w szczerym śmiechu pokazywała dwa rzędy wiewiórczych ząbków, i byłaby długo mówiła jeszcze, ale naraz, dziesięciu mężczyzn, młodych i starych, ładnych i nieładnych, przybiegło aby prosić ją w taniec; wybrała najładniejszego, i puściła się z nim w Kuranta, gdzie umiała zataczać owe sławne esy, przed których kometową hyperbolą, inne pary, wystraszone, musiały co żywo pierzchać.

Pan Kaźmiérz także puścił się z Hedwigą,

ale wciąż był chmurny, nic a nic nie mówił, i tańcząc, przesywał ją wzrokiem pełnym takich czułych wyrzutów, że w jój głowie, myśli się mieszały, a w piersiach serce od żalu zamierało.

Dobrze już po północy, nastąpiła przerwa, po niej zaś nakoniec, dawno już upragniony cel wielu oczekiwania, tak zwany Taniec wianków, albo Taniec panieński, mężatki bowiem nie brały w nim udziału; wdowy mogły się do panien przyłączyć, chociaż — prawdę mówiąc — stateczni ludzie nie bardzo im to pochwalali. W domu gdzie podobny taniec miał być wykonany, robiono już naprzód ilość wianków odpowiadającą liczbie panien. I tutaj, Magistrat kazał upleść całe stopy kwiecistych wieńców, co pora letnia wielce ułatwiało. Mężczyźni stanęli pod ścianami, muzykanci zagraли coś dziwnie słodkiego. Panny wychodzą parami, każda w jednem ręku niesie wianek, drugą ręką trzyma dłoń towarzyszki; obchodzą salę do koła, skromnie, ze spuszczeniem oczyma; zwolna jednak rytm się ożywia, pary się rozrywają, coraz to któraś z tancerek wyfrunie na środek sali; tam w uczonych łańcuchach i kręgach, tworzą wzorzyste figury taneczne, zaczynają z uśmiechem spoglądać po widzach. Nagle, wszystkie stanęły; każda podobna do posągu greckiej bogini Victori, trzyma wieniec nad głową, tak stąpa ku widzowi, którego wybrała, podaje mu wianek

i w taniec zaprasza. Wybrany, jedną ręką bierze kwiaty, drugą za dłoń leciuchno ujmuje tancerkę, i wszyscy idą w jeden płas posuwisty, w pół pasterski, a w pół rycerski.

Takie oddawanie wieńców, (podobne dzisiejszemu wybieraniu kawalerów przez damy w Mazurze), było zazwyczaj przyjmowane od mężczyzn, jako przelotna towarzyska uprzejmość, ale Pan Kaźmiérz dzisiaj przyjął tę rzecz inaczej. Kiedy Hedwiga, wesola i rozbawiona, podbiegła ku niemu i z uśmiechem podała mu kwiaty, on wziął je bez uśmiechu, i rzekł uroczyście:

— A więc Wacpanna oddajesz mi swój wieniec? Biorę go, i przed Bogiem przysięgam ci wierność. Ale i ty także mi przysięgnij.

Zmieszana niespodzianem zagadnieniem, podchwycona i jakby ubezwładniona czarem jego woli, sama prawie niewiedziała jak się to stało, ale złożyła ręce i wyrzekła:

— Przysięgam przed Bogiem, że niczyją żoną nie będę, jeno Waszmościna.

— A! Tak to dobrze! — Zawołał, i przycisnąwszy ją do bijących piersi, puścił się z

nią w jakiś taniec szalony, w którym już niewiedziała na jakim jest świecie, czy to sen czarodziejski, czy to już raj po śmierci? W duszy tylko powtarzała sobie ciągle:

— Ach jeszcze! Jeszcze!.... Daj Boże tak na wieki!

Nagle stanął, i drgającym głosem szepnął:

— Życie moje! Chciałbym ci coś powiedzieć, ale boję się.....

— Waszmość się mnie boisz? Mnie, lichój dziewczyny? Jakoż to być może?

— O, i bardzo być może. Skazany boi się, kiedy ma usłyszeć dekret.

A Wacpanna masz ferować na mnie dekret życia lub śmierci.

— Co ja mam ferować? Gadaj-że Waszmość prędzój, bo i mnie już strach bierze.

— Nie, nie, jeszcze wolę czekać.....tyleć mojej sperandy.

I znów ją porywał w taniec, i coraz mocniej przyciskał do łona, i coraz ciasniej okręcał spojrzaniem, a jej dusza wiła się w tém objęciu, jak mała ptaszyna w orlój szponie.

Skończył się Taniec Wianków, muzyka na chwilę przycichła. Pani Flora znów ku nim nadbiegła, w towarzystwie Pana Wojciecha Zabokrzyckiego, Obersztera od Wodnej Armaty. Oboje śmieli się do rozpuku.

— A co? — Wołała. — Nie mówiłam? Wyciągnęli mu, wyciągnęli!

— Co? Komu? — Pytała zahukana Hedwiga,

— Sam Waszmość, Panie Oberszterze powiedaj, bo ja od śmiechu ledwie co zipię.

— Owóż — mówił Pan Wojciech — bogini Flora, z Olimpu dała rozkaz wojskom Jego Królewskiej Mości, aby jój przyniosły klucz zaklęty. My tedy zaraz, onego czarnoksiężnika co go dzierży, wiedzimy do bokówki, o tam! I w gar-

dło mu lejemy co się zmieści. Ale chłop tęgi, choć to niema korda przy boku, nie da przystąpić do się. Pić pije, a do konfidencyi ani rusz. Więcemy go wsadzili do lochu.

— Jakto? Do więzienia? — Zapytała z przestachem Hedwiga.

— Eh, jeszcze nie. Trza Wacpannie wiedzieć, jako pod tą strukturą jest loch kieby kościół, kubek w kubek taki duży jak ta sala, jeno pół niższy, a cały sklepisty, że człek tam siedzi jakby w kamienném jajku. Tam stoją rzędy beczek, z różnością małmazyi. Tam tedy my przywiedli onego utrapionego mruka, i jak zaczęli go czarować, a to węgrzynem, a to petercymentem, a to ratafią, spił się jak sztok, jak Bela, no poprostu jak Ollender. W końcu, rym o ziemię. Dalej my po kieszeniach macać, i oto jest on klucz zaczarowany. Racz-że zacna bogini przyjąć go propria manu, razem z kluczami mego serca, którego forteca wdzięcznie kapituluje przed atakiem twoich Kupidynowych łuczków.

Tu podał ogromny, misternie rzezany, klucz od wchodowych drzwi Bursztynowego Domu.

Pani Flora, biorąc go w pulchne paluszki, rzekła:

— Nad elementami onój kapitulacyi, musi jeszcze cały Olimp dyszkurować: tymczasem to trofeum przyjmujemy, jako wdzięczny zadatek Waszmościnej służby. No Hedwiga, teraz już będziesz mogła wracać doma, kiedy jeno zechcesz.

Panienska pomyślała sobie:

— Oj, żeby tak na moje chcenie, toby my nigdy ztąd nie wyszli, i Pan Kaźmiérz pewnieby ze mną w tój chęci konkordował.

Jakież było jój zdumienie, kiedy Pan Kaźmiérz, który właśnie patrzył na niebo świecące srebrzyście za szybami, ozwał się głosem stanowczym:

— Już nam trzeba wracać.

— Już? Dla czego? Jeszcze wczas, jeszcze nikt się nie rusza.

- Powiem Wacpannie po drodze dla czego.

Hedwiga, zmartwiona utratą tak cudownej zabawy, przerażona myślą że za chwilę

rozstanie się z Panem Kaźmierzem, nieco też i zraniona obojętnością, z jaką sam Kaźmiérz przyspiesza to rozstanie, podniosła zasmucone oczy na Panią Florę; pewna była że u niej znajdzie pomoc, ale o dziwy! i Pani Flora powtórzyła, choć nie bez widocznego żalu w głosie:

— Tak, już nam trza wracać.

A gdy tłoczący się tancerze, zaczęli je obie przytrzymywać, a prosić, a grozić że do białego rana ich nie puszcza, — gdy dwaj, obecni téj rozprawie, prześliczni Anglicy, zaczęli obiecywać że zatańczą Matlota, (bez którego, w mieście portowém, żaden bal niemógł się nazwać zupełnym), — wtedy wesoła wdówka sposepniała; jednak nie uległa, lecz owszem odparła fortelnie:

— Co robić? Ja matkuję Pannie Hedwidze, a ta musi być doma wczas. Pan Schultz zachorował, niemożnaż mu po wszystkich kurach wyprawiać hałasów.

I wyprowadziła z sali zdziwioną Hedwigę.
Pan Kaźmiérz wymknął się za niemi.

Na tarasie odrazu ochłonęli z upału panującego w sali. Noc była cudna, balsamiczna. Xiężyc w pełni świecił tak jasno, że Pani Flora rzekła do pachółka, sięgającego po krzesiwo:

— Nie osmalaj nam oczu próżno. I po xiężycu trafim.

I zarzuciwszy na ramiona zgrabną Kazyatkę ze pstrój tercynelli, poszła tuż za pachółkiem. Hedwiga chciała pójść z nią w parze, ale Pan Kaźmiérz uchwycił jéi rękę, i prowadził ją nieco w tyle, a Pani Flora biegła przodem, wcale za niemi się nie oglądając.

Przez całą długość placu nie zamienili ani słowa, bo Lange-Markt był po dziurki nabity narodem, który pchał się bez miłosierdzia, i w jarzących oknach zatapiał wybałuszone oczy.

Nakoniec przebili się przez ciżbę, i wyszli na ulice dalsze, które nigdy nie były tak opustoszałe i spokojne jak dzisiaj, kiedy cała żywotność miasta skupiła się u progów Argusowego Dworu.

Mało w świecie jest rzeczy równie pięknych, jak ulice Gdańska widziane po xiężycu, i to

w cichą, pogodną noc letnią. Co tam wówczas dzieją się za dziwy, temu nie uwierzy kto nie widział. Te krocie białych posągów i popiersi, te wszystkie króle, rycerze i boginie, co ze swoich wnęk nadpowietrznych coraz wypukléj występują — te inne, Geniusze i Anioły, stojące na szpicu dachów, co rosą do nieprawdopodobnych wysokości — te malowane wieńce i medaljony, których tła złote mienia się teraz od xiężycowego srebra, jak tkanina lamowana we dwa kruszce — te smoki ziejące zielonym płomieniem, i te rynny o przeraźliwych paszczakach gargulli, co na poprzek ulicy wyciągają szyje coraz dłuższe, dłuższe, jakby wzajem chciały się połykać — te nieskończone cienie od krat gankowych, dziurkowane z koronczarską misternością, co wiszą po murach i tarasach, jakby kwef ciągnący się za Matką-Nocą — te drzwi czarne, zamczyste, zasznurowane żelazem, a takie głuche, jakby za każdymi czaiła się jakaś tajemnica — wszystko to na tle owych ogromnych okien, a, raczój ścian całych naperełkowanych kryształem, gdzie światłość xiężycy łamie się w tysiące blaszek, i z piętra na piętro spada w blade-fioletowe kaskatelle — wszystko to świat jakiś odrębny — ni stara Norymberga, ni stara Italia — to jeszcze coś innego — to nasz Gdańsk dziwny i przedziwny, jedyny pod słońcem i xiężycem.

Urok obrazu był tak wielki, że i nasi balownicy, choć zupełnie innemi myślami zajęci, po-

toczyli wzrokiem zdziwionym, jakby to całe miasto pierwszy raz się ich oczom przedstawiało, i bezwiednie popadli pod czarodziejską moc poezji.

Pani Flora zwolniła kroku.

Pan Kaźmiérz zwalniał go jeszcze bardziej.

Hedwiga rozmarzona, wyszepnęła głosem zaledwie dosłyszalnym:

— Boże mój! Żeby to tak można iść bez końca — bez końca — gdzieś aż na koniec świata....

— A tak. I ja chcę z tobą pójść na koniec świata. — Odpowiedział równie półgłosem, Pan Kaźmiérz. — I dla tegożem właśnie uciekł z onych tańców, aby cię uprowadzić nim oświtnie. Po białym dniu, już ciężko by nam było uchodzić.

— Jakto, uchodzić? — Zapytała, zatrzymując się nagle, i wrywając rękę z pod jego ramienia.

Ale on uchwycił ją na nowo, i mówił:

— Słuchaj..... nie puszczę cię. Przysięgłaś mi jako żona, usłuchaj-że mnie jak żona. Nie wracaj już do Bursztynowego Domu, bo zrobisz swoje i moje nieszczęście.

— Co Wacpan gadasz? Ja nie mam wrócić do domu? A gdzież pójdę?

— Słuchaj: tu bliżuchno, w mojej gospodzie, czeka na mnie koń okulbaczony.

Wezmę cię na konia, pojedziem jak wystrzelił do Oliwy. Tam jest xiądz, któregom ja już uprosił, ten zaraz raniuchno da nam szlub. A potem, pojedziem do Władysławowa. Tam, za okopami, za murami, wśród moich kompanów co już na nas

czekają, będziesz bezpieczna jakby jaka królowa. Niech tam sto Senatów mieszcuchowskich o ciebie szturmują, nie poradzą. Cała Wodna Armata stanie jak jeden człek za nami. Tak tedy posiedzimy tam czas jakiś, a kiedy się stary wysapie, to go ładnie przeprosim, i basta.

Hedwiga przez chwilę milczała. Widocznie, była w jej sercu walka. Czarowny obraz szczęścia tak blizkiego, tak łatwego, przemknął się przed nią jak olśniewająca błyskawica.

Ale też i szybko jak błyskawica, zgasł.

— Nie. — Odrzekła głosem drżącym od wzruszenia. — Ja tego nie zrobię.

— Nie rekużuj mię tak zaraz. — Nalegał Pan Kaźmiérz. — Namysł się, nim zabijesz. A toż to druga taka cudowna okkazyja, póki życia nam się już nie przydarzy? Tylko pomyśl: starego tu niema — tego piekielnika Ollendra niema — sam Pan Bóg wszystko nam urządził — o patrz, tylko tu skręcmy w tę przecznicę, tam zara moja gospoda — nim kto zweryfikuje że my znikli, to już będziemy w Oliwie.

— Nie kuś mię Waszmość jak ten wąż..... to byłby grzech, wielki grzech.

— Co za grzech?

— Jakto? Uciec od mego benefactora, co mię wyrwał z jassyru, od Tatarów?

— Pięknie wyrwał! A sam trzyma w jassyrze! Już ja tam niewiem kto gorszy, czy Tatar czy Niemiec?

— Zawdy ja chléb jego jadłam bez cały mędel lat.

— Gorzki to był chléb, samaś mi Wacpanna gadała.

— Bywałci nieraz gorzki, zawdy przecie co chléb to chléb, a co grzech to grzech.

Zresztą, po co kraść, tam gdzie można z dobrej woli dostać? Mógłby mi on potem powiedzieć: «Ty żmijo, czemuś nie suplikowała? Byłbym ja może i pozwolił.»

— A jak nie pozwoli, to co?

— Ha! Jak nie pozwoli, to poproszę Pana Boga o jaką uczciwą inspirację, ale pierwěj muszę poprosić człowieka, muszę udać się w pokorę, to mój psi obowiązek.

Właśnie gdy tych słów domawiała, stanęli przed Bursztynowym Domem.

Kaźmiérz nagle puścił jej rękę, i rzekł twardym głosem:

— Głupiaś Wacpanna.

Ona cała drżąca zwróciła się ku schodom.

On szedł za nią, i mówił coraz głośniej:

— A więc idź do twego Dobrrrodzieja, tarzaj mu się u nóg, obaczysz na co się to przyda. Ale pomnij, że moją duszę będziesz miała na sumnieniu. bo ja sobie łeb tutaj rozbiję o te kamienie — albo popłynę do Indów, niech mię tam pogany rozsieką.

Hedwiga wchodząc na pierwszy stopień, obejrzała się, i z rodzajem uniesienia rzekła:

— Nie wchodź za mną Waszmość na beischlag, ja tego zakazuję. Nie chcesz Waszmość aby mi czyniono wiołencyę, to i sam jój nie czyń.

W tój chwili Pani Flora obejrzała się nakoniec, i przystąpiła do nich ze zdumieniem.

— Cóż tedy? — Zapytała.

— A cóż? Wracam doma. — Odparła Hedwiga. — Dawaj Wacpani klucz, jeżeli łaska. I wzięwszy klucz, chwiejnym krokiem wchodziła na schody.

Pani Flora rzekła co żywo do pachółka:

— Nu, skocz-że, i otwieraj moje drzwi.

A gdy pacholek odbiegł, szepnęła do Pana Kaźmierza:

— I cóż, nie chciała?

— A nie chciała. To nie dziewczka, jeno kamień.

— E! Gamoń z Waszmości. Jabym nie dała jój tam wejść. Patrz jeno, jeszcze stoi.

To mówiąc, furknęła na swój taras, i drzwi za sobą zaparła.

Kaźmiérz spojrział. Istotnie, Hedwiga stała jeszcze przede drzwiami Bursztynowego Domu. W swoim karbowanym płaszczyku, lekka jakby obłok, cała osrebrzona xiężycową poświatą, wydała mu się cudniejsza niżeli kiedykolwiek. Nie wszedł jednakże na ganek, tylko podbiegł pod murek tarasowy, twarz przyłożył do złotych kraty, i patrząc na nią przez prątki, szeptał błagalnie jój imię.

Czy światło niepewne omylało Hedwigę, czy ręce jój się nadto trzęsły, dość, że nie mogła i nie-

mogła kluczem utrafić w otwór zamku. Nakoniec utrafiła. Klucz zgrzytnął. Już tylko spuścić kłamkę, a drzwi się roztworzą.

Ach, nim się roztworzą, czyby jeszcze raz głowy nie obrócić, i nie przekonać się, czy on rzeczywiście odszedł? Jeżeli odszedł, to jednak dziwny człowiek..... Co prawda, ona mu zakazała iść za sobą, bo powinna była zakazać, ale, czy on powinien usłuchać zakazu? Żeby tak skoczył tu na ganek, a porwał ją i unióś, toby już Pan Bóg niemógł mieć do niej żalu, boć ona zrobiła co tylko mogła, ach i więcej niż mogła, a przeciwko «wiołencyi» to już niema rady. Ale gdzie tam! On poszedł..... Nięgodziwiec!

W tój chwili, usłyszała swoje imię wymówione półgłosem:

— Jadwiśko!

Zadrgnęła, i obróciła głowę. Na ganku nie było nikogo. Ale imię jój ciągle biegło szeptem. Głos wychodził od kraty. Wpatrzyła się, i między prątkami dostrzegła jego twarz kochaną. Wtedy całe jój serce wyrwało się ku niemu. Wpół bezwiednie, dwoma krokami przebiegła pół tarasu. Pierś jej biła od szczęścia, ale usta jeszcze chciały kłamać sercu.

— Po co — szepnęła — Waszmość wracasz? Zakazałam.

— Ja też słucham jako ten sclavus, patrz, wszakci nie wszedłem na beischlag? Tylko musiałem wrócić, bo mam ci jeszcze coś do powiedzenia, jedno słówko, maleńkie, ale kapitalne..... jak ci nie powiem, to zginiemy. Przybliź-no się

jeno troszeczkę, i nakłoń uszka. Nie bój-że się, wszakci krata nas dzieli?

Hedwiga, jakby na skrzydłach tajemnych uniesiona, sama niewiedząc jak i kiedy, znalazła się przy kracie, i przez poręcz przechyliła ku niemu rozmarzoną głowę.

W tym ruchu, koniuszeczki jej białego atlasowego trzewiczka wysunął się po-za taras, właśnie na wysokości ust Pana Kaźmierza. Widok tej drobnej nóżki zawrócił mu głowę; uchwycił ją w obie ręce, i obsypał iskrami pocałunków tak płomiennych, że Hedwiga przez atlas uczuła ich gorącość, i struchlała jak istota która wpada w pożar.

Tę też tylko pierwszą było trzeba iskierek, ażeby gwałtowność Pana Kaźmierza wybuchnęła wulkanem. Znienacka, puścił jej trzewiczek, wskoczył lekko na brzeg cegły wystającej z tarasu, jedną ręką uwiesił się u kraty, drugą ręką objął jej pochyloną kibić, i usta zanurzył już nie w białym atlasie, ale w różowym axamicie jej ustek.

— Jadwichno moja! Suplikuję..... nie wchodź za te drzwi nieszczęsne..... jak raz tam wejdziesz, to już cię ten stary potwór nigdy nie wypuści z tego domu, i mnie już nigdy nie wpuści do tego domu. Życie ty moje! Pomyśl jeno..... za godzinę będziemy w Oliwie — bierzem szlub — za godzinę, dziś jeszcze, będziesz moją! Moją! Moją!

I każde słowo przypieczętowywał pocałunkiem, a ona, ubezwładniona, mgłęjąca, skłoniła skroń na jego ramię, i już miała wymówić:

— Tak, jam twoją..... czyń co jeno chcesz..... Kiedy nagle, słowa te zamarły jej na ustach, a w zamian, inne z nich wybiegły:

— Co to jest? Idą po mnie, czy co?

Spostrzegła bowiem na ścianie przeciwległej kamienicy, ruszające się widmo czerwonej łuny, a zarazem rzecz straszna stanęła jej w pamięci.

— Jezu! Klucz odkręcon!

Z tym głuchym wykrzykiem, wydarła się z objęć zdumionego Kaźmierza, i jednym rzutem aż do drzwi sięgnawszy, z całych sił, obu rękami, zaczęła przytrzymywać klamkę.

Pan Kaźmierz, któremu postać Hedwigi zasłaniała dotąd widok Bursztynowego Domu, teraz dopiero zobaczył, że przez dolne okno biła światłość, której odbłask tworzył ową czerwona smugę.

Hedwiga, ciągle drzwi przytrzymująca, ciągle szeptała głosem pełnym przyrażenia i błagania:

— Na miłość boską! Nie pokazuj się, bo mię zgubisz! Uchodź! Jeśli mnie miłujesz, uchodź!..... Ach, już niemogę.....

Napór z drugiej strony stawał się zbyt mocny. Puściła klamkę — i drzwi się roztworzyły.

Kaźmierz nie uszedł. Stał nieruchomie pod murkiem, z ręką przy kordelasie, z oczami ro-

ziskrzonemi, gotów do skoczenia na ganek, jeśli obrona okaże się potrzebną.

Ale potrzeba ta nie zaszła.

Za rozwarciem drzwi, ukazał się na progu Majster Johann, w kwiciastym szlafroku i białej szlafmicy, ze świecą zapaloną w ręku.

Hedwiga usiłowała wyczytać z jego rysów co ją czeka? Napróżno! Wyraz tych rysów był jakiś niezrozumiały, tajemniczy i pomieszany.

Majster podniósł lichtarz do góry, i cicho zapytał:

— A! To ty Hedvich? I tak sama?

Ona, odzyskała w tej chwili ową dziwną przytomność, jaką nadają wielkie niebezpieczeństwa, i z przymuszoną wesołością mówiła:

— Ale gdzież tam! Szłam, jak Dobrodziej przykazał, w kompanii Pani Flory. Pani Flora tylko co weszła na swój beischlag..... A ja się tu mocowałam z kluczem, co jakoś niechciał złapać zamku.....

— No, a Kornelius gdzie?.....

— Kornelius? A ha ha! Ten spił się jak Bela, że musiały my klucz, mu zabrać, bo do

południa będzie spał.

Mówiąc to, śmiała się coraz głośniej.

Majster się nie śmiał, tylko przez ten czas, przekładał klucz na drugą stronę, poczem drzwi zatrzasnął. Od wnętrza ozwało się warknięcie

klucza, smuga czerwonego światła raz jeszcze przebłysnęła za oknem — potem wszystko zgasło i ucichło.

Pan Kaźmiérz odetchnął.

— Chwałaż Bogu, że nic nie zweryfikował..... No, żeby nas tak był zszedł w onęj turkawkowej konwersacyi, musiałbym go naszpikować na kordelas, nie byłoby innéj rady — a ona by mi zrobiła z tego crimen..... Chwałaż niech będzie Bogu że się na tém skończyło.

Tak rozmyślając, przemierzył w szerz ulicę, i po drugiej stronie przystanął, aby raz jeszcze popatrzeć na drzwi w których znikła. Połać domów pod którą stał teraz, była zanurzona w czarnym pasie ciemności; za to przeciwne kamienice pławiły się w białoniebieskiém oświetleniu, a Dom Bursztynowy rzęsiściéj od wszystkich innych, świecił swemi wielkiemi, brylantowanemi oknami.

Kaźmiérz patrzył tam w nadziei, że może za którem z tych okien, ujrzy jeszcze przesuający się cień drogiéj panienki?

Po niejakiem czasie powiedział sobie:

— Gapa ze mnie. Wszakci komory sypialne wszystkie tam od podwórka? Już ona tu nie przyjdzie, próżna rzecz wypatrować.

I rzeczywiście próżno czekał. W szybach nic nie świeciło prócz xiężyca; żaden dźwięk nie

dolatywał oprócz stapania dalekich przechodniów.

Raz wprawdzie, wydało mu się, jakby pręga czerwonego światła błysnęła w oném okrągłym okienku co było wycięte pod dachem, i jakby wykrzyk jakiś bolesny rozległ się wysoko. Ale błysniecie było tak przelotne, że Kaźmiérz niedowierzał własnym oczom, a krzyk mógł pochodzić od gromady przechodniów, zapewnie gości wracających z Artusowéj zabawy, którzy ze śmiechem i śpiewami przesunęli się przez jedną z poprzecznych ulic.

Dom znów pozostał ciemnym i milczącym.

— Przywidziało mi się. — Pomyślał Pan Kaźmiérz, i uspokoił się zupełnie.

Ale razem z uspokojeniem, wrócił mu żal okrutny za straconą «okkazyą».

— Oj, żeby ten nieszczęsny klucz nie był odkręcon, toby ja ją był porwał z ganku precz. Nimby się stary uporał ze drzwiami, jużby my cwałowali na dziesiątej ulicy. Ale tak, niemógł ja nic. Byłby Majster wyleciał za nami jako ta petarda, byłby w mieście całém narobił klangoru, nimby ja ją na koń wsadził, jużby mi ją sto rąk odbiło. I co gorzej, cała nasza konspiracya wylazłaby na wierzch, a wtedy, bądź zdrów, jużby stary nie dał jéj sobie po raz wtóry zabrać.

Zaś teraz, kiedy skończyło się na niczém, kiedy on jeszcze niema żadnych suspicyi, to możem

znowu konspirować, i to już na dobre. Oho! Już teraz nie dam jéj marudzić. Niepocziwa dziewczyna! Żeby nie te jéj kunktatorstwa, już by my lecieli po gościńcu Oliwskim..... Niepocziwa? Tak się to gada w rankorze, a z tém wszystkiém, nieprawda. Onać właśnie przez luksus pocziwości taka łechtliwa na sumnieniu. Trudnoć to przyganić białogłowie, że

niełacno da się wykradać. I za to jeszcze muszę ją estymować. Osobliwa rzecz, jak ta mała dziewczeczka mnie intymiduje..... Mnie, com nigdy nikomu nie ustąpił? Mnie, com zawdy bez miłosierdzia jachał po czułych sentymentach, jako ten tryjomfator po rozsypanych kwiatuszkach? Ej, Mości Panie Kaźmierzu, co się to z Waszmością porobiło? Dawniej, każda czyniła coś ty rozkazała, a teraz ty czynisz coć każą. Ej, pono to przysła kréska na Matyska. Przedtém ciebie miłowano, a teraz ty miłujesz. To całkiem jensza sprawa. Przedtém tobie słuźono, a teraz ty słuźysz. I jeszcze jest jedna rzecz: dawniej człek szukał tylko pustej rekreacji, to nie pytał: wolno czy niewolno? Szkoda z tego komu, czy nie szkoda? Byle sam swoim humorem dogodził, i miał się czém przed kompanią pochwalić, Ale teraz, kiedy chodzi o Sakrament, o felicytas na całkie życie, to w tej małej dziewce człek już respektuje przysłą sponę, i wszystkiego się stracha, i tchnąc nieśmié, aby nie zedmuchnął kutnerku z onych motylkowych skrzydełków. Oj, żeby nie ten stary, jaki by ja był szczęśliw! On wszystko popsował — heretycki bluźnier! Plu-

gawy Satyrus! Co tu dłużej gadać, Niemczura, to i dosyć.

Tak żując gorzkie myśli, pan Kaźmiérz wyciągnął pięć grożącą w stronę Bursztynowego Domu, potém odwrócił się z gniewem, i do swojej gospody, poszedł — niestety — sam!

VI.

Ptak niebieski w klatce.

Nazajutrz, Pan Kaźmiérz wstał pochmurny.

— Niefortunnie wczora mi poszło. — Rozmyślał. — No, zobaczmy co ta mądra dziewczyna dziś wysuplikuje u starego? Leciałbym ci ja tam nie mieszkając, ale trzeba jój ostawić kęs czasu na tą niełacną dyskusję. Potém pójdę, niby wedle żegnania się z Panem Konzulem, a w rzeczy dla dostania języka.

Dopiero więc przed samem południem opuścił gospodę, i z przecznicy skręcił ku Bursztynowemu Domowi.

Doszedłszy tam, zdziwił się wielce; w kamiennym pierścieniu dostrzegł Hedwigę, która wychyliła nietylko głowę, ale i jedną rękę; ręką tą dawała mu jakieś niezrozumiałe znaki. Twarz jój, zazwyczaj kwitnąca, była dziwnie blada; oczy szeroko rozwarte jakby od przerażenia.

Pan Kaźmiérz sądząc że go wzywa, skierował się co prędzej ku wejściu, ale wtedy wyciągnięta ręka, kilkakrotnym i gwałtownym ruchem wskazała mu dom Pani Flory, poczem i ręka i głowa znikły, i okienko pozostało pustém.

W téjże chwili, od strony wskazanego domu, Pan Kaźmiérz usłyszał dolatujące go:

— Pst! Pst!

I dostrzegł Panią Florę, która — wpół schowana za oponę okna — przyzywała go przyciszonym sykiem, i nieśmiałym kiwaniem ręki.

Zaniepokojony, rzucił się pędem ku jój progom.

Kamienica Pani Flory Kiczborkowej należała do bardzo skromnych. Nie nosiła na swojej nagiéj ścianie ani posągów, ani złoceń, tylko dwa szare wazony, dość pierwotnie z kamienia obrobione, zdobiły jój pierwsze piętro, a trzeci wazon, takiż sam, ale wytryskujący bukietem o blaszanych kwiatach i liściach, unosił się w górze, nad szczytowym trójkątem. Ganeczek miała nieduży, otoczony brzeżkiem kamiennym, tak-że tylko z gruba ociosanym, a

poręcze od schodków opierały się na dwóch kulkach, nie większych od człowieczej głowy. Bo też i cała kamienica była o pół węższa od Bursztynowego Domu, co sprawiało, że na każdym piętrze miała tylko jedno jedyne okno, a na dole nie miała wcale okna, tylko drzwi wąziuchne, prowadzące do sieni zupełnie ciemnej. Dla oświecenia jęj,

zostawiano zazwyczaj otworem drzwi od kuchni, która tu — jak i wszędzie — zajmowała w głębi dolną połowę domu. Schody także były wąziutkie, z poręczą po ciesielsku obrąbaną. Izby nie przedstawiały ani suto tkanych szpalerów, ani srebrnych mis lub nalewek. Ale za to, pełno było tych ozdób tanich a pracowitych, jakimi staranna ręka niewieścia umie zasłaniać niezamożność. Na ścianach, tu wisiała lutnia, tam gitara, ówdzie tryptyczek, niewykwinny pod względem pędzla, ale obstawiony mnóstwem kwiatków, i świeczek, ubranych w kokardki. Wszędzie było pełno małych szafek, małych ławeczek, małych stoliczków, obleczonej w osłonki rąbkowe, narurkowane jakby kręzy. Wszędzie firaneczki, wstążeczki, frendzelki i passamony, tych ostatnich zwłaszcza zatrząsienie. (Zapewnie ze składów, pozostałych po nieboszczyku Panu Bonifacym Kiczborku). Wszędzie też rozchodził się zapach lawendy, którą Pani Flora przesypywała bieliznę i suknie, zapelniające po brzegi jęj szafy. Słowem, wszystko było takie wymyte, wyfjokowane i wonne, że pomimo swojej skromności, mieszkanie pięknej wdowy przedstawiało się powabnie i zalotnie. Każdy też gość raz tam zaszedłszy, niewiedział co go zatrzymuje, a wyjść już nie miał ochoty.

Ale Pan Kaźmięrz nie zważał dziś ani na kokardki, ani na gitary, ani nawet na cudne wonie. Szybko dobiwszy się do drzwi sienio-

wych, przy których już czekała Fruzia, śliczna dziewczyna o bystrych oczach i złośliwym uśmiechu, biegł co tchu na pierwsze piętro, gdzie była komnata od przyjęć.

Gdy zaś biegnąca w jego tropy Fruzia, ostrzegła go:

— Pani jest wyżej, w sypialnej komorze.

Popędził na drugie piętro.

Sypialnia Pani Flory była to, — jak zresztą wszystkie pokoje tego domu — komnata bardzo długa lecz bardzo wązka, nieledwie jak dostatni korytarz. Była przytęm i bardzo ciemna; jedyne jęj okno świtające w głębi, wyglądało tajemniczo, jak szczelina oświecająca grotę. Ale pod innemi względami, była to jedyna część mieszkania, urządzonej z dostatkiem, a nawet z jakimś przepychem. Na podłodze kraśniało kilka ładnych kobierczyków. Ściany majaczyły od mnóstwa świętych obrazów, o złotych tłach a jaskrawych kolorach, — i od jeszcze większego mnóstwa półek, na których stały zgrabne flaszki pełne pachnących wódek, skrzynki pełne farbek i puderków, grzebienie i szczotki ze słoniowej kości, różnokształtne lusterka, słowem te setne gotowalniane przybory, jakich w onczas potrzebowano jeszcze więcej niż dzisiaj. Na środek pokoju, (zaciemniając go dwakroć mocniej), wysuwał się piec potężny, o kaflach zielonych, malowanych w różyczki, których atłaskowa krasa mile wpadała w oczy. Międy drzwiami

a piecem, pod boczną ścianą, ciągnęło się ogromne, kunsztownie z dębu wyrzeźbione łóże; nad nięm wisiał pawilon z Weneckiej tkaniny, która była w nieco pośledniejszym gatunku, ale świetna, gorąco-różowa, srebrem przetykana. Kotara, z jednej strony troszkę rozchylona, i na srebrnym passamonie w górę podwinięta, okazywała choć w częstej przepyszności posłania, gdzie puszyło się tyle bławatnych altembasów, przewlekanych wstążek, Flamskich koronek i szlerek, że już chyba i urodzona królowa nie

skrzywiła by się na podobne gniazdo.

Do téj pieściwéj, komnaty, Pani Flora dopuszczała tylko najzażylszych przyjaciół. Pan Kaźmierz pierwszy raz tam wchodził; ale dziś właśnie jakby na przekorę, nie mógł ocenić jéj piękności. Na nic nie patrząc, potracając sprzęty, biegł prosto przed siebie, a wzrokiem szukał tylko pani domu.

Spostrzegł ją nakoniec już w pobliżu okna; siedziała tam, a raczój wpół leżała, na niskiej ławie, obciągniętej pąsową makatą; pod jéj głową kraśniała pstra poduszka, przyparta do bocznej ściany pieca.

Na widok Pana Kaźmierza, piękna wdowa podniosła białe ręce, załamała je nad głową, i wyjęknęła:

— Ach kawalerze! Nieszczęście!

— Co się stało? Czy co Pannie Hedwidze?

Ależ ona żyje? I zdrowa? Moment jakem ją widział tam w okienku.

— Tak, żyje... ale co się stało! Ach, nieszczęście...

— Gadajże Waćpani, prędzój! Nie piecz-że mnie na wolnym ogniu...

— Figuruj sobie Waszmość, idę tam dzisiaj rano, aby obaczyć jako rzeczy stoją, a tu Pan Schultz..... niewiem doprawdy jaką tu zrobić definicyę...

— No co Pan Schultz? Umarł?

— Ale gdzie tam! Nie umarł, jeno się wściekł.

— O, to źle. Pies ukąsił? Ha, nie dziwota, na takowe upały...

— Ale gdzie znowu pies! Nie pies, jeno złość go skąsała. I to jeszcze rzecz osobliwa, że nietylko nie zachorzał gorzej, ale owszem z tych okrutnych emocyów zupełnie ozdrowiał. Lata po całym domu że aż dudni, a klnie — a tłucze ludzi — nikt nieśmié w oczy mu wleźć — jeno ja śmiałam, bo niéma w świecie takowego chłopca, co by go się Flora Korwiczkowa bała.

— Więc nie pozwala?

— Co to, nie pozwala? On Pannę Hedwigę wsadził do więzienia.

— Jezu Marya! Do więzienia? Ależ jam ją widział, teraz, tam na strychu?

— A toć właśnie on tam na strychu ją zatarasował. O chlebie i wodzie.

I nie puści jéj aż Waszmość wyniesiesz się ztąd na zawdy.

— I za co? Za to że supplikowała?

— Ba! Żeby jeno za supplikowanie! Aleć ja powiedam że nieszczęście się stało.

Figuruj sobie Waszmość, w nocy, kiedy my wracali z Artus-hofu, on nie spał, jeno siedział w oknie, które sobie na kęsek odparł...

— Boże miłosierny! I my tego wcale nie postrzegli...

— I słyszał cały wasz dyalog, i wszystkie szpetności coś Waszmość wygadywał na jego personę...

— O! To zły casus.....

— I co gorsza, widział... Rozumiesz Waszmość? Widział jakoście się paśli buziaczkami. Wszystko by on jeszcze przepardonował, ale już co tego, to nie.

Pan Kaźmierz zerwał się, i zaczął jak błędny chodzić po komnacie.

Nagle stanął znów przed Panią Florą.

— Wyexplikuj-że mi Waćpani, bo ja nic nie rozumiem. Kiedy nam się okazał we drzwiach, to był taki łagodny jak ta trusia. Zkąd-że mu potem, ni ztąd ni zowąd, ona passya?

— A! Bo to człek mądry, co na czas urnie się zmitygować. Sam do mnie mówił tak: «Jam wiedział że ten furyat stoi tam pod beischlagiem, że niech jeno pisnę, to skoczy, i nadzieje mię na swoje żelaztvo. Nie głupim! Tedy póki nie zamknąłem drzwiów, nic nie gadam, ani mrumru. Aż jakem zamknął, dopierom się poczuł pan u siebie. A wszelako jeszcze nic nie gadam, aby hałasów nie robić po sieni, jeno idę za Hedwigą na pierwszy trep, na drugi, na trzeci — a ta

precz mi szczebioce jakby co cnotliwego, a ja nic, ani mrumru. Aż kiedy przyszła do swoich drzwiów, jak na nią krzyknę: — Wyżej! — Ta patrzy na mnie z terrorem, a ja ją gnam przed sobą. Otwieram strych — wepchnąłem ją tam — dopiero stoję na progu i gadam jej słowa prawdy, jaka to z niej niegodna mödchen, jaka ingratna córka. Za karę będziesz siedziała tutaj, aż póki ten twój gaszek nie wyjedzie precz! A jeśli nie wyjedzie, to sprowadzę Pastora tu, na ten strych, i da nam szlub — i nie zejdziesz na dół aż jako moja żona. Radź-że tedy o sobie, i dziękuj Panu Bogu, że ja jeszcze ciebie chcę, bo keine gadanie powinien by ja cię wygnać na bory na lasy.» — Takie rzeczy tedy jej gadał, potem drzwi na klucz zaszpuntał, i teraz rób co chcesz.

— Ależ to Neron! Jak Boga kocham, to Madej rozbójnik!

— Co Waszmość chcesz? Amory są bogi srogie. Nie na tém koniec. Trza było widzieć, jaką też on recepcyę zgotował i onemu nieszczęsnemu Ollendrowi! Dobrze my się jemu przysłużyli. Przywłókł się nieborak już za dnia, cały wystrachany, i chciał do domu wejść chyłkiem, ale Pan Majster czyhał, zasiadł go w sieni, zbił na kwaśne jabłko, i do tego skrzyczał, ale to tak po Majstrowsku, że aż tu w mojej komorze było słychać. Nierozumiem jak ten hardy Czeladnik nie odprawił się zaraz? Chyba że go tu co trzyma na uwięzi..... ale to lepiej ostawić — jak powieda Pan Konzul — «keine gadanie».

Pan Kaźmiérz tylko na poły słuchał Pani Flory. Zanurzywszy ręce we włosach, coraz gwałtowniej biegał po komnacie, i powtarzał z rosnącym uniesieniem:

— Jezu miłosierny! I to biedactwo tam całą noc przemęczyło? Bez łódeczka? Na twardych deskach! Między kańczastymi skrzyniami! Ach..... i Wacpani powieadasz, o chlebie i wodzie?

— Tak on gadał, acz ja nie dowierzam, aby w oném głodzeniu długo dotrwał, boć i on ją po swojemu lubi.

— A niechże go z takim lubieniem! Neron! Herod na niewiniątka! Miałas Wacpani racyę, nieszczęście!

— Całe nieszczęście żeś Waszmość nie był mocen w nocy jej zaraz uprowadzić. Co mi to za kawaler, co nie umie przeperswadować lichéj dziewczyniny?

— Ja już i tak nieszczęśnik, a Wacpani jeszcze mi dogryzasz.

— Ja nie dogryzam, jeno sama się gryzę dla Wacpaństwa, bo co wczora mogło pójść jak po maśle, to dziś już niełacno.

— Jaktó niełacno? Dlaczego niełacno? Oho, zobaczmy! Ja zaraz pójdę tam do niego! Rozprawię się z nim, tak czy owak!

— Nie pójdiesz tam, Panie Poruczniku. Próżno się dobijać. Pan Majster gadał mi bez ogródki: — «Powiedz Wacpani temu kawalerowi, aby się już do mnie póka żyw nie fatygował. Mógłbym ja go w puch rozbić przez Pachółki

Miejskie, ale nie rozbiję, bo niechcę zadzierać z armią Jego Królewskiej Mości, niechcę naszego dobrego Gdańska exponować na wojenne przygody. Niechże sobie szczęśliwie jedzie, jeno niech mię już nie nachodzi, bo mię póka żyw na żywe oczy nie obaczy. Dobrze on to sam wie, kiedy gadał nocą, tam pod beischlagiem, jako stary go nigdy już do swego domu nie wpuści. — Czy ja taki «stary», to jeszcze obaczy po mojem weselu, ale że nie wpuszczę, to ma racyę. Niechcę ja już przestawać z takowym człowiekiem, co go niemogę całkiem estymować, a jakoż mam estymować, kiedy mię ten łotr oszukiwał?» — Wybacz Waszmość takie szpetne expressyę, ale to ja nie z siebie gadam, jeno powtarzam chryję Pana Majstra.

Pan Kaźmiérz poczerwieniał, i zmieszał się na chwilę.

— Juścić, żem go kapkę oszukiwał, to prawda. Jeno affekt mi stoi za exkuzę.

— Najczystsza. W passyi, tak jako na wojnie, wszelaki fortel jest godziwy, byle

przygaszał wiktoryę. Owóż, ja Waszmości nie radzę tam chadzać, bo to wiktoryi nie da, jeno soli jeszcze dosypie na ranę.

— Tak Wacpani powieasz? A no, to ja zrobię lepiej. Tego momentu ruszam do wszystkich waszych Wójtów, do wszystkich Burmistrzów, do wszystkich Stu Mężów Rady. Opowiem im całą rzecz, będę w niebogłoty krzyczał o justycję. Czy to wolno tak wzięć i katować niewinne sieroty?

— Nie rób tego Waszmość. Te wszystkie Wójt i Burmistrze, to amikusy Pana Schultza. Na jednej ławie z nim siedzą, o jeden respekt z nim stoją. Wszyscy w rumel Waszmości powiedzą, że nikt niema prawa wtykać nosa do familijnych dyfferency, abowiem ociec może, jako żywnie mu się podoba, karać nieposłuszne dziecko.

— Jaki ociec? Tandem, do rozkazowania i tyrranizowania, to on ociec. A do miłowania, to nie ociec, jeno zalotnik. Cóż to za jakaś filozofya? — «Wacpanna bój się mnie, bo ja Fater, ale Wacpanna idź za mnie, bo ja nie Fater.» — Pfu! To jakieś luterzańskie dystynkcy.

— Waszmość masz całą racyę. Nikt nie zakontruje, że Pan Schultz to tylko adoptowany ociec. A jednak z tém wszystkiém Waszmość u Magistratu przegrasz, bo zawdy swój za swoim trzyma.

— Ha! Jeśli tak Wacpani supponujesz, to ja jeszcze lepiej zrobię. Sprowadzę tu moich kompanów. Cała Wodna Armata przyjdzie hurmem. Jak przypuścimy szturmik do Bursztynowego Domu, to nie ostanie kamienia na kamieniu, aż uprowadzim w tryumfie tę moją zakłątą królewne.

Tu Pani Flora zerwała się z czerwonej ławy, sama zaczerwieniona od przestachu, podbiegła do Pana Kaźmierza, i kładąc dłoń na jego rękę, mówiła z przerażeniem:

— Czy Waszmość sfilcowałeś? Na miłość Boską, nie rób-że takowych excessów! Niech Panowie Offlcyjery zrąbią w mieście jedną ce-

gielkę, to zaraz będzie krzyk, że Katoliki napadły na luterski dom, i całe miasto pójdzie na was ławą.

— A to niech pójdzie. Damy sobie radę z mieszczuchami.

— To jeszcze kwestya. Gdańskie — jak Waszmość nazywasz — mieszczuchy, to nie żadne piecuchy, to naród hardy i tęgi. Broni tu jest huk. Bójek już było niemało, to jest i zaprawność do boju.

— A no, obaczmy, kto kogo zdławi.

— Ależ pomyśl jeno kawalerze, co to krwie chrześcijańskiej popłynie, co wiktym niewinnych padnie!

— A co ja temu krzyw? Niech mi oddadzą tę moją jedną wiktymę, to ja i palcem nie ruszę.

— Ależ pójdzie skarga do Króla, że Waszmość wichrzysz dla prywaty, że Waszmość rebellizant ?

— A dajże mi Wacpani pokój. Potrafię ja się przed Królem wyexplikować. Król mi da wiare. Król dobrze wie, jako Gdańsk jest szelmoskie miasto.

— Ależ pomnij okrutny człowiecze, że i mój dom pójdzie w perzynę! Zrabują mię — zniszczą — zabiją! Więcej powiem: Waszmościńą Hedwigę zasieka, byle jój Waszmości nie oddać, bo tu naród haniebnie mściwy. Dalibóg, zasieka, i ją i mnie! Piękna mi nagroda za mój affekt dla was! Kto was dotąd protegował, konsyliował, konsolował? Nikt, jeno Flora Korwiczkowa.

I jakoweż ja frukta zbiorę z mojej abnegacyi Nic, jeno rabunek i śmierć!

Mówiąc to, Pani Flora wyjęła z za sznura śliczną chusteczkę o różowych wisiorach, i

utopiwszy w niej oblicze, zaczęła rozdzierająco szlochać.

— No, nie desperuj-że Wacpani, lepiej gadaj sama co mam zrobić, boć przecie niemogę jak ten podlec, odjechać sobie precz, dla ukontentowania Pana Schultza?

— Nikt Wacpanu nie radzi podłości, jeno reflexye. Pomedytujmy trochę, a powoli znajdzie się sposób.

— O, przepraszam, tylko nie powoli. Ja muszę jeszcze dzisiaj, zaraz, wysalwować moją niebogę, bo inaczej to i ja się wścieknę.

Pani Flora odjęła twarz od chusty, i przez łzy się uśmiechając, rzekła:

— Ponoś to już Waszmość odróbkę nadkąsan od téj psiej choroby.....

— Gadaj-że Wacpani, gdzie jest klucz od onego nieszczęsnego strychu?

— Klucz? W kieszeni u Pana Schultza. Nim Waszmość dobierzesz mu się do klucza, to musisz go pierwój zarznąć jak barana.

— I na to może mu przyjść. Ale tymczasem, jeszcze pomedytujmy. Żeby te kiepskie okienko nie było tak het wysoko, i żeby nie było tak haniebnie małe..... aleć to nikt żywcem tamtędy nie przejdzie.

— A właśnie że przejdzie. Ja sama dziś wi-

działam jako Panna Hedwiga niemal całkiem ztamtąd wyszła.

— Czy może być? I jakżeś to Wacpani widziała? Z ulicy?

— Nie, ja byłam u niej, tam pod dachem.

— U niej?

— A tak. Powiedziała Panu Schultzowi, że chcę ją zfuć co się zowie, i nauczyć jako ma czynić. Więc sam co tchu mię tam wpuścił. I zfuć ją porządnie, ale nie za to że niechce Pana Majstra, jeno za to że wczora z Waszmością niechciała uchodzić.

— Zacna z Wacpani białogłowa! I mądra.

— Przytém jęj mówiłam, aby się nie dała desperacyi, bo ja nie dopuszczę jęj krzywdy, i z Waszmością wymyślę dla niej zasałowanie.

— Zacna z Wacpani białogłowa, co praktykuje święte przykazania: — Więźnie odwiedzać — smutnych rekonfortować.

— Owóz z oném okienkiem była taka rzecz. Jakem jęj powiedziała, że Pan Schultz chce Pastora sprowadzić, zerwała się ze skrzyni jakby oparzona, i krzyknęła: — «O, tego nigdy! Wolę śmierć niż luterski szlub! Niech spróbuje, to ja pierwój tu wyskoczę tém okienkiem precz!» — Tedy ja jęj powiedam: — «Nie groź Wacpanna próżno, bo tém okienkiem żadna człowiecza persona się nie prześrubuje.» — A ona powieda: — «Nieprawda! Ja się prześrubuje.» — «Ale gdzież znowu?» — «A tak!» — «A nie!» — I precz się certujemy, a tymczasem ona hyc do okienka, i wyfiguruj sobie Waszmość, tak mi się subtelnie za-

winęła, że cała, z ramionami, z rękami, wylata za ścianę, zupełnie jak ten węgorz. Aż ja ją łap za sukienczyne, aby mi na prawdę nie wypadła. Dopiero widzę, że ona cała blada, i tak się trzęsie jak nóżki cielece, i powieda; —

«O Jezu! Jakaż to tam przepaścistość! A z tém wszystkiém,» — powieda — «widzisz Wacpani, że ja się tam zmieszczę. Żeby tak jeno Pan Jezus dał skrzydełka, tobym wyfrunęła, ojoj! prościuchno do Pana Kaźmierza.»

Podczas opowiadania Pani Flory, Pan Kaźmiérz nagle usiadł, oczy ręką zasłonił, i zapadł w głębokie zamyślenie.

Po chwili, odsłonił twarz dziwnie rozjaśnioną.

— A wiesz Wacpani, że co mi powiedasz, to wielka nowina. Kiedy Panna Hedwiga może przejść okienkiem, to wygrany proces.

— Ja nie widzę jeszcze wygranej. Chyba że Waszmość przyprawisz jęj skrzydła.

— Znajdą się i skrzydła. Czy i u Wacpani jest okienko takowe pod dachem?

— A jakoż niema być? Coby to był za dom, bez oka?

— Chciałby ja tam pójść, i obaczyć.

— A i owszem. Ciekawam ja, coś Waszmość wykoncypował?

I naprawdę zaciekawiona, poszła z Panem Kaźmierzem na poddasze, gdzie jeszcze więcej pachniała lawenda, bo mnóstwo chust, rąbków i koronek, ślicznie wypranych, suszyło się tam po sznurach i kołkach.

Ale Pan Kaźmiérz stanąwszy w okienku, doznał wielkiego rozczarowania; wyszło mu było z pamięci, że dom Pani Flory jest o całe piętro niższy od Bursztynowego, i teraz dopiero spostrzegł tę różnicę.

— Żle. — Mówił. — Chciałem ja od okienka do okienka rzucić deskę, jako te mosteczki co sobie robią mularze. A tu ani rusz. Nasz mostek musiałby też chyba mieć skrzydła. Ktoby zamtąd chciał tutaj zjechać, toby leciał jak z pieca na łeb, i to jeszcze w ukos! Nie — ani sposób.

— A przytém, jakżebyś to Waszmość pokryjomu skonstruował? Toćby ludzie z ulicy widzieli.

— E, co to, to nie. Od czego noc? Czekaj Wacpani..... może się jeszcze wynajdzie inakszy fortel? A! Już go mam. Czy tu można wyléźć na dach?

— Juści można. Jest pono jakowaś trapka, którądy wylażą ludzie wedle czyszczenia kominów, i zgartywania grubych śniegów.

— A jako się to tam idzie?

— A no, po drabce.

— A gdzie owa drabka?

— Tego ja niewiem. Fruzia ją gdzieś tam w kącie chowa.

— To zły casus. Niechciałbym się spuszczać z naszego sekretu przed jaką płochą dziewczką.

— Możesz się Waszmość spuścić. Niech jeno rzecz idzie o amory, to moja Fruzia dyskretna jak tomba.

Pomimo ważnych myśli, które go zatrudniały, Pan Kaźmiérz niemógł się wstrzymać od uśmiéchu.

— Czy Wacpani to wiesz ze swojej osobistój experyencyi?

— Ach, jakoż niemam wiedziéć? Gdzie niewiasta w kwiecie żywota osiadzie na wdowieństwie, tam co dnia trza się bronić od armii adoratorów, co—raz głośnym szturmem, to znów cichemi perfidiami — czyhają na fortecę jój affektu.

W takowych to imprezach, wyexperimentowałam ja dyskrecyę mojej służebnój.

Po tych słowach, Pani Flora, przechyliwszy się przez poręcz schodów, i przywoławszy dziewczynę, kazała jój co żywo podać drabkę, po którój Pan Kaźmiérz z niesłychaną zwinnością dobiegł do wyjścia wyciętego w dachu.

Fruzia miała ochotę gonić za nim, aby zobaczyć co ten strojny kawaler tam chce czynić? Ale Pan Kaźmiérz stanąwszy na koralowój łusce dachówek, (ówych słynnych Gdańskich dachówek, o które się i z za morza dobijano,) zobaczył po swojej prawej stronie, boczną ścianę od kamienicy Pana Schultza, sterczącą jeszcze o całe piętro wyżéj; co prędzej zatém wyciągnął za sobą drabinę, przystawił ją do rzeczonój ściany, i tym sposobem nakoniec wydostał się na dach Bur-

sztynowego Domu, ale zarazem i odjął Fruzi możebność pogonienia za nim.

Dla ciekawój dziewczyny, było to prawdziwe nieszczęście; gdy zobaczyła, że z przed samego zadartego jój noska, zabrano tę szacowną drogę, łzy gniewu zakreściły jój się w oczach, podniesionych żałośnie ku rozwartój klapie, przez którą przeglądało tylko czyste niebo.

W téj zadumie zesła ją Pani Flora.

— Fruziu! — Szepnęła. — Nie podpatruj! Przez dzień dzisiajszy i jutrzejszy, masz niemięć oczu — niemięć uszu — masz być jakbyś niebyła, bo tu idzie rzecz o zacną passę.

- Aha! Tak, to rozumiem. — Odparła tamta. I obie, położywszy palec na ustach, porozumiały się znaczącem spojrzeniem.

Po kilku pacierzach, Pan Kaźmięrz powrócił, widocznie rad z wyprawy. Zeszedłszy z Panią Florą do sypialnej komnaty, drzwi za sobą zamknął starannie, i ozwał się:

— Wszystko dobrze. Obym tak był pewien zbawienia duszy, jakim pewien sukcesu w tej cyrkumstancyi.

— Cóż tedy Waszmość wykoncypowałeś? Powiedz raz, bo uschnę.

— Powiem,— ale jeno do uszka Wacpani, bo u drzwiów mogą stać jakowe Fruzie, a już z pryncypalnego sekretu, to ja nikomu się nie spuszcę, jeno łaskawęj naszej protektorce.

Tu, skłoniwszy się do jej ucha, wyszeptał jakoweś zwierzenie, które musiało ją niepomału wzruszyć, bo chwyciła się oburącz za głowę, (co prawda, ostrożnie, aby nie potargać wymuskanych włosów,) i zawołała:

— Święta Floro! Z takowej wysoczyzny? I to jeszcze z drugą personą? Ależ to perykulum okrutne?

— Co za perykulum dla morskiego człeka?

— Ale czy ona będzie chciała się tak zrezykować?

— Jeśli mnie miłuje, to się zrezykuje. Zawdy by ja rad, abyś ją Wacpani mogła poświadomić, bo gdyby przyszło w samęjże akcyi dopiero parlamentować, to by my dużo czasu zmarnowali. Jeno niewiem, czy ten dziad Wacpanią drugi raz do niej dopuści?

— Ojoj! Czemu niema dopuścić? Jeszcze się ten nie urodził, coby mej woley przeszkodził.

— Anioł z Wacpani. Teraz tedy nic nie ostaje mi, jeno ucałować rączki naszej Dobrodziki, z dziękowaniem setném za jej łaskę, — i uciekać precz, bo mam jeszcze kupę roboty na głowie. Muszę po raz wtóry prosić Oćca Celestyna, aby rankiem znów ze stulą czekał.....

— Oj, to to. Xiądz przedewszystkiém, kawalerze.

— Muszę sobie sprowadzić kilku zacnych kompanów, aby przy szlubie stanęli mi na świadki — muszę sobie sprokurować instrumenta do onej expedycyi — przytém koniki dla nas, gdzieś tu w somszedztwie ulokować. — Pozwolisz tedy Wac-

pani, to ja się tu pod noc zakradnę. Przyjdzie też za mną i mój pacholek, Maciek.

— Maciek? Ach, byle nie Maciek! Znam ja go. Nieraz tu chadzał do mojej Fruzi, kiedy my tam siedzieli na beischlagu. Ten głuptasek wszystko Waszmości popsowa.

— Co ma popsować? Muszę mieć przy sobie człowieka, żeby uprzął ślady expedycyi. Na to nie trzeba Salomona. Jeno rzecz wyhissować, i dyrdem za nami bieżęć. A wolę jego jak jenzego, bo to człek do mnie przywiązał, i co pryncypalne, Mazur. Trzeba Wacpani wiedzieć, że nasza gałąź Koryckich wywodzi się z Mazurów. Dopiero nasz pradziad przesiedlił się pode Przemyśl, dla dwóch tłustych wsiów, co mu je tam nasza prababa wniosła. Tandem tedy my niby już przeflancowani. Wszelako, natura zawdy ciągnie wilka do lasa, i ja zawdy lgnę do wszystkiego co trąci Mazurem. — Ale ja tu gadu-gadu, a czas ucieka — i moja nieboga czeka. — Jeszcze raz nóżki całuję.

To powiedziawszy, już podązał ku wyjściu.

Nagle uderzył się w czoło.

— Aj! Znów difficultas! I to de grubis! Bramy miejskie całą noc zaparte! Jakoż my przejedziem? Tamtej nocy, tom ja sobie skaptował Profosa od Straży przy Wysokiej Bramie, Pietra Koreywę. To mój dobry znajomek..... ten miał nas cichaczem przepuścić. Ale dzisia, jakże to będzie?

— Więc ten Koreywa nie każdej nocy wartuje?

— A nie. On tak na przekładkę. Raz dzień, raz noc. Dziś tam jest, ale jeno do jedynastej przedpółnocnej, a po hejnale obluzuje go jenszy, Bóg wie co za jeden?

— A to wiesz Waszmość? Musisz się uładzić przed hejnałem, dopóka ten tam jeszcze stoi.

— Rad-by ja to uczynił, ale sobie rememoruj Wacpani, że aż do dziesiątej, do Stróżowego śpiewania, ulica jest pełna ludzi, na beischlagach gry i chorały. Nim się to wszystko uspokoi, to jeszcze upłynie sporo wody. Tak tedy, ledwie niecała godzinka wolna się ostanie. To strasznie kuso czasu. A wszelako, co robić? Masz Wacpani rację, trza się w tej godzinie uładzić. Racz tedy Wacpani dać Pannie Hedwidze takowy ordynans, aby zaraz po « Gaszeniu ognia », była w gotowości. Ja tandem lecę w świat. Jeszcze raz całuję rączęta naszej złotej swatki.

— Z Panem Bogiem Waszmość idź, i bądź dobrej myśli, bom ja na to węzełek zawiązała, że się pobierzecie. A co Flora Korwiczkowa raz na façołecie swoim zadzierzgnie i w sercu swém zadecyduje, to i będzie. Rzecz pewna, jak Amen w pacirzu.

VII.

Miłość ma skrzydła.

Już dziesiąta na zegarze,
Idźcie do snu gospodarze.

I wstawali gospodarze z ław gankowych, goście zegnali się i rozchodzili, służba sprzątała szklenice i latarki, a Pan Kaźmiérz patrzył na to wszystko z niemałej wysokości, bo aż z dachu Bursztynowego Domu.

Siedział on tam na samym szpicu jak na koniu, z głową wetkniętą między, związane główki dwóch szczytowych esów. Przy nim, czołgał się po dachu Maciek, rzekomy Hajduk, ciągnący za sobą linę w duży kłęb zwiniętą. Fałszywe ścianki, z których składał się wierzchołek znajomój nam liry, zasłaniały ich przed wszelkiem okiem, tylko twarz Pana Kaźmiérza mogła być z dołu dojrzana, ale i ta w swojej nieruchomości, wyglądała na kamienny maskaron, umieszczony tuż nad złotą głową smoka.

Pan Kaźmiérz patrzył z góry, i niecierpli-

wił się powolnością, z jaką ruch uliczny ustawał. Już na zegarach miejskich biło wpół do jedenastej, a jeszcze zgrzyty kluczów i łaskoty sztab zasuwanych, odzywały się z wnętrza domów, jeszcze cienie przechodniów przepływały po ścianach niby ogromne mary.

Niełatwo téż było dokładnie się rozpatrzyć lub wsłuchać, bo ta noc, ani blaskiem ani ciszą nie dorównywała poprzedniej. Wyraźnie zanosilo się na zmianę pogody. Xiężyc wprawdzie świecił, ale wązko podarte chmury co chwila go przesłaniały, i od czasu do czasu zrywał się wiatr szumliwy.

Nakoniec nastala chwila zupełnej ciszy.

— Dzięki Bogu! Przecie się już pospali. Maciek, dawaj linkę.

Hajduk podpełznął w górę, poczem zaczął rozwijać kłębek.

Nagle, Pan Kaźmiérz wzdrygnął się i szepnął:

- Co to jest? Czy tam co stoi? A stoi. Człek jakiś. Akurat naprzeciwko mnie! Rusza się..... A no, przecie odchodzi. Gdzie tam! Znowu wraca! A to miły kawaler, chodzi sobie, tam i sam pod gankiem. Boże mój! A toż to ten łotr Ollender! Ten zawsze musi mi w drogę włązić..... Czy go tu stary na szyldwachcie postawił, czy co?

W tém ostatniém domniemaniu, Pan Kaźmiérz się mylił. Był to istotnie Kornelius, ale jeżeli przyszedł, to bynajmniej nie z rozkazu Pa-

na Majstra. Owszem, pałał on do niego ciężką złością, i za razy odebrane rano, i także, a nawet przedewszystkiém, za uwięzienie Hedwigi. Ach, co złości było w jego sercu! O Panu Kaźmierzu i myśleć już niemógł, pienił się na samo jego wspomnienie. A i do niej miał także sporo żalu, chociaż prawdę mówiąc, jeszcze więcej tego żalu było nad nią, niż do niej. Miotany, wstydem za swój przeszłonocny uczynek, rozpaczą nad losem uwięzionej, po całym dniu przemordowanym nad przymusową pracą, czuł że dłużej w domu nie wytrzyma, i uprosił Minę, aby mu jeszcze pozwoliła pozostać na ganku. Wiedział, że Mina musi zawsze długo w noc szorować i pucować, zanim zdoła po wieczery doprowadzić znów kuchnię do jój złotego blasku, prosił więc:

— Ja tu jeszcze troszkę posiedzę na chłodzie, bo głowa mię tak łupie, że w izbie gotowa pęknąć. Jak skończysz twój glancunek, to mi drzwi odemkniesz i wrócę.

Posiedział tedy jakiś czas na ławie, ale i tego było mu za mało; jak wszyscy zakochani, chciał patrzeć w okno swojej lubej. Ach, smutne okno! Więzienne! O, gdyby mógł tam się dostać! Uwolnić ją! Powiedzieć jój: «Uciekajmy!» Kto wie? Za taką przysługę, może by uzyskał choć uśmiech wdzięczności? A może i nie?..... Możeby wolała cierpieć więzę, niżeli z nim uciekać? O, gdyby nie tamten! Djabli przynieśli tego nawiganta, co jak wąż morski wkręcił się

do domu, i wszystko wszystkim zaburzył! Monstrum jakieś wodne! Zbrodzień, co śmiał do ust jój sięgać, kiedy on, Kornelius, nieśmiał nigdy nawet brzegu jój sukienki się dotknąć!

Tak utyskując, to stawał naprzeciw Bursztynowego Domu, to przechodził tam i napowrót przez ulicę, a wciąż kłął Pana Kaźmierza, który wzajem kłął go na dachu.

- Maciek, jesteś tam?

— Słucham Wasę Miłość.

— To nieszczęście żem ja nie wziął rusznicy; zara bym ją w tego szpiega wyrychtował.

— Ej, Wasa Miłość, chyba nie.

— Jaktó, nie? Czemu, nie?

— Bo jakby pukneno, toby się caluśka ulica zerwała na równe nogi.

— To prawda. Czasem i głupiemu przytrafi się racya. Ale co tu robić? Przecie niemogę czekać do rana? Ja już i momentu niemogę czekać, bo jak strażę zmienia, to i po wszystkiém. Żebym ja miał choć kamień, tobym cisnął i łeb mu roztrzaskał. A, już wiem! Kawał muru oberwę, to niegorsze od kamienia.

I już zaczął próbować, czy esowaty murek nie da się nadłupać, gdy na szczęście, niebezpiecznej téj roboty oszczędziło mu nowe nadejście nocnego Stróża, który powracał dla sprawdzenia, czy wszystko jest pogaszone i zamknięte?

Na odgłos jego grzechotki, Kornelius szepnął:

— Oho, Grubasek idzie, będzie mię gnał doma, trzeba zmykać.

I skręcił w jedną z bocznych ulic.

Kuba Grubasek zbliżył się ciężkim krokiem, zagrzechotał raz i drugi, popatrzył w ciemne okna, i przeszedł.

— Maciek, dawaj linę, już można.

— A jak tamten wróci, to co?

— To będzie miał swoją śmierć na własném sumnienu, bo ja wiem, że nie wyjdzie żyw, kto zobaczy, co ja teraz robię. Ale ty patrzaj za nim, i gadaj mi czy wraca?

Maciek wytknął głowę, i zaczął się śmiać.

— Nie wraca łojdak, idzie het w ulicę, widzę go po miesiącu, het, daleko! Idzie prec! Oho! Juz mi zginon..... Gdzie un? Psepad, jak ten kamień w wodę.

Istotnie, Kornelius uczył, że szybsza przechadzka na wietrze, ochładza mu rozgorzałą głowę. Był pleczysty, miał kij sękaty w ręku, nie bał się przechodniów, którzy jego raczej mogli się ulęknąć, więc pomyślał:

— Przejdę sobie kołem aż do Placu, i drugą stroną wrócę doma.

Bardzo to dobrze złożyło się dla Pana Kaźmierza, który co żywo rozpoczął robotę. Z marynarską wprawą zadzierzgnął na linie szerokie, luźne oko, i rzucił je w powietrze tak zręcznie, że wystająca szyja smocza, została nań uchwy-

cona jak na arkan. Pozostały od tej strony koniec liny, przyczepił do komina sterczącego na dachu, zakręcił go tam kilkakrotnie, i w uczony węzeł zaplątał. Potem, zaczął linę rozwijać, rozwijając, i powoli spuszczał ją na taras. Gdy wszystka z rąk mu się wymknęła, rzekł półgłosem:

— No, już dobrze. A teraz Maciek, słuchaj na oba uszy, bo to ważne coć powiem.

— Słucham, Panie Porucniku.

— Jak tylko będę na dole, zaraz mi tę linę wyhissuj napowrót. Nie masz co jój odwiązywać, zostaw na dachu, byle z dołu nikt jój nie obaczył, bo to by zrobiło alarm, i wtedy wszystko przepadło. Więc wyciągnij — zostaw tu — sam uciekaj bez kamienicę Pani Flory — dopadnij konia — i doganiaj mię — a żywo — inaczéj, bramę c przed nosem zamkną. Cóż, rozumiesz?

— Słucham Wasę Miłość, a dyć, wyrozumiał ja.

— No, więc dobrze. A teraz..... W Imię Ojca i Syna..... w drogę!

To mówiąc, przeżegnał się, i stanął na murku.

Maciek pochwycił go za nogi.

— O la Boga! Cekaj Wasa Miłość! Taka wielachna chmura załazi na miesiąc.....

Opsnie wam się noga..... O la Boga, moje panisko!

W przestraszonym głosie Maćka tętniło tyle przywiązania, że Pan Kaźmiérz tylko się roześmiał.

— Głupiś, Maciek! Czy to ja nie stary chłó-

piec okrętowy? A czy to sam Pan Bóg nie mówi w Piśmie Świtém: «I na smoku jeździć będziesz». Owóz, i ja pojedę. A że chmura załazi, to właśnie dobrze; jeśli jakie śłépie mię wypatrują, to nic nie podpatrzą. No puszczaj, bo cię zepchnę z dachu precz.

Maciek puścił, i ani się spostrzegł, a już jego pan siedział na złotym smoku, potem podwinął się pod niego, chwycił linę, i zawisł w powietrzu. Lina, nie zbyt gruba, ale bardzo mocna, skrećiała się i wyciągnęła pod jego ciężarem, przez co węzeł na szyi smoczéj, zacisnął się jeszcze silniej.

Po chwili, Pan Kaźmiérz już był przy okrągłém okienku, gdzie szepnął:

— Jadwiśko! Jesteś tam?

— Jestem! Ach jestem! Tak czekam!..... Czy tamten poszedł?

— Poszedł. Nie bój się. Wszystko dobrze. A teraz, wylatuj moja ptaszyno, jeśli tylko potrafisz się wydostać.

— Potrafię — potrafię.... Do ciebie, to choćby i przez piekło!

Właśnie chmura zesła z xiężyca, który ogromnym blaskiem uderzył na ścianę. Pan Kaźmiérz kołysząc się z liną, to był dalej, to bliżéj kamiennego pierścienia. W jedném z owych przybliżeń, dwie białe, obnażone rączki wytrysły z okienka, objęły go za szyję, potem wyrzała główka ujęta w małą krézę, potem pierś toczona.

Każmierz odjął od liny jedną rękę, - i wpół ujął wychyloną postać. Wierny sługa zasłonił sobie oczy — nie chciał widzieć co się dalej stanie.

Jednakże nic złego się nie stało.

Hedwiga była tak szczupła, wiotka i sprężysta, że cała postać jój wyfrunęła z pierścienia jakby rybka prześlizgująca się przez kluczkę sieciową.

Sam też jój ciemiężca, przyłożył się niechcący do ułatwienia tój ucieczki. Chcąc srodze umartwić uwięzioną, Majster kazał jój zabrać owe piękne ale sztywne suknie, w jakich powróciła z Artusowej zabawy, a natomiast, przez płaczącą Minę, posłał jój najskromniejszą z jój wszystkich sukienek; był to Mętlik, rodzaj rannego podwłośnika, z białej bawełnicy, niebieskim sznurem w pasie przewiązywany. Panienska nosiła go tylko po domu, przy gospodarskich zajęciach, i ani się domyślała, że jój w nim stokroć ładniej, niż we wszelkich wykrygowanych bławatach. Dziś rano, przyjęła go z utajoną radością, bo ta miękka i wązka odzież, niezmiernie ułatwiała przebycie okienka. I tak, co miało być worem pokutnym, stało się szatą wyzwolenia.

Spuszczają się powoli, powoli. Na linie są porobione węzły, o które Każmierz kolejno się opiera.

— Jadwiśko,— szepce — zamknij oczy, i nie bój się.

Ona od początku już zamknęła oczy, aby nie widzieć tój przerażającej przepaści.

Odpowiada mu:

— Ja się nie boję.

Ale w rzeczywistości boi się okropnie. Twarz ukryła na jego piersiach, trzyma go się z całych sił, i drży.....

Nagle — i on zadrgnął.....

Usłyszał pierwsze dźwięki trąb i fletów, rozplywające się z wieży Świętej Katarzyny.

Ona uczuła jego drgnienie, i pyta struchlała:

— Co się stało?

On odpowiada:

— Nic, nic.....

Ale w oczach robi mu się ciemno. Te dźwięki prześliczne, ciągnione, srebrzyste, brzmią łagodnie dla wszystkich uszu, a jemu wydają się trąbą sądną co powtarza: «Już za późno! Za późno!.....»

Jednak, wrodzona dzielność szybko bierze górę. Junak powiada sobie po staremu:

— Jakoś to będzie!

I z podwojonym zapałem rozgląda się po swojej drodze.

Patrzy na ścianę domu.

Już minął Gracje, których leciuchne wieńce zbliżone widziane, wiszą nad nim jakby grube powróśla.

Już zrównał się z Karolusem Magnusem,

którego kamienne oczy patrzą w niego dziwnie, jakby mówiły:

— Jedź śmiało kawalerze! Audaces fortuna juvat.

Już się otarł o wypukłą kratę od okna dolnego.....

Boże mój, dzięki Ci! Już czuje pod nogami twarde skręty liny, która opadając na ganek, jak wąż się nawinęła.

O szczęście! Już dotknął ziemi!

— Jakiś ty waleczny! — Szepce z uwielbieniem Hedwiga.

— Co tam ja, nie dziw. Ale ty jaka waleczna! — Odpowiada Kaźmiérz stawiając ją przy kracie od ganku. W téjże chwili wszakże spostrzega, że panienka niemoże utrzymać się na nogach.

— Jak ty pójdiesz, moje niebożátko? Ja cię chyba zaniesę.

— Nie..... nie..... chwilkę jeno odetchnę..... poczekaj.....

W téjże chwili muzyka umilkła. Zégary miejskie, jedne po drugich, zaczynają bić jedenastą.

Kaźmiérz porywa ją w objęcia.

— Już niemożna czekać..... I tak, późno..... Ach, żeby nie ten łotr Ollender, już by my byli za miastem! A tak..... ta brama nieszczęśliwa.....

Hedwiga zaczyna rozumieć nowe niebezpie-

czeństwo. Pod tém ukluciem, odzyskuje przytomność.

— Puść mię, — prosi — już ja pójdę śmiało.

Zbiegli ze schodków — suwają się pod ścianami — już wpadli w ciemną przecznicę.

Gospoda Kaźmiérza niedaleko, na trzeciej uliczce. Biegną prędko — jednak, nim dobiegli, już ostatni zégar wydzwoił ostatnie uderzenie.

Przy gospodzie, w mrocznym zaułku, człowiek jakiś milczący trzyma w jedném ręku długi rapier, drugą ręką przytrzymuje konia. Koń ubrany jest w siodło z płaskim, szerokim łękiem; łęk przykryty puszystą derką.

Pan Kaźmiérz, którego kordelas błyszczą dzisiaj po prawej stronie, chwyta za rapier i przypina go do lewego boku. Przy spuszczeniu się po linie, byłaby mu ta broń zawadzała, lecz teraz, na podróż, trzeba się dokładnie uzbroić. Już gotów — skoczył w strzemiona, podnosi panienkę, sadza ją przed sobą, i tak dobrze zakrywa burką, że ledwie jeden koniec, jéj nóżki przegląda.

Jadą — przez ulicę jedną, drugą — wszędzie pustka.

Wyjechali na Plac Targowy. Ztąd już droga do Wysokiej Bramy jak wystrzelił.

Kaźmiérz puszcza konia szybciej.

Czasem, z bocznych ulic, dochodzi go grzechotka nocnych Stróżów.

Teraz, — myśli sobie — choćby się na nas natknęli, to ich przeskoczę. Nie będę się bawił w pertraktacye. Piechty nas przecie nie dogonią?

I patrzy, patrzy, na igłaste daszki téj osobliwszej wieży, co poprzedza Wysoką Bramę, a która już przed nim czerni się na powietrzu, coraz czarniejsza, coraz wyższa i bliższa.

Czasem jednak, spogląda i za siebie.

— Co to? Czy kto goni? — Pyta z obawą Hedwiga.

— E, nie. Ja jeno patrzę, czy ten gamoń Maciek nie jedzie? Co on tam tak marudzi?

Ona nic nie odpowiada, tylko chowa się pod jego burkę, aby nie widzieć tych wysokich, niebotycznych domów, co tak dziwnie po nocy wyglądają. Przysięgłaby, że ze wszystkich okien tysiąc oczu złośliwie na nią patrzy, a to tylko xiężyc miga tak po szybkach, uciekających z obu stron ich drogi.

Nakoniec, zrobiło się ciemno — podkowy zatętniły pod sklepieniem — wpadli w jeden z widlastych przejazdów Hohe—Thoru.

Kaźmiérz wpatrzył się w głąb'..... i nic nie dojrzał. Brama była zamknięta.

Jednakże, nie tracąc dobrej myśli, zawołał rozkazującym głosem:

— Brama! Otwierać furte!

Wybiegł jeden ze Strażników, z latarką.

— A co to? — Spytał. — Już niemożna.

— Jakto, niemożna? Jeszcze w czas.

— A czy to Pan leficierz głuchy, że nie słyszał zegarów, i trąbek na kościele?

— Nie słyszałem. — Odpowiadał Pan Kaźmierz, i upierał się że jeszcze niema jedenastój. Przez ten czas, kilku innych Strażników przybyło do koła. On ich przekonywał słicznymi słowami, a zarazem wsuwał im do rąk dukaciki któremi już naprzód miał naładowaną kieszeń.

— A Profos Koreywa, jest? — Zapytał.

— Niema. Już oblużowan. Jeno co się zakręcił.

— A to szkoda. To mój znajomek. On by mię wypuścił. On mię już nieraz puszczał, bo wiedział, że niech-no ja się poskarżę do Panów Szpiryngów, to cała Straż Miejska w puch wyleci.

Strażnicy spojrzeli po sobie z wahaniem. Jeden i drugi przekonał się już przy latarce, że co trzyma w ręku, to najszczerze złoto, i pod wpływem téj świadomości, jeden drugiego zaczął pytać, czy furta już naprawdę jest zamknięta?

W Pana Kaźmierza duch wstąpił na nowo, gdy nagle, z bocznej izby, wyszedł Naczelnik Straży, człowiek mu nieznamy.

— Co tu za harmider? — Spytał groźnie.

Strażnicy oniemieli.

Kaźmierz tłumaczył się uprzejmie:

— Kaź mię Wasze puścić. Zabawił ja się

trochę w mieście. Jak nie wrócę dziś jeszcze do Władysławowa, jak nie stanę rano do Appelu, to będę pokaran. Widzisz Wasze iżem jest z Wodnej Armaty.

— Widzę to jeno, że niechbym puścił Waszmość, to ja będę pokaran. A co to Waszmość wieziesz do fortecy za trofea?

Mówiąc tak, Naczelnik wziął latarkę, i oświecił nią wystający trzewiczek Hedwigi.

W Kaźmierzu krew się zagotowała. Miał ochotę trzasnąć śmiałka po rękę, skrzyczyć wszystkich i porozpędzać, i byłby to uczynił w każdej innej chwili, ale dziś, czuł że nie może robić burdy, coby wydała tajemnicę. Zakrył więc tylko nóżkę brzegiem swojej burki, gniewne słowa w sobie zadławił, i pochyliwszy się do Naczelnika, szepnął:

— Z żoną jadę.

— Aha! Z żoną? — Powtórzył tamten, patrząc na niego drwiąco. — A to żonce będzie ciepliej nocować w mieście niż na polu. Radzę Waszmości, wracaj zdrów do miasta, abo jedź do którego z Burgemeistrów, przywieź mi Passe-portę na piśmie, to każę otworzyć.

Pan Kaźmierz przygryzł wargi. Znał się na karności wojskowej, czuł że niema tu nic do zrobienia, i już przemyślał czy na prawdę nie byłoby lepiej wrócić do miasta i tam poszukać jakiego ukrycia, kiedy niespodzianie, od strony pola, ozwało się trąbienie podobne do rogu myśliwskiego, a potem gromkie wołania i hukania:

— Brama! Héj, otwierać!

Jeden ze Strażników odemknął kratowane okienko, i odpowiedział z przekąsem:

— Już niemożna. Czekać się aż słońko wejdzie.

Ale głosy nie ustawały.

— A cóż to, gburze jakiś, nie poznajesz-że? To ja, Burmistrz Freimuth!

— I ja, Burgrabia Steffens!

— I ja!

— I ja!

— A nie wiecie to kpy, gdzie my jachali?

Naczelnik Straży przestraszony rzucił się do furty, krzycząc:

— Dawajcie klucze! To Panowie Senatory wracają z polowania..... Prędeż, klucze! Most zwodzić co tchu! A wy wszyscy, z drogi!

Pan Kaźmierz usłuchał rady, i cofnął się z koniem w najciemniejszy kąt bramy, tuż przy furcie.

Nastalo straszliwe brzęczenie łańcuchów; powoli, most opadł. Już téż i klucze przykładano do furty; była ona dość wysoka, lecz wązka, tylko na jednego konnego. Gdy ją roztworzono, Panowie Senatory zaczęli wjeżdżać po jednym, wszyscy kurzem okryci, śmiejący się, rozbawieni. Za nimi służba, z psami, sokołami, konno i pieszo. Most pod nimi tętnił, a echa sklepień rozlegały się od nawoływań, chichotań, i trzaskania harapów.

Wśród téj wrzawy, Starszy Łowczy krzyknął:

— Héj! Mało furty! Otwórzta i bramę, chocia do połowicy, bo i furgonik jest. Rozwarto połowę bramy, wtoczył się wóz pełen zwierzyny, fasek, namiotków, kobierców, i wszelkich myśliwskich przyborów. Za nim jeszcze ostatnia kupka służby.

Wszyscy przejechali — łańcuchy znów zagrały, — most poszedł w górę — i bramę napowrót zamknięto.

Naczelnik Straży, rozglądając się z podniesioną latarką, zapytał:

— A gdzie ów kawaler, co to wiozł taką misterną nóżkę?

Strażnicy obejrżeli się po bramie, nigdzie nie było kawalera.

Jeden z nich wprawdzie dobrze widział, jak Pan Kaźmierz zamieszany między służbę myśliwską, przesunął się tuż koło furgonu po moście, a potém zniknął za szafcami, ale sobie pomyślał:

— Hojny to pan, niechże sobie zdrów jedzie.

I zaczął opowiadać, jako ów kawaler zawrócił się do miasta, czemu wszyscy w końcu musieli dać wiarę, kiedy nigdzie go niemogli znaleźć.

A Kaźmierz tymczasem leciał już gościńcem jak szalony.

Kilka razy obejrzał się niespokojnie. Gdy

zobaczył że nikt ich nie ściga, rozsunał burkę, spojrział w twarz Hedwigi, przycisnął ją gwałtownie do łona, i wykrzyknął:

— Wiktorya! Teraz jużes ty moja! Moja! Moja na wieki!

I mknęli przez pola jakby duchy.

Wicher targał jój włosy, xiężyc świecił jój, w oczy, a ona te oczy to przymykała, to roztwierała z podziwieniem, pytając się saméj siebie, czy to sen taki dziwny? Czy to prawda, że ona, ta cicha, ta wiecznie przędaća panienka, dała się porwać, i leci w świat nieznanym?

I jakiś lęk panieński ogarniał ją napowrót.

Ale po chwili, przypominała sobie, że ten co ją porwał, to jój zacny, jój mężny, jój ukochany Kaźmierz, i wnet lęk ustawał, i znów przytulała się z ufnością do jego mocnej, gorącej, roztętniałej piersi.

A on cisnąc ją w objęciu, wykrzykiwał:

— Bóg dobry! Oh, jak ja cię miłuje! Wiktorya!

Tak, wiktorya! Wyrwał ją z kamiennego pierścienia Rajcowskiej przemocy, wyrwał ją z kamiennéj obręczy murów miejskich, i oto lecą jakby ptaki, wyżej łańców szumiących, niżéj chmur pływających, lecą szczęśni i wolni, bo miłość ma skrzydła.

VIII.

Tak, — ale wszelka Miłość ma skrzydła.

Jednakże, w najszałamym pędzie jazdy, wśród najzawrotniejszych uściśnień i upojeń, Panu Kaźmierzowi ciągle przez głowę przelatywało niespokojne pytanie:

— Czemu ten Maciek nas nie dopadł? Czasu miał po uszy. Ceregielowali my się tak długo wedle bramy. Czy tam się co stało, czy co?

Istotnie, Maciek miał czasu bardzo dosyć na spełnienie pańskich rozkazów. To tylko nieszczęście, że był «maćkiem.»

Jak widzieliśmy, podczas nadpowietrznej podróży młodych państwa, z serdecznego strachu o nich, zamknął oczy. Gdy je otworzył, jut Kaźmierz i Hedwiga zbiegali z tarasu.

Wtedy wzięły go nowe o nich strachy. A nuż Ollender będzie wracał, i wlezie im w drogę? A nuż Kuba Grubasek? Czy oni też dobrną do gospody?

Dręczony niepokojem, położył brodę w kamiennym wyźłobieniu pomiędzy esami, wybałuszył oczy, i śledził ich ucieczkę. Ile razy nikli mu w czarnych smugach cienia, serce mu biło młotem. Ile razy wynurzyli się na światło, podrygiwał radośnie i powtarzał:

— O!.... Som jesse, som!

Nakoniec, przepadli w czarnym zagłębieniu. Trwoga dech mu zaparła. Po chwili, usłyszał tętent, który w niezmierniej ciszy nocnej wyraźnie go dochodził. Potem dostrzegł nawet coś pędzącego po dalszych ulicach, bardzo żywo xiężycem oświetlonych. Ów cienik ruchomy, najprzód wielkości grochu, małał na ziarnko pieprzu, potem na ziarnko maku, aż znikł zupełnie, tylko jeszcze suche tętnienie podków, dzwoniło czas jakiś w niewidzialnej dali.

Podniósł ręce, i mówił radośnie:

— Chwałaz Ci. Panie Boze! Pojachali szczęśliwie! No, takiego mądrego pona jak mój, chyba niema na świecie.

Nagle chwycił się za głowę:

— O la Boga! A dyć to i ja mam jachać? A pon kazał wyhissować on śnor. Zagapił ja się trocha. E! Jeśceć ich dogunię. Jeno pociągnąć, i tyła.

Jedną ręką chwycił się za murek, drugą rękę spuścił aż pod smoczą szyję, i zaczął linę ku sobie pociągać. Z początku szła bardzo łatwo. Nagle się zatrzymała.

— Co u licha? — Szeptał. — Cy się tam zaha-

cyła w onym zielaznym płotku? Ciągnę i ciągnę, i nic. Chyba jom urwać, abo co?

I targnął linę z całej siły. Ale wtedy uczuł coś dziwnego. Ile razy ją pociągnął w górę, tyle razy jakaś niewidzialna siła pociągała ją na dół.

— Cy to cary? Cy tam ją kto tsyma?

I wysunął głowę jak najniżej, aby dojrzeć co się dzieje na ganek.

— Jezu Maryja! A dyć tsyma! Stoi tam cłek jakowyś, abo ino bies.... boć którendyz by żywy cłek tu psysed?

Mylił się on we wszystkich przypuszczeniach. Nie były to czary — nie był to bies — był to po prostu Kornelius, który obszedłszy kilka ulic, wrócił od strony przeciwniej, co sprawiło że nie spotkał uciekających. Podczas gdy Maciek zagapiony, spoglądał za niemi gdzieś w dalekość, i on sobie najspokojniej wszedł na ganek, zajął swoje «Kornelius - ruhe», i czekając aż Mina go zawoła, smutnie zapatrzył się w niebo.

Po chwili, przetarł oczy..... Jakaś kresa czarna przesłaniała mu sam środek tarczy xiezycowej. Przetarcie oczu nie pomogło. Spojrzał baczniej, zdziwił się niezmiernie — krésa ta ciągnęła się od tarasu aż do samego dachu.

Z początku nieruchoma, nagle zadrgała, i zaczęła iść w górę. Wtedy zrozumiał że to nie jest żadne przywidzenie — dał dwa susy — chwycił linę oburącz — przytrzymał ją — podniósł

głowę — a gdy nad smokiem zobaczył migoczącą rękę, zaczął krzyczeć z całych potężnych piersi:

— Złodziej! Mina, jesteś tam? Kuba, do mnie! Łapaj złodzieja! Stróże! Hej! A ty lotrze, zejdz-no mi tu zaraz!

I pod wpływem tej przyrodzonej skłonności, co we wszelkiem uniesieniu każe nam wracać do rodzinnej mowy, zaczął po holendersku kląć na czém świat stoi.

Ale i Maćka wzięły złości.

— Nie dam ja się tobie, Miemce jakiś! — Powtarzał, i linę precz do siebie ciągnął.

Wkrótce téż, nie z nim jednym już miał do czynienia.

Najpierwsza Mina, przerażona krzykiem Korneliusa, ukazała się we drzwiach, ze świecą w ręku.

Zaraz potem przypadł i Kuba Grubasek. Musiał on być gdzieś niedaleko, pewnie spał już sobie na wygodnej ławie jakiegoś tarasu. Zaskoczony w tém niezupełnie sumienném spełnianiu swoich obowiązków, tém żywszą teraz chciał okazać gorliwość; nietylko więc pochwycił linę, ale zaczął się po niej wspinać, co przy jego pękatej tuszy zdawało się niełatwém. Ale Grubasek, choć grubasek, miał dużo kociego przyrodzenia, i mimo wstrząśnień liny, okręcał się coraz wyżej, wołając swoim śpiewackim, przeciąganym głosem:

— Poczekaj złodzieju, dam ja tobie! Poczekaj!

Nadbiegł i drugi Stróż nocny, kościsty a wysoki Łukasz trębacz, o wiśniowym ubiorze i uroczystej postawie. Ten, nie piał się na linę, ale podniesionym berdyszem groził owęj ręce wystającej z dachu, i starał się utrzymać porządek między publicznością, której coraz więcej przybywało.

W sąsiednich domach, okna się otwierały z brzękiem, widać w nich było głowy niewiast, obrurkowane w białe nocne czéпки, wodzące przestraszonymi oczami. Na ganki wysypywała się służba w pół odziana, za nią panowie gospodarze wychodzili w szlafmycach, z kijem w ręku, pytając niecierpliwie:

— Co to takiego? Co się stało?

Jedni odpowiadali:

— Gore!

I głos ten leciał z ust do ust, szerząc niezmierną trwogę.

Drudzy uspakajali:

— Ale gdzież tam! To nic,— jeno ktoś zabit.

Inni znów przeczyli:

— Nie zabit, jeno zrabowan. Cały Dom Bursztynowy obrabowan.

Wśród tej bieganiny i krzyków, ukazał się Majster Johann. Wyszedł, więcéj zdziwiony niżeli strwożony, a rozejrzawszy się w sprawie, zaczął wołać na drapiącego się wciąż pod górę Kubę:

— Zleż-że mi zara. Tamtédy go nigdy nie dostaniesz.. Niech mi kto na dach pójdzie, to lepij. Hej chłopcy, skoczcie co tchu!

— Ja go tam wytropię! — Krzyknął Kornelius, i wpadł do sieni, a za nim chłopcy czeladni puścili się hurmem, radzi że taka zabawa im się trafia.

Grubasek nie dał się przekonać, ale wciąż wisiał u liny, a widzowie zgromadzeni na przeciwnych gankach, zachęcali go wykrzykami:

— O! Jest!... Widać mu głowę! O.... Teraz ręką macha! Śmiało Kuba, łapaj!

Majster, zapatrzony także w górę, powtarzał ciągle:

— Ale czego ten człek tam chciał?

— A no czegoż? — Odpowiadano w koło.— Wié że skarby są u Waszeci, chciał włézc. Niemógł drzwiami, to jakowém oknem.

— Aleć łacniej mu było z beischlagu, po drabce, niż tamtédy na złamanie karku?

Nagle, uderzył się w czoło.

— Herr Gott! — Wykrzyknął. — Czy to nie po nią? E! Niepodobna rzecz...
a wszelako...

Tu wyrwał świecę z rąk Miny, rzucił się do sieni, i zaczął pędzić po schodach z takim gwałtem, że na ulicy słyszano jak stopnie pod nim dudniały.

Tymczasem Fruzia, wysłana przez wystraszoną Panią Florę, czyniła nadludzkie wysiłki ażeby odwołać Maćka. Najprzód wysunęła się

do pasa po-nad klapę, ale gdy ztamąd było jój za daleko, wyskoczyła na dach wdowiego domu, wbiegła na drabinę, i wytknąwszy głowę, szeptała:

— Pst! Pst! Maciek! A ty głuptasie, słysz-że!

Maciek, oparty o komin, z całych sił przytrzymywał linę, która pod ciężarem Grubaska, wysuwała mu się nieustannie, a tak był zaciętrzewiony tą robotą, że nie zaraz usłyszał wezwanie.

Nakoniec odwrócił głowę.

— Cego?

— A no, chodź-że!

— Niemogę. Pon kazał wyhissować śnor

— Ależ, ty ośle jakiś, po cóż to pan kazał? Po to, aby nikt liny nie obaczył. A jak raz obaczyli, to już przepadło.

Maciek otworzył wylupiaste oczy.

— A dyć to prawda.

— Puść-że ją do licha, i uciekaj!

— A jakoz ja pona dogunię, kiej ulica pełniusieńka narodu?

— A już nie o gonienie tera rzecz, jeno trza im się wypsnąć. Już ja cię tak dobrze schowam tu w mojej komórce, że i sam kat cię nie wynajdzie. Puść, i zmykaj, bo jak cię złapią a wezmą na pytki, to ci będzie ciepło.

Maciek zrozumiał nakoniec rozpaczliwość swego położenia. Choć żał mu było ustępować z pola walki, roztworzył ręce, i wnet na ulicy rozległy się ogromne śmiechy. Lina, niespodzianie puszczone, obsunęła się warcząc, i Kuba

chlupnął o taras całym ciężarem swojej pulchnej osoby.

Przygoda ta jednak nie ochłodziła jego żarliwości. Owszem, zawołał:

— A widzita! Już łotr się mnie boi, kiej puścił. Ale ja go nie puszcę. Gdzie mój bieret? Hej, dawajta mój bieret!

Podano mu szafirowy beret jaki zgubił w upadku. Nadział go z fantazją na ucho, i znów zaczął piąć się pod górę, wygłaszając przechwałki:

— Oho! Nim tamci na dach wylézą, ja go tędy przycapnę. Abo to ja raz już wylapywał złodzieje?

Ale Maćka już nie było na dachu. Fruzia co żywo go zepchnęła, drabinę mu rzuciła, sama téż wnet znikła, i klapę zatarasowała za sobą na wewnętrzne haki; w domu bowiem tak porządnickiej, a razem i tak lęklivej osoby, jaką była samotna wdowa, wszelkie wejścia i otwory miały szczelne zamknięcie.

Już téż był i czas na ucieczkę.

Właśnie Kornelius i chłopcy czeladni wynurzyli się z innéj klapy, wyciętej w dachu Bursztynowego Domu.

Ukazanie się ich na wysokościach, zostało przywitane z ulicy wielkim okrzykiem tryumfu.

Kuba tylko jeden zmartwił się ich wtar-

gnięciem na plac boju, gdzie koniecznie chciał dotrzeć pierwszy. W obec Gracji, zdumionych jego widokiem, zawisł na wpół drogi w powietrzu, namyślając się, czy dalej ma pokazywać, jak jest nieustraszenie wiernym swojemu powołaniu, czy też może już drugim ustąpić wieńca zwycięzkiego?

W tej niepewności, krzychał:

— A cóż? Macie go tam?

Kornelius i chłopcy, biegali po tętniącym dachu, jakby oparzeni. Zaglądali w kominy, niema nic. Rzucali okiem na sąsiednie dachy, (oba dużo niższe,) a nie widząc tam ani drabin, ani żadnych śladów ucieczki, zachodzili w głowę gdzie się podział ów niepochwytny złoczyńca? Kornelius przesunął szyję między zakrętami dwóch esów, i pytał:

— Czy zlął po linie? Bo tutaj go niema.

Pomiędzy publicznością powstał śmiech szalony. Coraz więcej świec latało w oknach, coraz więcej ludzi tłoczyło się na gankach, podziwiając przemyślność złodzieja.

Ale nagle, w tę wesołość uderzył istny piorun.

Majster wyleciał z domu jakby warjat. Trzymał się za głowę i krzychał:

— Hedwiga! Hedwiga! Wziął mi Hedwigę! To on! On!..... Ja wiem kto!

Mina, cała drżąca, przystąpiła:

— Herr Meister, nie może to być. Jam sama drzwi zamknęła.

— Głupiaś babo. Nie drzwiami ona wyszła, jeno tamtędy.

Tu pokazał małe okrągłe okienko.

Na te słowa, wszyscy zadarli głowę. Powstał jeden okrzyk podziwu.

— O o o!... Tamtędy? Jakoż to może być? Taką małą dziurką? A toż chyba czary?

Co prawda, widziany z dołu, i przy niepewnym xiężycowym świetle, kamienny pierścień wydawał się jeszcze nierównie mniejszym niżeli był w istocie.

W tej chwili przyciszzonego zdumienia, rozwarły się drzwi sąsiednie; wybiegła z nich Pani Flora, cała w bieliźnie, z rozpuszczonemi włosami, jak osoba ze snu wyrwana. Toczyła błędnym wzrokiem i pytała:

— Co to? Napaść? Ogień? Co?

Majster Johann przechylił się z jednego tarasu na drugi.

— Nieszczęście. — Rzekł. — Hedwigę mi porwał. Niema jój.

— Co gadasz Waszeć? Wszakeś sam ją zamknął? Którędy?

— Którędy! Którędy! — Powtarzał z gniewnym uniesieniem. — Wszyscy to samo! Którędy? A no, tamtędy!

Pani Flora podniosła niewinne oczy.

— Wolne żarty, Panie Rajco. A toć kobiéta nie węgórz. Jakżeby tam przeszła?

Sto głosów ją poparło.

— My też to wszyscy gadamy.

— Gadajcie sobie, a ja co wiem, to wiem. Po co by ta lina wisiała? Hę?

W tej chwili Kornelius wypadł z domu wołając:

— Na dachu go niema, to jakiś mądry złodziej!...

Pan Schultz położył mu rękę na ramieniu.

— Słuchaj, to nie prosty złodziej. On wykradł — Hedwigę.

Kornelius chwycił się za włosy.

— Aha!... Wymówił przez zaciśnięte zęby. — To on! A gadałem! Jezuity porwały ją do klasztoru.

— Bydlę z ciebie Kornelius. Wiem ja do jakiego to klasztoru, wiem! Do Władysławowa.

Pani Flora struchlała. Dla odwrócenia uwagi Pana Majstra, zaczęła krzyczeć i mdleć.

Ale Majster ani zważał na nią. Chodził po ganku jak dziki zwierz po klatce, machając rękoma i bijąc się w czoło.

A ludzie pytali:

— Kto taki porwał? Czy ten młody, co to tu zawdy siedział na beischlagu? Ten od Wodnej Armaty?

— Co? Ten cudny, z wąsikami? — Szeptaly kobiety.

— A to chwyt. — Półgłosem chwalili mężczyźni! — Ba! nie dziwota! Wołała młodego zucha, niż tego starego piérkosa.

I nagle, prąd współczucia dla młodej pary, przeszedł po całym tłumie.

Majster Johann uczył to nieprzychylnie dla siebie poruszenie. Wyciągnął pięść i zawołał:

— Herr Gott! Trzebaż coś zrobić! Niechże mi kto pomoże, bo tu nie kto pokrzywdzon, jeno ja!

Kuba się przybliżył:

— Panie Radny, ja puńdę, zadzwonię na kościele.

— A co mi po dzwonach? Dzwon umarłemu. Dla mnie, czego trzeba, to konia!

Tu zbliżył się Kornelius.

— Panie Meister, u nas w Amsterdamie.....

— A bierz cię lichu z twoim Amsterdamem! Co mi tu Amsterdam pomoże?

— A pomoże. Pan Meister powie; «Trza coś zrobić.» U nas w Amsterdamie, kiedy łotr porwie niewiastę, to go ludzie zaraz topią w kanale, jak szczenię.

— A dobrze, i ja go utopię, w Moławie, w morzu, we krwi, w czym chcesz, jeno mi go daj! Ha, jak go dostać? Żebym konia tylko miał, tobym go dogonił, choć on już daleko, za miastem! Dalibóg, dogonię!

Tu Pani Flora nagle wyszła z omdlenia, i ozwała się:

— Pleciesz Waszeć trzy po trzy. Jakoż on ma być za miastem, kiedy Bramy już dawno zaparte, a on tylko co umknął? Szukaj Waszeć, szukaj, ale w mieście.

— Prawdać to, wdowa dobrze gada. — Ozwały się różne głosy.

I Kornelius, w myśli zestawivszy wspomnienia swojej nocnej przechadzki, poparł jęj zdanie.

— Tak. — Mówił. — Kiedy ów łotr uciekał, to właśnie grali na wieży. Przed graniem, liny tu nie było.

Pani Flora uradowała się niezmiernie tém poparciem, przychodzącem ze strony, z kąd najmniej mogła się spodziewać pomocy, i już sądziła że jest bliską tryumfu.

Na nieszczęście, w téjże saméj chwili, Fruzia do niéj przypadła, i szepnęła jęj w ucho, głosem trzęsącym się od strachu:

— Pani... Pani... niech Pani wraca doma...

— Co znowu?

— Jakiś Drab Miejski wpadł do nas, i powie; że złodziej pewnie w naszym domu się chowa.

— Co za Drab? Wszak widzisz, Kuba i Łukasz tu stoją.

— A ba! Żeby to który z naszych, tobym sobie dała z niemi radę, ale to jakiś Starszy, nieznamy..... Chce nam cały dom przetrząsać, niby wedle naszej przepieczności.

— O, to źle... — Syknęła Pani Flora, i zwróciła się ku swoim drzwiom co żywo, nie bez żalu jednak, że niemogła do końca doprowadzić swojej rozprawy z Panem Schultzem.

Ten, wcale nie dał się ztropić. Owszem, fukał coraz gwałtowniej:

— Gadajcie wy co chcecie, a ja powtarzam: nie taki on głupi, aby miał nocować w

mieście. Że Bramy zamknęli, to nie racya. Niby to nie można wejść w konszachty z bramiarzami? Niby to przekupnych ludzi mało? Ha no, co robić? Trza iść do którego Burgemeistra, prosić o konie i żołnierzy. Ale budzić, prosić, to rzecz długa. Żeby jeno miał konia! Dobrzy ludzie! Nie da mi tu kto konia? Wszakże je macie w podwórkach. Ja zapłacę, i grubo. Zmiłujcie się! Ja człek nieszczęśliwy!

Nikt się nie odezwał.

Gdyby w skargach i prośbach Majstra, była brzmiała boleść ojcowska, ta boleść co rozdziera wnętrzności, głos jego byłby niezawodnie porwał wszystkie serca. Ale tam brzmiała tylko zajadłość okradzionego, sknery, i wściekłość pogardzonego zalotnika, dwie złości, na których upokorzenie ludzie radzi patrzeć. To też nikt nie odpowiedział. Niektórzy nawet uśmiechali się złośliwie.

Jednakże, jakiś genjusz wrogi młodej parze, musiał usłyszeć błagania Pana Schultza, bo ten jeszcze niezdażył ich powtórzyć, a już w pobliżu zadzwoniły podkowy, i nad głowami tłumu pokazało się kilku jeźdźców.

Byli to ci sami myśliwcy, dla których otwierano furtę Wysokiej Bramy.

Nie wszyscy. Niektórzy podążyli w inną stronę miasta, furgon też już był odprawiony.

Tu, zbliżali się tylko dwaj Panowie z Senatu, Burmistrz Freimuth i Wójt Hans Hecker, którym droga do mieszkania, przez tę właśnie ulicę wypadała. Za nimi jechało pięciu ludzi ze służby.

Widząc tak niespodziane zbiegowisko, Pan Krzysztof Freimuth naciągnął brwi Jowiszowe, zatroskany wielce obawą, czy nowa jaka walka stronnictw nie zaburzyła miasta? Podniósł się na strzemionach, i krzyknął swoim burmistrzowskim głosem:

— Co to? Z drogi, ludzie! A co to się stało? Gdzie tu Stróże nocne?

Kuba i Łukasz (przyskoczyli z obu stron do konia, i stali zatrwożeni, kręcąc birety w rękę.

Zanim się zdobyli na opowieść wypadku, Pan Majster wydał krzyk radosny, jak tonący który spostrzeża deskę, zbiegł z tarasu, rzucił się ku jeźdźcom i wołał:

— Panie Burgemeister! Panie Wójcie! Pan Bóg was przysyła! Sprawiedliwości! Łotr mi wykradł Hedwigę! Moje dziecko! Moją pupilkę! Mój skarb! Panie Krystof! Panie Hans! Bądźcie moimi zbawcami! Pomóżcie!

Tu jeden ze strzelców Burmistrzowych podjechał, i śmiejąc się od ucha do ucha, zawołał:

— A to pewnie ten kawalir, co my się na niego natknęli w samej Hohe-Thor?

— Jaki kawaler? — Pytał Burmistrz.

— To Wasza Miłość nie widział? A to było pocieszne. Jeno roztworzyli całkie skrzydło we wrotach, wedle przepuszczenia wozu, a tu z Bramy leci coś na nas kieby furyat. Jak się otarł

kole mnie na moście, tak aż mu burka w bok furknęła, i ja wonczas obaczył, co na łęku ma dziewczyninę. Tedy ja musie w oczy roześmiał, o tak! A on nic, jeno zęboma na mnie zgrzytnął, płaszczysko nasunął, i kieby dyabeł jaki poleciał w pole het, a my się całą drogę naśmiali.

— Herr Gott! — Krzyczał Majster. — Oni się śmieją, a tu jest nieszczęście! Panie Krystofie! Sprawiedliwości! Miłosierdzia! Daj mi konia i ludzi! Każ otworzyć Bramę! Ja jeszcze ich dogonię!

Burmistrz Freimuth, który miał szczerą życzliwość dla Pana Rajcy Schultza, zabołał serdecznie nad jego nieszczęściem.

Ach czemuż tu w tej chwili nie było Pani Flory? Jój głos, tak mile zawsze słuchany przez Pana Krzysztofa, byłby może zdołał udaremnić jego potężną pomoc. Ale przekorne losy chciały inaczej. Przez nikogo niepowstrzymywany, Burmistrz odpowiedział bez namysłu:

— Zaczynajcie Panie Johann! Nie tylko dam ci konia i ludzi, ale sam z tobą pojedę aż do Bramy, aby wam ją bez mitrygi otworzono. Pupilkę ci wykradli, powiesz?

A pfe! Niepozwoleń ja na taką nieuczciwość. Hej! Dawaj tu który konia!

Słudzy się poruszyle, ale w też chwilę Hans Hecker, który swoją ryzą głowę krył dotąd za plecami Burmistrza, zeskoczył z siodła i zapraszał:

— Służę moim konikiem.... służę....

— A na czym Waszmość wrócisz doma?

— Ja? Na piechotkę.... mój dom tuż.... o dwa kroki....

Tak się tłumacząc, Pan Wójt, który nie lubił być zamieszany w cudze biędy, zostawił konia i sługi na odczepkę, a sam sunął swoim łasczym chodem, i niepostrzeżenie przepadł w tłumie.

Przez ten czas, Majster już dosiadał jego siwosza, i pędził jak szalony.

Burmistrz i służba za nim.

Jeden tylko Wójtowski strzelec, widząc umknięcie swego pana, wahał się w niepewności gdzie ma jechać, za nim? czy za tamtymi?

Kornelius przyskoczył do niego z roziskrzonym wzrokiem.

— Frycku! — Rzekł. — Daj mi twego konia.... na godzinę! I jeszcze coś.... tę rusznicę! Ja ci duszę dam za to!

— Duszę jak duszę. — Odparł tamten. — Ale za rixdalla, to i oddam.

— Trzy dostaniesz, jutro, jak oświtnie, jeno dawaj! Czy nabita?

— Nabita. Masz, i siadaj.

Kornelius dosiadał konia, wziął rusznicę, i pognął za biegnącymi.

Dopędził ich pod sklepieniem Wysokiej Bramy, w chwili gdy Burmistrz krzyczał:

— Hej! Bramę otwierać! To ja, Burgemeister Freimuth!

Na tak wszechwładny rozkaz, ruch wielki powstał między Strażnikami. Jedni biegli po klucze, inni wzięli się do spuszczenia mostu; łańcuchy zaczęły w górze warcząć.

Przez tę chwilę oczekiwania, Burmistrz zagadnął dyszącego z niecierpliwości Majstra:

— Dotąd wszystko łatwo. Ale teraz, którą Waszeć myślisz bieżć? Dróg tu co niemiara.

— Ja? — Wybąknął tamten. — A juścić na Nowe Ogrody.

— Co? Tak bez namysłu? Na oślep? A jak oni inną drogą pojachali?

— Już ja keine gadanie wiem że nie inną, jeno tą.

— A to czemu?

— A gdzieby on ją chował, jak nie za fossami Władysława? I niech-no raz tam wjadzie, to już po niéj. Ale ja go dogonię! Odbiorę! Zabiję!

— Więc to człek rycerski?

— A ktoby jenszy? To ten hultaj od Wodnej Armaty, co mi się w dom wkręcił, niby to jój brat. Słuszny brat! Psu brat!

— Słuchaj Waszeć.... — Mówił Burmistrz głosem nagle zmienionym. — Jeśli to sprawa z rycerstwem Jego Królewskiej Mości, to inaksza facyata rzeczy. Puścić was puszcze za Bramę, bom dał parol, ale pod kondycją....

— Co znów zakondycye? — Ofuknął się Majster z wielką złością.

— Nie fukaj mi tu Waszeć, bo ja Burgemeister, ja responduję przed Królem za to co wy wszyscy wyrabiacie. Odbierz swoją pupilkę, to ci wolno — jeno nie wdawaj mi się w żadne zabijatyki — słyszysz Waszeć? W żadne! Już i tak dosyć

na nas krakają, że w Gdańsku wieczne tumulty i bójki. Waszeć zrobisz burdę,

a potem całe miasto będzie za nią skwiérczało.

— To Waszmość myślisz, co ten furyat ją odda bez bitwy, z pocałowaniem ręki? Nie znasz go Waszmość, to dyabeł nie człek!

— A niech sobie będzie i dyabeł, jak was sześciu czy siedmiu nasiądzie na jednego, to żeby i Samson, nie wytrzyma.

Rajca nic nie odrzekł, tylko gryzł wargi, a konia coraz mocniej przypierał do furty.

Burmistrz niespokojny, obejrzał się na swoich ludzi.

— Słuchajcie! — Rzekł. — Tamtego żywcem brać! Taki mój ordynans, żywcem!

— A kiedyby się chciał bronić, to co? — Spytał Starszy Łowczy.

— To mu się odcinać, ale jeno tyle, aby was na śmierć nie zarąbał.

A cyngłów mi nie tykać, Boże broń! Związać i do miasta odstawić. Ale bez mordy, bo cała armja za nim stoi!

Potém, cichszym głosem, szepnął w ucho Łowczemu:

— A gdyby chciał umykać, to niech sobie umyka zdrów. Byleście panienkę odbili, to i dosyć.

Poczém, zakończył głośnieij:

— Zrozumieli wy?

— Zrozumieli. Stanie się wedle rozkazania. — Powtórzyli za Łowczym wszyscy.

Wszyscy, oprócz jednego Korneliusa, który na samym końcu jechał cicho, i pod szerokim giermakiem ukrywał ruszniczkę.

Już téż i most opadał, i furtę otwierano.

Majster pierwszy wyleciał. Za nim strzelcy, kolejką. Hollender zamykał pochód, i to w niejakiój odległości.

Belki pod niemi zahuczały.

Gdy znikli za wysokim wałem, Burmistrz wydał ostatni rozkaz:

— Nie podnosić jeszcze mostu, hej! Czekać mi tu z kluczami, aż nazad przejadą!

Poczém, sam do miasta zawrócił, ale zatroskany, nierad że się wdał w tę sprawę, jechał wolno, ze spuszczoną głową.

Za to jego ludzie pędzili coraz szybciej, porwani zawrotnym biegiem Pana Schultza, który leciał na wyścigi z wichrem, szalejącym po roztworzystych polach.

Ach, ten wicher! On to swoim szumem sprawił, że Kaźmiérz niedosłyszał dosyć wcześniej tętentu nadbiegającej pogoni.

Bo przestrzeń między nim a pogonią, już z każdą chwilą się zmniejszała.

Wszystko co zaszło w mieście od znalezienia liny, trwało w rzeczywistości nierównie krócej niż w opowiadaniu. Wszystko to gruchnęło jakby rotowy ogień, — to téż uciekający jeszcze i mili nieubiegli, a już pogoń przebywała Bramę.

Jednakże, gdyby Pan Kaźmiérz był ciągle pędził z tą samą lotnością, z jaką rozpoczął swoją podróż, byłby pewnie pozostał niedościgłym. Ale on po niejakiem czasie, pofolgował nieco koniowi, a raczej..... wyznajmy..... swemu sercu.

Ach, jakże nie spojrzeć czasem na te lica, które tulą się do jego łona? Jakże nie zamienić choć kilku słów szczęścia? Jakże nie uszczknąć choć kropli nektaru, z tych ustek co szepcą tak słodkie wyznania?

Te cienie chmur migotnych, te puste pola, te wichrzyste szумы, wszystko ich otoczyło taką samotnością, że im się wydało, jakby na całym świecie już nie było nikogo prócz nich dwojga — jakby lecieli w nieskończoność, gdzie nic im się nie oprze, i nic ich nie zatrzyma.

Nagle, Hedwiga wychyliła się, i zapytała:

— Co to jest?.....

Jakiś łomot, niby spadająca lawina, runął po ich drodze. Groźne krzyki napęliły powietrze, i pełno rąk otoczyło ich jakby sieć ruchoma.

Hedwiga krzyknęła głosem, w którym drgało najwyższe przerażenie.... Poznała, wychyloną ku sobie, wściekłą twarz Majstra Johanna. Wyciągnął ręce, otworzyste jakby szczypce raka,

chwycił ją wpół, i chciał oderwać od Kaźmierza. Ale ona jeszcze silniej przykrepowała się do towarzysza.

Ten, objął ją lewą ręką, a prawą szukał broni. Do rapiera nie mógł dosięgnąć, bo mu go postać Hedwigi zasłaniała, więc tylko podwinął rękę i wyciągnął kordelas.

Błyszczący nóż świsnął w górze, i już opadał na gruby kark Majstra. Byłby mu rozplątał miękką szyję, bo zamach był junacki, ale jeden ze strzelców Burmistrzowych podstawił swój berdysz, i podbił Kaźmierzowi rękę. Stał, zamiast uderzyć w szyję, obsunęła się po ramieniu Majstra, którego gruby wypchany rękaw, rozdarł się, i ciepłą krwią nasiąknął.

Kaźmiérz gniewny zwrócił się przeciw strzelcowi co mu podbił rękę, świsnął znów kordelasem i ciał na odlew; strzelec stęknął, i znikł mu z oczu. Młodzieniec obrócił się ku innym, którzy go ze wszech stron chwyтали. Chciał dosięgnąć tego co mu wstrzymywał konia, ale że ten był zpieszony, więc jeździec mierzył ostrożnie, w obawie aby głowy końskiej nie zranić, i ucieczki sobie nie zamknąć.

W tej chwili rozległ się za nim wystrzał.

Pan Kaźmiérz wydał krzyk dziwny — roztworzył ręce — piana różowa na usta mu wybiegła — zamknął oczy, i w tył się przegiał.

Byłby spadł z konia, gdyby nie Hedwiga, która przytrzymała go w gwałtowném objęciu, sama przytrzymywana ciągle przez podchwytyjącego ją Majstra.

Już mu się kilka razy wysliznęła, już Kaźmiérz upadający z konia pociągał ją za sobą, gdy Pan Johann wpił swoją szponiastą rękę za jęj kręzę. Twardy kołnierz zaczął ją dusić jakby stryczek. Dla złapania powietrza, w tył przechyliła głowę, ale ręka wciąż dociągała kohnierz — w oczach jęj się zrobiło czarno — ręce obezwładniały — wpół zadławiona i zupełnie już bezprzytomna, padła na piersi Majstra.

Ten porwał ją, posadził, a raczej położył przed sobą, głowę jęj oparł na swoim rozkrwawioném ramieniu, konia zawrócił napowrót ku miastu, puścił się, cwałem, i znikł w ciemnej nocy.

Tymczasem Pan Kaźmiérz runął z siodła.

Koń, przestraszony wystrzałem, krzykami, zamieszaniem, wyrwał się — poleciał wprost przed siebie gościńcem wiodącym ku Oliwie, i przepadł w ciemniejących gąszczach.

Łowczy, który dotąd nie mieszał się czynnie do zajścia, lecz tylko — jako wódz baczny — kierował czynnościami drugich, teraz dostrzegłszy leżącego, zsiadł co żywo, zbliżył się, i pytał z wielkiém zatrwożeniem:

— Aleć on nie zabity?

Kornelius przysiadł na piersiach Kaźmierza, przyłożył do nich rękę, roześmiał się twardo, i odpowiedział:

— Zabity. Już mu niczego nie trza, jeno piasku na oczy.

Łowczy chwycił się za głowę i zaczął krzyczeć:

— A łajdaki! A nie mogli wy to go wziąć żywcem? Po co ta pukanina? Który strzelił?

— Nie ja!

— I nie ja!

— I nie ja!

Uniewinniali się słudzy.

— Więc tedy kto?

— A no ten, co siedzi na zabitym.

— Co Waść za jeden? Czyś nie słyszał zakazu Pana Burgemeistra?

— Nie słyszał ja nic. A choćbym i słyszał, tom ja nie pacholek Burgemeistra, jeno socyusz Pana Johanna Schultza. Jam na swoją rękę jachał, i sam sobie rozkazał.

— Dobrze, dobrze. Ale jak będzie jawantura, to wszystko się na Waści skrupi. A będzie jawantura, obaczycie! Cała armia wodna pójdzie w krzyk. Dostanęz ja od Pana Burgemeistra nosa! No, a panowie łeficerze jeszcze jeno nam wyplądrują!

— O Jezu! — Mruczał Kornelius. — Co tu gomonu o jednego chłystka. U nas w Amsterdamie, kiedy złodzie kradnie panny, to go Burgemeistry same dają katu, a nie gardłują za nim. Panie Strzelcze niestrzelający, wolałbyś ty mi powiedzieć «danke», bo gdyby nie moja rusznica, to by ten nieboszczyk był tu was wszystkich wymordował. Jeno moment miał, a mało to nasiekl tym swoim nożykiem?

Łowczy obejrzał się po swoich ludziach, i sprawdził z przyjemnością, że jednak żaden z nich nie poniósł ciężkiego szwanku. Nawet ów strzelec tak ciężko cięty kordelasem, ocalał dzięki swemu szwedzkiemu kapeluszu, który po wierzchu był obciążony niewinną piłnią, ale wewnątrz miał duszę z mocnej blachy. Ogłoszony gwałtownym uderzeniem, strzelec obsunął się był z siodła, ale głowę uniósł całą, i teraz dosiadał znowu konia.

Wszyscy ich dosiadali, zapytując:

— A co z tym zabitym zrobić?

— Nic. — Odparł, machnąwszy ręką, Łowczy. — Nie będę ja się onym trupem chwalił w mieście. Niech tu go sobie kto chce najdzie, i co chce sobie myśli. Abo to mało ludzi ginie po różnych gościńcach? Jeśli przyjdzie do świadkowania przed sądem, to powiem bez ogródki kto tutaj nabroił. Wszystko się na Waści skrupi. Ale sam umyłam ręce od całej téj historyi. My tutaj nic nie zawinili.

— Tak, tak, my nic nie zawinili. — Powtarzały gromadne głosy.

— Az tém wszystkiém, nasłucham ja się od Pana Burgemeistra, oj nasłucham! Boże mój! Licho mię tu przyniesło.....

Tak utyskując, Łowczy odjechał zfrasowany. Wszyscy odjechali w milczeniu.

Kornelius ruszył ostatni. Jeszcze nawet kilka razy przystanął, i obracał głowę za siebie, aby nasycić oczy widokiem swojej zemsty. Potém nagle skoczył w bok z gościńca, spał ko-

nia, i wszystkich wyprzedzając, bocznymi drózkami puścił się ku miastu.

A sztywne ciało Kaźmierza, z twarzą nieruchomie zwróconą ku niebu, zostało na tém pobojuwisku, samotne, jakby na pustyni.

Tylko chmury czarno podarte, przesuwaly się nad nim, jakby płaczki wiejące długimi kirami,— tylko xięzyc przypatrywał mu się swoim okiem, okrągłym od podziwu i przerażenia, — tylko wichur jęczał nad nim przeciągle, i z jękiem tym przeleciawszy pola, uderzał na morze, chwiał okrętami stojącymi w Puckiej zatoce, targał ich liny i flagi, aż marynarze w pół-zbudzeni, przewracali się na twardych deskach, żegnali się znakiem krzyża, i mówili:

— Jak téz ten wiatr osobliwszo zawodził Richtyg tak jakby nad kim desperował.

Cudowne odkrycie.

Nazajutrz Dom Bursztynowy pozostał długo zamknięty — zakłety — niedostępny.

Już od rana co prawda, krążyły głuche wieści, o jakimś tragicznym zakończeniu nocnej, przygody. Wszakże nikt nie wiedział na pewno co się stało. Z ganków i okien sąsiednich kamienic, setki oczów, setki uszów zwracały się tam nieustannie, dla podchwycenia jakiegóż oznaki lub odgłosu. Kupki przechodniów stały z głową zadartą, wpatrując się w kamienny pierścień. Ale pierścień był ciągle pusty, w żadnym z okien nikt się nie pokazywał, żaden jęk, ani krzyk, ani najlżejszy nawet szmer nie dochodził z wnętrza, i choć niektórzy znajomi poruszali kołatką, nikt im nie otwierał. Już kumoszki zaczęły szeptać, że Majster Johann wszystkich pozabijał i sam się powiesił.

Dopiero po południu, dobiła się tam Pani Flora, która zawsze i na wszystko miała swoje sposoby.

Trochę popukawszy, zaczęła wołać:

— Mina, otwieraj! Bo ja niesę dryjakiew dla Pana Konzula.

Zaraz klucz zgrzytnął, drzwi troszkę się uchyliły, wyjrzała z nich przerażona twarz Miny. Wdowa tak zgrabnie wparła się w tę szparę, że sługa musiała ją wpuścić do sieni, ale natychmiast drzwi napowrót zamknęła.

— Meister nie każe nikogo puszczać i okrutnie sierdzi się, co tam tyle narodu stoi. Ach! — Mówiła dalej, podnosząc do nieba ręce. — Ach! Co się to u nas porobiło!

— Czy Meister leży?

— Nie, chodzi po swojej komorze, tam na drugim trepie, od podwórka, bo nie chce patrzeć na te ludzie, co mu dom napastują.

— Wiem, że porąban. Czy ta rana zła?

— Pono nie. Balwierz opatrował i śmiał się, i gadał, że za dniów pięć abo sześć Meister będzie zdrow. Ale zawdy biedny syka z bólu.

— A frajlein Hedwiga czy już wie, że Pan Kaźmierz nieżywy?

— A jakże, wie! Meister zara jój to gadał, i ten paskudny Kornelius chwalił się przed nią że go zabił. Oj szkoda frejbittera! Nieładnie to było, że wykradał Pannę Hedwigę, Meister miał rację że ją gonił, Meister ma zawdy rację, ale po co ten Ollender go zabijał? Taki gładki kawaler! Taki szczodry pan!

Przez czas gdy Mina utyskiwała, Pani Flora nic nie odpowiadając, szła szybko po krętych schodach. Stanąwszy na drugim piętrze, wtargnęła bez namysłu do sypialni Majstra Johanna.

Ten, po swojej pięknej komnacie chodził ciężkim krokiem, cały nachmurzony; za każdym nawrotem przystawał, i popijał piwa ze szklenicy stojącej pod oknem. Kabat miał nadziany tylko na jedno ramię. Lewa ręka, w pół obnażona, była u ramienia spowinięta chustami.

Na widok pięknej wdowy, zmieszał się, zaczął kabat naciągać na piersi.

— Herr Gott! A jakoważ to siurpryza! A no, ja się wstydam.

— Nie wstyduj się Waszeć. Ja tu jako do szpitala. Chory medyków się nie wstyda, a ja dzisiaj medyk, co przynosi Waszeci cudowną dryjakiew na rany. Dawaj Wasze rękę. Cóż, bardzo boli?

— Bolęc, boli. Co prawda, balwierz gadał jako gruby rękaw mię salwował, i jako nic niema nadłupanego. Wszelako to różnie i piecze dyabelnie.

— Ale bo to te balwierze zawsze do maściów nakładą różnych papryków i chrzanów, byle — jako mówią — złe wypalić. Ja Waszeć chcę kurować po babsku. Mam tu plasterek turecki, co w nim jest i balsamus Mekkański, i one różne styraxy, takie, że jak przyłoży na rękę, to jakby ręką odjął. Siadaj Wasze, pokaż nieboraku rękę.

To mówiąc, mimo wahań Pana Majstra, od-

winęła chusty, i na widok jego rany zaczęła serdecznie jęczeć.

— Widzisz Wasani co to ja cierpię dla tój głupiej dziewczyny.

— Widzę..... widzę..... A mój Boże! Jakoż to można było płać taką zaciną rękę?

— A ja Wasani powiem, co dałbym się może płać i raz drugi, byle mi takie bieluchne rączuchy zawdy opatrowały. — Mówił Rajca, który już zaczynał topnieć i uśmiechać się pod wrażeniem tych niewieścich starań.

Pani Flora przyłożyła plaster, dobyty ze złocistej Lewantyńskiej puszki, potem z kieszeni wyciągnęła bandaż, długi, miękki, taki przepachniały lawendą, że w całej komnacie rozeszła się woń jakby na łące.

Owijając go w koło ręki, Pani Flora powtarzała z wielkiem zawzięciem w głosie:

— A to zbój, co nam tak pokrzywdził naszego Meisterka! A to zbój! Aleć dostał i on za swoje, niegodyasz. Teraz już ziemię gryzie, już!

Dobrze mu tak.

Majster się zawahał.

— Już to — rzekł po chwili — że zarobił na swój koniec, to keine gadanie. Jam go tam nie chciał sam zabijać, aleć że Kornelius tak uczynił, to i dobrze się stało, a to dla dwóch racyi. Naprzód, że jakby nie ostał zarąban, to by nas był wszystkich w rumel zarąbał, bo straszny w nim siedział Erkul. A potem, niechby on był żyw, to bym ja nigdy już oka nie zmrużył spokojnie. Zawdy bym się bojał, że on wróci po

nią. A to był człek płodny w fortele, nigdyś niewiedział z jakiej strony cię skubnie.

— A cóż ta głupia Hedwiga porabia?

— A cóż? Jak to ona. Lamentuje, desperuje i prosi się do klasztoru.

— Gdzież ona jest? Zawdy na oném poddaszku?

— Oho! Nie głupi ja już tam ją wsadzać, aby mi całe miasto z okienka ztumulowała. Zamknąłem ją w jej komorze, a Korneliusowi przykazałem, aby stał na podwórku i patrzył ciągle w jej okno, czy ona tam jakich excessów nie robi, bo to lichy umię z oknami dokazywać, i gotowe jeszcze na łeb skoczyć. Ale ja każę tam dać kraty. Zaraz dzisia. Juzem posłał po tegoż słusarza. Ja w całym domu w okniech każę włożyć kraty. Chciała klasztoru, będzie miała u męża klasztoru.

— Jakto, u męża? Czyżbyś Waszec jeszcze chciał za żonę, takową co z gładyszkami latała po gościńcach?

— Ta-ta-ta! Latała! Że sobie przegalopowali spacyrem za Bramę, to jeszcze niéma infamii. No i tak, Bogiem a prawdą, co mizerna dziewczka może zrobić, jak ją mocniejszy gwałtem na konia wsadza?

Pani Flora miała ochotę uczynić uwagę, że niewiele musiało tam być gwałtu, gdzie porywana wychodziła okienkiem, z którego tylko przy bardzo dobrej woli można się wydostać, ale przycięła sobie usta, i zmilczała.

Tymczasem Pan Majster, coraz bardziej się zapędzając, wołał:

— Na cóż tedy ja ją gonił, i krew moją przelewał, i tamtego zabijał, jak nie na to aby ją mieć? Prawda że nagrzeszyła, i grubo, aleć Ewangeliya każe w sercu żywić misericordię. Niechże mi się zasubmituje, a do nóg padnie, a zaobiecowa jako mi będzie zawdy wierną żoną i służą, to jeszcze dostanie pardon.

Pani Flora nic nie odrzekła, oparła głowę na rękę, i mocno się zadumała.

Majster przeszedł kilka razy przez pokój. Nagle, stanął przed nią, jakiś rozweselony.

— Czy wiesz Wasani? Trudno to dać wiarę, a jest. Już ręka mniej piecze.

— Chwałaż Panu Bogu! Żeby to ja mogła jeszcze i na duszną ranę Waszeci przyłożyć plasterka! A mogłabym.

— Co znów? Jakim sposobem?

— Puść mię Waszeć do Hedwigi, a ja ją do submissy nakręcę.

Na twarzy Pana Majstra odmalowało się wahanie.

— Puść mię Wasze, — powtarzała — ja jęj nakiwam jako trzeba. Powiem jęj, niechże raz już wybije sobie z głowy onego młokosa, tém więcęj że już umarł, i żadne lamenta go nie wskrzeszą. A choćby i mogły wskrzesić, czy to nie większy onor zaślubić słusznego personata, niż takiego chudego sowizdrzała?

— O to to. Powiedz jęj Wasani jak to ty umiesz. A umiesz, bo z Wacpani Salomon

w spódnicy. A więc tedy, pójdziem.

I roztworzywszy drzwi od korytarzyka, szedł przodem na wyższe schody, a Pani Flora idąc za nim, błogosławiła go po cichu:

— Ej, ty sułtanie w lutrzęj skórze! Gruby kacie na mdle panienki! Dostaniesz ty kiedyś sułtanke, co ci pokaże jaka to miła rzecz, domowa niewola. Oddam ci ją kiedyś za wszystkie, i za tę biédną Dorotę, i za tę małą Hedwizkę. Ale tymczasem trza ją gwałtem wyrwać z jego szponów, bo ten smok połknie ją na poczekaniu. Jak Boga kocham, połknie!

Już byli na trzeciém piętrze, pode drzwiami panieńskiego pokoju Hedwigi. Majster wyjął z kieszeni klucz, i wkładając go w zamek, szepnął:

— Ja tu Wacpanią wpuszczę, a sam poczekam w komorze naprzeciwko, abyś Wacpani mogła się wydobyć Jak jeno zechcesz.

Mówiąc, drzwi odchylił, wdowę do wnętrza wpuścił, i zaraz napowrót klucz za nią zakręcił.

Panieński pokój, choć prawie dla nikogo niewidzialny, był może najśliczniejszym z całego Bursztynowego Domu. Pani Dorota przez długie lata wystrajała go dla swojej pieszczoszki, a i Majster Johann, od śmierci żony, i od chwili jak spostrzegł, że w Hedwidze uroczą dla nięj

znajdzie następczynię, kazał tam znosić wszystko co miał najpiękniejszego w domu, najmiejsze kobierce, najmalowniejsze makaty, i najmisterniejsze spręciki. Hedwiga jaśniała tam zwykle jak perła w tęczowej konsze.

Ale dziś, przepych otoczenia jeszcze mocnięj uwidocznił rozpacz i opuszczenie mieszkanki. Siedziała ona, nie na żadném z tych cudnych krzesel, co jaśniały dokoła korduanem i stu-worzystym forsztatem, ani na tém łożu o srebrnych wypukłych rzeźbach, nad którém zwieszały się kotary z błękitnej kamchy, ale w samym środku pokoju, na kobiercu, skulona, z twarzą ukrytą w rękach. Miała na sobie ten sam jeszcze mętlik, pomięty, podarty, i cały zakrwawiony. Byłaż to krew Pana Kaźmierza, zastrzelonego w jęj objęciu, czy krew Majstra Johanna, co zranioną ręką ją przytulał? Pewnie jedna i druga razem. Kręza jęj rozerwana wisiała strzępami, włosy rozwinięte spadały w nieładzie, a wszędzie, i na kręcie, i na włosach, i nawet na twarzy, straszna owa krew pozasychała w rude plamy.

Na odgłos klucza, Hedwiga podniosła oczy przerażone. Gdy poznała że to pani Flora, wyraz niejakięj ulgi objawił się na jęj twarzy.

— Patrz Wacpani,— wymówiła głosem przerywanym od łkania — jaka ja nieszczęśliwa! Zabili go! A ja żyję! O czemuż i mnie już razem z nim nie zabili?

Dobra wdowa przyklęła obok Hedwigi, objęła ją czule i rzekła półgłosem:

— Biédne ty dziecko! Co téż oni z tobą porobili? Ale nie płacz tak bardzo, ja tobie powiem coś takiego..... co cię troszkę pokonsuluje.

Hedwiga spojrziała na nią oczami pełnemi bezdennęj boleści.

— Mnie już nic niemoże konsolować. Nigdy! Mnie już tylko pójść do klasztoru, i tam czekać aż Pan Bóg da mi się w niebie połączyć..... z nim.

— No, no, obaczmy, aż ja ci powiem to coś. Jeno cię przestrzegam, od wielkiego dziwu nie narób mi tu czasem krzyku, bo tam za drzwiami może kto stać i szpiegować.

Hedwiga machnęła ręką pogardliwie.

— A niech sobie szpieguje. Co mię to wszystko już obchodzi?

— A swoją drogą ja proszę: mityguj się jak usłyszysz, i nie krzykaj.

Tu Pani Flora, nachyliwszy się jeszcze więcej, szepnęła jój w samo uszko:

— Pan Kaźmiérz jest żyw.

Pomimo wszelkich przestróg, Hedwiga wydała źle przytłumiony wykrzyk, potem zarzuciła ręce na szyję Pani Florze, całowała ją, ścisłała bez końca, i w pół płacząc, w pół śmiejąc się, mówiła:

- Żyw? Żyw! O moja ty dobrodziko! Czy to tylko prawda? Żyw, ale czy na długo? Czy ta rana go nie zjé? Kto to Wacpani mówił?

— Ależ cicho, cicho..... — Przestrzegala tamta, kładąc jój rękę na ustach. — Wszystko ci powiem kolejką, jeno po cichutku, bo tamten stoi na czaciech, a to przed nim sekret. Kto mi to mówił? A Pan Oberszter Zabokrzycki.

— Co? Widziałaś go Wacpani?

— A jakoż? Tylo co wychodzi odemnie.

— I on widział Pana Kaźmiérza?

— Widział, i bez niego Pan Kaźmiérz kazał się Wacpannie kłaniać, i prosił na Boga, byś jeno doczekała jego wyzdrowienia, a wszystko jeszcze po staremu się uda.

— Ach Boże! Boże! Ja jenó się bojam abym nie zwaryowała ze szczęśliwości. Tedy go nie zabili? Ale zawdy poranion okrutnie.....

— Medyk powiedział, co za kilka niedziel Pan Kaźmiérz siądzie na koń.

— Ale gdzież on leży? Ach Jezu, żeby to ja mogła jemu rany opatrować, ziółeczka podawać, jako żonie się godzi! A tu nic, ach nieszczęście!

— Nie blasfemuj Hedwiga, już zapominasz jaka to łaska Boska że on żyw. Owóz teraz powiem rzeczy kolejką. Jak oświtło, a Bramy otwarli, tak i puściłam onego utrapionego Maćka, co tój całej biedy narobił.....

— To on narobił? I co on zrobił?

— A no, jak to czysty maciek. Za długo by mi gadać. Zgoła, musiały my go z Fruzią, bez całą noc w domu kryć. Świtem tedy dopadł konia i pojachał, bo chciałam aby chocia ego biédnego trupa ktoś przecie po chrześciań-

sku zebrał i pochował. Owóz jedzie, jedzie, a onego trupa nigdzie ani na oczy. Tak dojachał aż do samój Oliwy. Tam dopiero nalazł pana, alic nie w trumnie, jenó w celi Oćca Błażeja, na czyściutkiém łożu. Koło niego Oćcowie Cystersy i różne Panowie Officyjery.

— A zkad oni już się zwiedzieli?

— To były dobre znajomki pana Kaźmiérza; on ich zaprosił jeszcze wczora do Oliwy na świadków swojego szluby, a potém na assistencyę, bo chciał cię z taką eskortą zawieźć do Władysławowa. Oni tedy czekali na was w nocy u Zakrystyjana. Czekają, czekają, nie widać nikogo. Bierze ich impaciencya, wychodzą na drogę, nasłuchują czy kto nie jedzie? Aż i jedzie, a nawet pędzi, leci. Patrzą: koń Pana Kaźmiérza, ale cóż? Sam, bez jeźdźca, leci rozhlukany, jak waryat. Ledwie go potrafili przyłapać, i zaraz pomysleli co musiała z wami stać się jakaś fatalność. Siedli tedy na koń wszyscy, wzięli chłopów ze somszedztwa, wzięli téż i nosze co są w klasztornym szpitaliku; jadą tedy ku miastu, a nasłuchują czy się kto gdzie nie bije, a patrzą czy gdzie niema zwłoków? Aż patrzą, a tu na drodze leży Pan Kaźmiérz zastrzelon. Im takóž się zdało, że to już na śmierć.

A wszelako, jak zaczęli go wodą pstrykać, a na noszach układać, tak ten w jęk. Tedy obaczyli że dusza jeszcze się kołacze. Bez całą drogę to jęczał, to znowu mglął, aż rankiem są w

Oliwie. A tam właśnie świece na ołtarzu już się palą,
a Ociec Celestyn kładzie stule aby wam dawać

szlub. A tu Pana Młodego wnoszą jakoby na marach. Tedy lamentują. Ale Ociec Błażej to wielki medyk, ten wziął Pana Kaźmierza do swojej komórki, a tam jak zaczął obmywać, obmacywać i świdrować, tak i wyjął oną paskudną kulę.

— Co? Wyjął! I ona go tam wewnątrz nie popsowała?

— Trocha, wszelako nie na śmierć, bo nie poszła durch bez piersi, jeno jakoś boczkim, tak co między żebrami gdzieś utknęła. Ociec Błażej powie co wszystko w nim całe, jeno się tam trocha krwi natoczyło, i boi się jakowejś inflamacji, ale powie, niech jeno chory spokojnie poleży miesiąc albo dwa, to potem pójdzie do szluby zdrów jak rydz.

— Ach, miesiąc albo dwa! Toż wieki! A jak przyjdzie owa inflamacja?

— E.... nie przyjdzie, ale na to aby nie przyszła, trza choremu — jako mówi Ociec Błażej — wielkiego silencium i wesołej myśli. Nie pozwala nawet aby go ruszono z łoża. My tedy z Panem Oberszterem uradzili tak: że on ostanie się w klasztorze, ale że to będzie wielki sekret, i że będzie poczytan za umarłego. My będziemy po nim płakały, i Ofiicyjery będą płakały.

— Czemu to ma być sekret?

— Bo jakby Pan Schultz wiedział że on żyw, toby ciebie zamknął nie tu w tej komorze, ale w jakowym lochu, albo jeszcze by co tchu sprowadził Ministra, i jutro przez gwałt cię wziął za żonę.

— Jakto? Więc on jeszcze chce mię za żonę? A toż to człek bez nijakiej hambicy. Żeby tak odemnie kawaler precz uciekał, to jabym już sto razy powiedziała: Bierz cię lichu!

— A tak, my takie. Ale u mężczyznów rzecz inaksza. To sobie Wacpanna zapamiętaj, że chłop na podwikę, jak myśliwiec na zwierzynę; im ona więcej ucieka, tém on łapczywszy na nią. I nie koniecznie dla onęj zwierzyny, jeno dla samęj wojny. Nieraz widzi się wielkiego pana, ba! i króla, co goni za lichą sarną, albo się boryka z niedźwiedziem. Wszakci jemu nie chodzi o piecyste ni futro, mógłby posłać swoje strzelce i mieć i to i to, jeno jemu chodzi o batalię i o wiktoryę. Oni wszystkie takie. Nawet i ten twój Pan Kaźmiérz, czyby on się tak palił, gdyby miał tyle trudności? Ale temu dyskursowi dajmy pokój, bo jako widzę już u Wacpanny znowu płacz bliski. Pogadajmy jeno, co trza robić.

— Tak, właśnie. Co ja mam nieszczęśliwa teraz robić.

— Nic, jeno dyplomatyżować. Ja będę trzymała Pana Schultza w tej perswazyi, jako Wacpanna straciwszy swego chłopca, dasz się powoli namówić na stateczniejszy związek. Ty tedy oplakuj sobie Pana Kaźmierza, dosyć głośno, aby wierzył że tamten zabił, a znowu nie tak strasznie głośno aby go irytować.

I namysłaj się i odmyślaj, stukaj w paluszki, jak to zwykle dziewczka co się droży ze swoją personą, i tak ciągnij od niedzieli do niedzieli, byle przeczekać.

— Dobrze. A potem, co?

— No potem, jak Pan Kaźmiérz wyzdrowieje, to się pobierzecie.

— Jakim sposobem? Znowu uciekać? A nuż się znowu nie uda?

— Oho ho! Niby to niema stu sposobów? Mamy czas do medytacyi. Nie bój się Wacpanna, już moja w tém głowa.

— Złota głowa i złote serce u Wacpani, Dobrodziki mojęj. Czémże ja to odpłacę?

— A po co płacić? Małoż to dla mnie delicyi w cudzych szczęśliwościach? Tedy wszystko będzie dobrze. Jeno teraz mi się Wacpanna kapeczkę ogarnij, bo wyglądasz jak półtora nieszczęścia.

— Cóż chcesz Wacpani? Jak mię Pan Majster w nocy, prosto z konia cisnął tu na ziemię, tak i ostałam do tej chwili w czystej desperacyi.

— Pojrzyj-no jeno Wacpanna w lusterko, czyś ty nie podobna do upiora, co póty krew chlupał, aż cały poczerwieniał?

Panienka zerwała się z kobierca, i stanęła przed ośmiokątném weneckim zwierciadłem, którego kryształowe ramy świeciły na ścianie tysiącami gwiazdek.

— O la Boga! — Zawołała. — Jakoweż ze mnie strasznydo!

Skoczyła do niskiej półki, gdzie migotała srebrna miednica z nalewką, zaczęła obmywać twarz i ręce, obmuskiwać roztargane włosy, i z tą młodocianą rzutkością, co w jednéj chwili prze-

chodzi od bólu do wesela, to podskakiwała, to pośpiewywała, powtarzając:

— Kiej Pan Kaźmierz żyw, to trza być jeszcze do ludzi podobną.

Pani Flora, która siadła tymczasem na krześle, przestrzegala:

— Jeno bez tych przyśpiewków i jubilacyi; nie przepominaj Wacpanna że Pan Kaźmierz zabit, i że masz po nim płakać.

— A prawda, prawda, trza płakać, acz się już i niechce. No, a tera i sukienczynę zwlekę, bo ta krew już mi cuchnie do mdłości. Wiész Wacpani, ten mętlík; już się na nic nie zda, chyba na fartuchy dla Miny. Mała szkoda, feralna to była szatka. No, a z téj kręczeczki to już jeno strzępki.

— Musiał cię porządnie Pan Rajca natargać.....

— O joj ! Okrutnie. Jużem się dławila jako ten wisielec. Żeby kręza nie była prysła, to byłby mię zadusił na śmierć.

Hedwiga rozповідаła to wszystko z życiem, w pół ze śmiechem, ale tu nagle syknęła, rękę zacisnęła na piersiach, i głos jój znowu zrobił się płaczliwy.

— Matko Najświętsza! A to nieszczęście!

— Co znowu się stało?

— Mój Szkaplirz! Mój kochany Szkaplirz!

— Zepsował się?

— A jakoż? Pan Majster go zepsował. Widno, jak ciągnął za krężę, tak i sznurka nade-

rwał, i cały Szkaplirz rozlał się w kawałki. Boże mój, co ja tera zrobię?

— Pokaż-no Wacpanna, może się jeszcze da naprawić? No, i cóż tak wielkiego? Rozplątały się dwie połowiczki. Zeszyjesz je ładnie, nowy sznurek dasz, i będzie.

— Tak, ale to już będzie nie ten sam sznurek. A jam zawsze go tak pilnowała jak oka w głowie. Taka wielka świętość! Jedyna rzecz co mi ostała z dawnych czasów, i to mi zepsowali! O patrz Wacpani, i modlitewka stamtąd się wysnęła.

To mówiąc, Hedwiga ostrożnie rozwijała żółkłą, w kilkoro złożoną karteczkę. Jeszcze nie zdążyła całej rozwinąć, gdy drugi papierek wypadł z niéj na podłogę.

— A to co? I druga modlitewka? Nigdy nie śmiała rozparać tego ni zaglądać, ale kiedy samo się roztworzyło, to téż obaczę co w takim Szkaplirzu piszą? Ta pierwsza..... łacina..... to nie dla mnie. A druga?

Mówiąc to, podniosła i rozwinęła drugi papierek.

— Tu coś po naszemu napisano. Co to jest?

I stanąwszy w pasie światła bijącym od okna, przebiegała kilkakrotnie oczami wyblakłe znaki pisma.

Podczas tego czytania, twarz jój zaczęła się mienić — ręce opadły jak bezwładne — oczy rozwarły się w ogromne koła.

— Jezus Maryja! — Zawołała. — Co ja tu znalazłam!

— Co takiego? Co się z Wacpanną dzieje?

— Czytaj Wacpani..... Masz.....

Pani Flora wzięła papierek, i chcąc głośno przeczytać, już otwierała usta, gdy Hedwiga chwyciła ją za ramię.

— Cicho..... cicho..... — Szeptęła. — Czytaj to jeno dla siebie, aby kto nie posłyszał.....

Pani Flora zaczęła wzrokiem przebiegać pismo, i wnet i na jój twarzy odmalowało się wielkie wzruszenie. Podniosła ku Hedwidze oczy zdumione, i jakby nieśmiałe.

— A to dopiero odkrycie! — Rzekła. — Po prostu, cudowne.

Hedwiga nagle spowaźniała. Zwinęła napowrót ów papierek, i nabożnie do ust go przycisnęła.

— Mój Boże! Tylem lat nosiła on Szkaplirz, i anim wiedziała co mam!

Potém zapadła w głębokie zamyślenie.

— Powiedz Wacpani, co z tém robić?

Pani Flora także się zamyśliła.

— Ja,— rzekła po chwili z niejakim wahaniem — żebym tak była Wacpanną, tobym tego Panu Schultzowi nie pokazywała.

— I mnie się toż samo widzi. Żeby tak żyła Pani Dorota, o! tobym pokazała, ale tera inaksza rzecz....

— Tak właśnie. On gotów by Wacpannie taki skarb zabrać, i nie oddać jeno za twardemi kondycjami, abo i spaliłby onę kartkę, aby na zawdy ostać się jedynym Wacpanny seniorem.

— Więc tedy co robić? Bo coś trza prze-

cie zrobić. Ja licha dziewczyna, i jeszcze we więzieniu, co ja poradzę? Wacpani także, jeno białogłowa. Tu trza nam człeka łepkiego i przywiązanego, coby pojachał, szukał, weryfikował.

Ach, żeby Pan Kaźmiérz był przy zdrowiu.....

— Tak, ale nie jest przy zdrowiu, i nie zara będzie. A to rzecz pilna, pilniejsza nad wszelakie jensze.

I obie długo zamieniały spojrzenia pełne troski. Nagle Hedwiga uderzyła się ręką po czole.

— Już mam! Ociec Damian! To człek mądry i dla mnie przyjaźliwy. Poproszę go wedle spowiedzi. A potém pokażę mu ten papierek. Jeśli kto pod słońcem, to chyba on, poradzi co tu robić.

— Niebieską inspiracyę Pan Bóg zesłał Wacpannie. Powiem ja Panu Majstrowi, jako Wacpanna w swojej dezolacyi chcesz się pokonsolować spowiedzią. Tegoć on chyba nam nie zrekujuje. Ale schowaj Wacpanna głęboko ten dokument, boć to nad wszelakie złota i karbunkuły.

Hedwiga oddarła kawalek od poszarpané krézy, włożyła weń płatki Szkaplerza i obie karteczki, wszystko sznurkiem obwiązała, i nadziawszy nową suknię, za stanik wsunęła.

Już téż i czas naglił. Za drzwiami odzywały się coraz głośniejsze stapania i krząkania. Pani Flora zapukała, Majster ją wnet wypuścił, i zapytał:

— No, cóż tedy?

— A no, cóż? Nieźle mi się pofortuniło. Zeszłam ją na podłódze. Wiła się tam jako ten wąż, a szlochała jako bóbr. A tera już chodzi, oczy otarła, włosy przymusknęła, szatki odmieniła, można choć trocha z nią pogadać. Niech się wywdycha, to i przyjdzie myśl pogodniejsza, jeno trza jój obrachunek zrobić ze sumnieniem, i w nabożeństwie się odrodzić. Takoz ona i chce, i prosi aby jój sprowadzić spowiednika.

Majster zmarszczył brwi.

— Kogo? Onego Dominikana, co to taki mądral? Hm..... a jak mi dziewczkę jeszcze gorzej nabuntuje?

— Nie gadaj tak Waszeć. Xiądz zawdy napędza do pokory i do posłuszeństwa. On lepiej jój nakiwa niżli Waszeć sam.

— Wymyśl Wacpani co jenszego. Ja już tych mnichów dosyćem w domu miał.
— Nie wymyślę nic lepszego. Nie kontruj Waszeć, bo sam sobie psowasz jenteres.
Niektóra białogłowa nikogo nie posłucha, ni oćca ni matki, ni męża ni Pana Boga, a xiędza posłucha.
— To chyba tak u was, bo u nas Luteranów to inaczej.
— A ma się rozumieć, że inaczej. Wasze Ministry boją się własnych żon, to już i nie umieją rozkazywać żadnej białogłowie.
— Ha no! Kiedy tak, to już go tam Wacpani sprowadź, ale jak będzie źle, to na Wacpanią spadnie respons.
— Dobrze, dobrze, responduję. — Odparła

wdowa żwawo, i zabierała się do wyjścia, gdy z dołu po schodach zatętniło zbliżanie się kilku osób.

Naprzód szedł Kornelius, ponurszy niż kiedykolwiek. Za nim ślusarz, z pękiem prętów żelaznych w jednym ręku, z różnymi narzędziami w drugim. Za niemi szła Mina, bardziej niż kiedykolwiek przerażona.

— To wedle onych kratów. — Rzekł Kornelius.

— A dobrze. Pokaż mu jak ma robić, a pilnuj tam, i ty Mina pilnuj, aby frajlein znowu się gdzie nie podziała.

Mówiąc to, po raz drugi klucz z kieszeni wydobył, i Korneliusowi go wręczył.

Ale zaledwie tych troje weszło do pokoju uwięzionej, wnet ozwał się ztamtąd głos Hedwigi, tak mocny i rozkazujący, jakiego Pani Flora nigdy jeszcze u niej nie słyszała.

Po chwili, drzwi rozwarły się z trzaskiem, wyleciał z nich Kornelius blady i pomieszany, a Hedwiga stanawszy na progu, z wyciągniętą ręką wołała:

— Precz ztąd, Czeladniku! Jako to ty śmiesz wchodzić do panińskiej komory? Precz z moich oczu, ty zbroju, ty podły tchórz, co ludzie napastowasz pokryjomu! Co strzelasz na nich z tyłu!

Kornelius obrócił się ku niej zzieleniały, i wycedził przez zaciśnięte zęby:

— A jakoż to ja miał strzelać inaczej, kiedy z przodu Wacpannaś go zasłaniała swoją personą? Byłby ja i Wacpannę przestrzelił.

— A to byłbyś dobrze uczynił. Jużbym na twoją szpetną figurę nie patrzała.

To mówiąc, ręką wciąż wyciągniętą wskazywała mu schody, a gniew jej tak przeraził Korneliusa, że chwycił się oburącz za głowę, i zaczął na dół uciekać, wołając:

— Już ja zgubion u niej na zawdy! Na zawdy!

Ona tymczasem, podniosła oczy żalosne ale złagodniałe na zdumionego Majstra, i kłoniąc mu się do kolan, mówiła:

— Panie ociec..... panie ociec.....

Majster przygryzł sobie usta.

— Po co to gadać? Wiész przecie frajlein jako ja tobie nie ociec.

— Ja niechcę tego wiedzieć, i będę zawdy respektować Pana Majstra jakoby oćca, boć Waszeć mi był przez mędel lat benefactorem. Persekwuj mię Waszeć ile chcesz, bij mię nawet jeśli ci to miło, wszystko przeniosę bez sarkania, jeno mi za dozorcę wieży nie dawaj onego pachółka, bo takich despektów ja już nie przeniosę.

To rzekłszy, wypchnęła Minę i ślusarza, i drzwi za sobą zatrzasnęła.

Pan Majster zdumiony milczał, tymczasem Pani Flora wciągnawszy go do przeciwniejszej komnaty, mówiła natarczywie:

— A co? Jak z Waszecią zpokorniała? Jak się pięknie zasubmitowała? Dajże już Waszeć pokój tym głupim kratom i tyranom. Do kogo

już ona teraz ma uciekać, kiedy tamten zabijt? I po co złe języki budzić? Już i tak całe miasto krzyczy na Pana Konzula, że katujesz dziewczynę.

— A niech sobie krzyczy. Co mi to szkodzi?

— Oj, szkodzi! A jakby się Waszeci zachciało wyjść na Burgemeistra, to wszystkie Katoliki przypomną te excessa, i zakrakają Waszeciną elekcyę.

Majster, zachwiany wymową Pani Flory, wychylił głowę na korytarz, i kilku słowami odpawił ślusarza. Gdy napowrót ku niej się obrócił, wdowa patrzyła na niego z czarowną czulością.

— Waszec — rzekła — masz serce wspaniałe jako lew. Kiedy tak, to ja dla Waszeci jeszcze coś lepszego zrobię. Po tém wszystkim co tu przypadło, już nie godzi się aby dziewczyna mieszkała pod jednym dachem z Waszecią, dopóka się nie pobierzecie. Ja tedy ją wezmę do mojej kamieniczki, na mój respons. Niech tam siedzi aż do szluby.

Ale tu Pan Majster gwałtownie się ofuknął:

— O! Co to, to nein! Nein! I nein!

Pani Flora spuściła oczy, i ciągnęła jakby z wahaniem:

— Ha! Kiedy Waszec sam tego chcesz, to już ja muszę z siebie uczynić wiktykę. Tedy ja tu się zaintrmituję, i będę z Hedwigą siedziała w jednymże więzieniu.

— Jakto, Wacpani w moim domu będziesz? Wielce ja będę ukontentowan, jeno.....

— Niema nijakiego jeno. Jak ja tu się wprowadzę, to kaźden sobie powie: «Juścić pod ućiwemi oczami Flory Korwiczkowej, niemogą się tam dziać żadne katostwa ni zdroźnoście.» Tak tedy będzie salwowan i onor Waszecin i modestya Hedwigi. Prawda że za to, ja popadnę pod ludzkie kalumnie.....

— A to z jakiej racyi?

— A jakże chcesz Waszec? Wdowa co mieszka u wdowca..... to woda na młyn kalumniatorów. Ale ja, niechcę myśleć o mojej personie..... Taka już moja natura. Niewiasta się sakryfikuje, dla tego kogo miłuje.

Tu Pani Flora cisnęła Majstrowi upajające spojrzenie.

— Tera tedy — rzekła — lecę jeno po Xiędza Damiana, potem przynoszę mój węzełek, i nie ruszę się ztąd aż do szluby.

To rzekłszy, zbiegła ze schodów, a zbiegając, tak w duszy kończyła swoją przemowę:

— Powiedziałam, jako nie wyjdę ztąd aż do szluby, ale niepowiedziałam do czyjzego szluby. Już on teraz mój, to pewne jak Amen w pacirzu. Niechno ja miesiączek abo dwa z nim podyszkuruję, a niechno mu na obiadki narobię codzień konfektów i pasztetków, to dziad wleci w sidło jako ptak. A godny to mąż! Co za kamienica! Dla mnie na małżonka unikat. Co za szafy! Co za makaty! A te przebindy i alszbanty! Będę ich miała ile się żywnie zachce..

A przytém jest i Panem Rajcą. A za czasem ja go wyforuję i na Burgemeistra. Bo ja muszę być panią Burmistrzową, tak czy owak, a muszę.

W tych myślach, Pani Flora wyszła z Bursztynowego Domu, i skierowała się ku Dominikanom.

Przez ten czas, Pan Majster, zamknąwszy znów na klucz Hedwigę, stał jeszcze nieco w korytarzu, gdzie sobie rozważał ostatnie spojrzenia i słowa Pani Flory.

— Osobliwsza frau! — Powtarzał. — Dla kogo się to ona sakryfikuje, i kogo to ona miłuje? Hedwige? Czy mnie? Oj, coś mi się widzi, że nie Hedwigę. Fenomen z tój niewiasty! Dalibóg, żeby nie było Hedwigi, tobym ją zara wziął za żonę, bo to i buzia kieby roza, i szyjka cygnusowa. i gospodyni excellentna, i rozumu jak u siedmiu Panów Radnych. Ale Hedwigi nie rzuce, choćby jeno dla tego aby na swoim postawić, i dla tego aby ludzie nie drwili, że mała mödchen dała mi odkosza. A przytém i to bestyjka cudna.

Tak rozmyślając, spoglądał kolejno, to na drzwi od panieńskiego pokoju, to na schody któremi zeszła Pani Flora, i już wrócił do swojej komnaty, już sobie znowu piwa dolewał do szklenicy, a jeszcze wahał się, która z nich godniejsza jest affektu?

- Rób co chcesz,— medytował — zawsze źle. Weź tę, będzie żal tamtęj. Weź tamte, będzie żal tęg. Żeby to tak można..... A no cóż, kiedy niemożna..... Niewolno! Hm..... Na ten raz, szkoda że ja nie Turek.

X.

Wesele.

Co to u licha? Czy tu mór wszystkich powybił, czy co? Maciek, zajrzyj-no do której chałupy, i koniecznie dostań mi języka.

— Juz ja, prosę Wasęj Miłości, kręcił się po niejednym obejściu, i raz doślipił ja maluśkiego chłopacynę, ale i ten mi ucik i psepadał za chliwkim. Juz mię się wsyćko tera nie dazy, juz takowa klątwa Pana Boga cięży na mnie, obzydłym gześniku.

— A nie desperuj-że tak ciągle Maćku. Wszakci nawet ja, człowiek, jużem ci darował, a jakożby Pan Bóg niemiał darować? Może to właśnie było w Boskiej woli, aby rzeczy na tę niespodzianą figurę się uformowały? Obaczmy to zara, już ja ledwie dyszę z impatiencyi, jeno mi nie chlipaj wciąż nad uszyna, bo mi na prawdę zbrzydnieysz.

Tak Pan Kaźmięrz rozmawiał, jadąc na tęgim bułanku, przez wieś dużą i porządną, ale

pustą jakby jakieś miejsce zakłętę. Stawał przed chatą jedną, i drugą, i dziesiątą, nawoływał:

— Hej! A jest tam kto?

Nikt się nie odezwał, nigdzie ani żywego ducha. Czy ludzie poszli gdzie na odpust? Ale żeby też ani jednej nawet babiny nie zostało się na lekarstwo, to jakaś wieś dziwnego nabożeństwa?

Pan Kaźmięrz, który dotąd jechał wolno i ostrożnie, (i to nie bez powodu, bo każde szybsze poruszenie targało mu wnętrzności,) teraz już, zniecierpliwiony, puścił koniowi wodze, i popędził tak siarczyście, że Maciek na swojej szkapinie, w żaden sposób niemógł za nim zdążyć, témbardziej że lzy, nieustannie zalewające jego małe oczy, zasłaniały mu drogę, i łkaniem zapierały piersi.

W tych łzach tonął on już od dawna, od chwili gdy ujrzał swego pana w Oliwie, pół-martwym na zakonném łożu. Z początku stał osłupiały, nierozumiejąc wcale powodu nieszczęścia. Towarzysze Pana Kaźmięrza dobitnie mu go wyłożyli. Wśród ich kułaków i płazowań, słyszał nieustanne wyrzuty:

— A ty łotrze! Ty Judaszu! Toś ty wszystkiego narobił! Tyś zdradził twójgo pana!

— Ja? Ja? Co ja kzyw? Jezu mielosierny! Jabym za pona mego dał z siebie pasy dzyć.

Dalibóg ja nie Judas.

— A czemuś to gałganie, liny nie uprzątął? Żeby nie to, byłyby Niemce do rana spały niczego nie widziały, a twój pan byłby uja-

chał i szlub wziął szczęśliwie. Poczekaj, niech on skona, to my tobie damy!

Nakoniec Maciek zrozumiał, i odtąd wpadł w nieopisaną rozpacz, nie nad sobą, ale nad swoim panem.

— Zabijta mię jak psa! — Wołał dzień i noc. — Ja niegodzien żywota! Obwiešta mię tu zara na wiezycy!

I rozbijał się po całym klasztorze, głową tłukł o mury, jadło i napój odpychał, a gdy

choremu niemógł służyć, bo i Pan Kaźmiérz nie znoził jego widoku, Maciek siadł pode drzwiami celi, wzdychał, szlochał, każdego z wychodzących błagał o wiadomość, i wciąż powtarzał:

— On już nieżyw! Pewnikiem nieżyw! Pokażcie mi wzdy jego mogilkę! Ja tam się zawlekę, i zdechnę jak pies.

Nakoniec Ojcowie Cystersi, ulitowali się tak wielkiej boleści; zaczęli tłumaczyć Maćkowi, że gdzie nie było złej woli, tam niéma i grzechu, że pan ozdowieje, nawet już miewa się lepij. I oficerowie wzruszeni, przestali fukać na biédaka. W końcu i sam Pan Kaźmiérz, po kilku naradach z dominikańskim Ojcem Damianem, kazał Maćka zawołać, i przypuścił go napowrót do służby, a w połowie i do swojej łaski.

Wszelako lzy Maćkowe jeszcze nie przestały płynąć; jeżeli już nie płakał ze zgryzoty nad chorobą pana, to płakał z rozczulenia nad jego wspaniałomyślnością; ile razy otrzymał słowo lub spojrzeenie, zaraz rozkwilił się jak dziecko, i te-

raz oto jeszcze, od łez mroczących mu oczy, niemógł pana dopatrzeć ni dogonić.

Tymczasem Pan Kaźmiérz przebiegłszy wioskę, wpadł w gęste zagajenie, gdzie droga nagle się skręcała, i na tym skřęcie ujrział widok niespodziany, który go zarówno zdziwił jak ucieszył.

W głębi krajobrazu, świeciła kręto rozlana, iskrząca się od «wartkiego» biegu, rzeka Warta; bliżej stał ogromny dwór wiejski, tyłem zwrócony do rzeki, a przodem do wielkiego dziedzińca. Musiał ten dwór być niegdyś obronny, bo na dwóch narożnikach miał dwie małe murowane baszty, o czapkach z dachówek i kręcących się chorągiewek; ale budynek co je łączył, był cały drewniany, modrzewiowy, pokłuty gdzie nie gdzie oknami o maleńkich, ziarnistych szybkach; wyglądał nieco przysiadło, bo nieposiadał piętra; za to miał dach niezmiernie wysoki, z gontów niby spiżowych, tu rudawych, tam zielonawych, od porostów i omszałości. Przed drzwiami wejściowymi, wysuwał się ganek o toczonych słupach, z wystającym daszkiem, w którego trójkątym szczycie, świecił na tle złotem, okrągły Obraz Matki Boskiej. Dziedziniec musiał także niegdyś służyć za warownię; tu i owdzie sterczały jeszcze kawały blankowanego muru, ale w licznych miejscach mur był już rozsypany, i tam zastępowały go płoty, bujnie obrosłe krzewinami. Tylko brama wjazdowa, ciężka i sklepista, przechowywała się nienaruszenie.

Od téj bramy, droga wysadzana lipami, bięła prosto jak wystrzał do wiejskiego drewnianego kościółka, który szarzał w oddaleniu nagim czworobokiem swoich ścian sędziwych, i dachem jeszcze spiczastszym niżli dworski, uwieńczonym dzwonnicką, gdzie pod słońcem coś migało niby srebrna iskra, pewnie sygnaturka.

Cały ten obraz był zatłoczony wieśniactwem odświętnie ubraném; jedni przez płoty zagłądali do dziedzińca dworskiego; inni długimi sznurami stanęli po dwóch stronach gościńca; największe tłumy roily się w koło kościoła; tam aż pstro było na polu od pasiastych spódnic, kwiecistych fartuchów, granatowych sukman, i sterczących nad głowami jagnięcych wykrawanek.

Pokazanie się Pana Kaźmiérza, sprawiło w téj nieruchomej cizbie niejakié poruszenie. Na widok ubioru wojskowego, i to nieznanego w tych stronach, oglądano się ciekawie.

— O!... Jeszcze jeden! I jakowy cudaczny! — Ozwała się któraś dziewczka.

— Wczas! — Podchwycił stojący tuż parobek. — Jadzie na gaszenie świeców.

Pan Kaźmiérz zatrzymał konia, i spytał najbliżej stojących:

— Niech będzie pochwalony! Gadajcie, nie zmylił ja drogi? Wszakci ta wieś, to Dobrowola?

— A juści. Co ma być jenszego?

— No, to dobrze. A co się tu dzieje? Odpust macie, czy jarmark, żeście wszyscy z chałup wylegli?

Tu starszy jakiś gospodarz pokłonił mu się do strzemięcia.

— A to proszę Puna Pułkownika, tu som gody. Pan Rotmistrz się żeni.

— Co za Rotmistrz?

— Ode pancernój chorągwi.

— No tak, ale co za jeden zacz?

— Jakoż to, co za jeden? To Pun Starościc, nasz młody dziedzic.

- A tom trafił, jak kulą w płot! Pewnie Pan Starosta ociec, w kościele?

Chłopi spojrzeli po sobie drwiąco. Gospodarz pokręcił czapkę w rękach, i znów mówił,

— Pun Pułkownik z za morza puno jadzie, kiěj pyta o Puna Starostę.

— Bo co? Czy go tu niéma?

— Jest-ci, jeno tam kole kościoła pod krzyżem leży wznak, i śpi już całkie dwanaście roków.

— Co? Starosta nieżyw? Oj, to źle. No, a Pani Starościna, także już nie żywię?

— A Boże broń! Bez uroku mówiący, żywa ona jeszcze, ale jeno bez pół, bo jak pochowała Puna Starostę, zara ją paralusz ruszył. O, widzi Pun Pułkownik tam za bramom pański dum? Una tam siedzi na gonku; niemogła nieboga puńść do kościoła na szlub synaczka, jeno sę kazała wytoczyć przede próg, i czeka z chlebem i solom. Widzita? Kole niěj Rękodajny, co to Paniom ongi prowadzał, a tera jeno przeciąga jom z ławą. I Pun Marszałek stoi tam, i jensze wielgie ludzie dworskie.

Gospodarz byłby jeszcze dłużej się chwalił znajomością Starościńskich dworzan, ale Pan Kaźmiérz mu przerwał:

— Bóg zapłać. Z drogi, chamy!

I ruszył, oglądając się za Maćkiem.

Ten właśnie wyjeżdżał z gaju, wstrzymał nagle szkapę, i rozdziawiwszy usta, dziwował się:

— O la Boga! Co tu naroda!

Na skinienie pańskie, co tchu skoczył, rzesza się rozstąpiła, i obaj wjechali w ulicę lipową. Droga była wysypana pachnącym tatarakiem; po brzegach stały beczki ze smołą, jeszcze niezapaloną, ale wróżącą że noc weselna, i po za dworem wesoło ma być obchodzona.

Przed bramą Pan Kaźmiérz aż przystanął, dla przyjrzenia się jěj strojności; słupy z obu stron były przybrane chorągwiami, pewnie zdobycznymi, bo niektóre z nich wisały w same strzepy, a na innych roily się płiężyce i różne pogańskie znaki. Trofea te poprzepinano tarczami herbownymi, gdzie na czerwónym polu wił się biały Nałęcz. U wierzchu bramy powiewały dwa buńczuki, pewnie także wzięte przez antenatów, może przez nieboszczyka Starostę.

Niemniěj uroczyście wyglądał dziedziniec; wśrodku, na obszernym trawniku, ciągnęły się stoły, ułożone z tarcic na kozłach, zatrzęsione różnem grubem jądlem, dokoła stały kufy z piwem; widocznie uczta dla chłopstwa. Pod oknami dworu, z pomiędzy kwiecistych grzęd i krzaków, łyskały cztery wiwatowe moździerze. Ganek, równie jak prowadzące do niego schody,

były wyłożone sutém czerwónym sukmem, a w głębi, przez drzwi roztwarte, oczy mogły dojrzyć sień ogromną, wybitą przepysznyim tureckim namiotem, o pasach oliwkowych i amarantowych, po których kręciły się czarne i złote arabeski.

Od tego tła barwnego, wdzięcznie choć smutnie odbijała głowa Pani Starościny,

siedząc w głębokim krześle na ganku; nogi jej, pomimo lata, były szczelnie otulone białym niedźwiedziem futrem; powyżej pasa, rysował się jej kabat, z fioletowego rzymskiego szarszedronu, i spadający na piersi kołnier z srebrnych koronek; takż sam czepiec pokrywał włosy, także już posrebrzone, bo chociaż Starościna niedawno dopiero czterdziestkę przebyła, przecież ślady głębokich cierpień i ciężka choroba, starły już z jej oblicza wszelką krasę; ale czego niemogły zetrzeć, to wyrazu wielkiej dobroci, wielkiej prostoty, i wielkiej powagi, co wszystko razem wzięte, czyniło z niej najżałośniejszą i najmiłszą matronę.

Za krzesłem Starościny stał Marszałek Nadworny, z białą laską w rękę; dalej pod ścianą kilku innych domowników, a tuż obok poręczy krzesła Rękodajny, w świetnym kubraku koloru łososiowego, z kordem wiszącym przy mendelkowym pasie; w rękach trzymał niedużą tacę złotą; brzegi jej były obłożone równianką ze świeżych róż; w środku, leżał bochen żynniego chleba; przy chlebie stała srebrna solnica, w kształcie orlęcia o rozpiętych skrzydłach, z koroną na

plaskiej głowie; w te to koronę była nasypana sól, biała i czysta jakby garstka śniegu.

Pan Kaźmiarz wpatrując się z bramy w nieruchomy ów obraz, pomyślał sobie niewesoło:

— Szkoda! Jeśli ta białogłowa niemoże ni się ruszać ni gadać, to niewielką będę miał z niej pociechę.

Ale natychmiast otrzymał pocieszenie, bo

w tejże samej chwili Starościna wyciągnęła rękę, wskazała na bramę, i zwróciwszy się do Rękodajnego, żywo coś mówiła.

Przemówienie jej tyczyło się właśnie Pana Kaźmierza.

— Jeszcze ktoś..... ale co to za jeden? Przypatrz-no się Asan, kto to taki? Ja nie poznaję..... czy i oczy już mi się psowają?

— Nie Mościa Pani Starościno, to nie żaden z gościów. Nie znam go..... Zakurzon, jakby sto mil ujachał. Ach, a ten pacholek za nim, istny kundel. Jakieś ludzie podrózne.

Marszałek szarpnął wąsa i sarknął:

— Ale że też tak wali prosto we dwór, choć widzi że u nas gala?

Istotnie, podróznym walił prosto przed ganek.

Służba, sądząc także iż to który z gości, wybiegła na wyskoki, konie wzięła do staj en, a Maćka do czeladni.

Tymczasem Pan Kaźmiarz już stał na ganku, kłaniał się i mówił:

— Do stóp IMci Pani Starościny ściele się

z weneracją. Jestem Kaźmiarz Korycki, herbu Prus Pierwszy, Oficjer od Wodnej Armaty Jego Królewskiej Mości.

— Aha! — Uprzejmie odrzekła Starościna. - Waszmość pewnie znajomy Władka, mego syna? On Waszmość Pana zapraszał?

- Nie, Mościa Dobrodziko. IMci Pana Starościca nieznam, w tym kraju nigdy nie bywał. Proszę mi odpuścić miłościwie, że nieproszon i nieochędożon stawiam się w tym zacnym domu, i to w jakiś dzień festynowy, ale ja zdaleka jadę na umysł do IMci Pani Starościny, w pewnej sprawie ważnej, srodze ważnej, z którą nie godzi się lenić.

Starościna odpowiedziała, zawsze uprzejmie, ale już obojętnie:

— Miło mi witać Waszmość w moim domu. Proszę siadać, proszę unizenie.

Tu wskazała mu jedną z bocznych ławek na ganku, przyczem ciągnęła dalej:

— O sprawie onej pogadamy, jeno trochę później, bo teraz niemogę, dalibóg niemogę. Leda moment zjedzie z kościoła mój syn, co tej minuty bierze szlubną benedykcyę. To dla mnie sprawa nad wszelakie insze ważniejsza.

Tu znów zwróciła oczy ku lipowej ulicy, i pytała Rękodajnego:

— Patrz Asan..... coś tam się rusza..... czy to już oni wracają?

— Nie, Mościa Pani. — Odparł tamten. — Ledwie co weszli do kościoła. Długo nam

jeszcze pono przyjdzie czekać.

Pan Kaźmiérz niemógł dosiedziéć na ławie. Niecierpliwość go podrywała. Posłyszawszy że «długo jeszcze przyjdzie czekać», postanowił bądź co bądź przyjść do rzeczy, a na początek choćby tylko nawiązać zerwaną rozmowę.

— Tandem tedy — zapytał — syn IMci Pani Starościny żeni się. Wolnoż mi wiedziéć z kim?

— Z moją córką.

Na tę odpowiedź, osłupiał.

— Przebóg! Syn, z córką? Jakoż to może być?

I spojrzął po wszystkich obecnych pytająco, bo zaczął podejrzewać czy ta chora niewiasta, nie jest na umyśle pomieszana? Ale oczy domowników pozostały spokojne.

Starościna, wyrwana przez jego wykrzyk z roztargnienia, uśmiechnęła się i rzekła:

— Daruj Waszmość. Wyszło mi z głowy, że człek obcy niemoże wiedziéć rzeczy, o jakiej wié tutaj cała okolica. To nie moja rodzona córka, jeno sierotka przygarnięta od maleńkości, ale ja ją tak zawdy nazowam, bo téż ją i miłuję nieomal jakby swoją, i wielką pociechę sprawia mi teraz Władek, że mi ją daje za synowę.

— A! Tak, to rozumiem. — Odparł Pan Kaźmiérz, i, rad że może zbliżyć się do celu, dodał:

— Ale Waszmość Pani miałaś i rodzoną córkę?

Starościna po raz pierwszy spojrziała na niego uważniéj.

— A!.... Waszmość to wiéesz? Tak.... miałam rodzoną..... i niéмам!

— Dawno to Pani Starościna ją straciła?

— Piętnaście lat temu. Już całe piętnaście lat!

— Aha.... to właśnie jakom myślał.....

— Jaktó? Coś Waszmość myślał?....

I strzeliła ku niemu przenikliwém spojrzeniem.

Ale Pan Kaźmiérz przygryzł sobie usta, i ciągnął dalej:

— Nic..... Jam sobie myślał, jaka to ta dziewczeczka musiała być jeszcze młoda?

— Co to, młoda? Mój Boże, to było niemowlę. Roczek miała, niecały roczek.....

— I takie maleństwo Pan Bóg zabrał?

— Nie Pan Bóg zabrał, jeno ludzie zabrali. Tatary ją uwieźli w jassyr..... Tylko pomysł Waszmość, takie niewiniątko, taka śliczność, to wpadło w ręce tych szkaradnych okrutników. I to w pogaństwie się chowa! Pługawie żyć musi! Ja o tém piętnaście lat myślę dzień i noc, dzień i noc, i już téż z tego myślenia, do połowy się obróciłam w kamień.

— Oh! Ja rozumiem takowe utrapienie, bo czy uwierzysz Waszmość Pani, i ja w onym strasznym roku, jeszcze jako małe chłopię, byłem zabran w jassyr.....

— Czy może być?

— I to z małą siostrzyczką, która nigdy się nie odnalazła.

— Nigdy? Ach, to najczęściej tak bywa.

— Nie koniecznie. Oto mnie odnalazły rodzice. I Waszmość Pani jeszcze kiedy odnajdziesz.

Starościna przez chwilę nic nie odpowiadała, tylko dwie łzy zaczęły spływać po dwóch bruzdach, wyoranych już płaczem na jéj twarzy.

Pan Kaźmiérz odwrócił oczy, skrzył się na ławie, i pytał:

— Ale jakoż to Waszmość Państwa dosięgła ta dezolacya? Tatary pono nigdy jeszcze

nie zapędziły się aż tutaj?

— A!.... Bo téż to porobiła się istna fatalność. Ja Waszmości opowiem.

Tu Staroscina przestała patrzeć w ulicę lipową, i porwana przedmiotem, który widocznie nad wszystkiém innem górował w jéj duszy, poczęła mówić z żywością:

— To było tak. Ja won czas wybrałam się do mojej Pani Matki, co mieszkała daleko, za Lwowem.....

— Do Pani Podkomorzyny Strusiowej?

— A! Waszmość i to wiesz? Tak, właśnie. Owóz tedy tam Pan Bóg dał mi szczęśliwie córeczkę, oną biedną Marysię.....

— Aha! Więc jéj było, Marya.

— Maryanna. Marysia. Potém długo przyszło mi leżeć w chorowaniu..... Ze mnie zawdy była stękliwa chérłaczka. Już taki boży dopust. A chciało mi się wracać, bo tu doma ostał się Władek, starszy o całkie dziesięć lat od Marysi.

Musiałam ostawić go, wedle uczenia, przy mądrych preceptorach. Aż tu donoszą mi że Władek zachorował. Wtedy już ani mię utrzymać. Jachałam tedy co tchu do téj tu Dobrowoli, a Marysię ostawiłam u Pani Matki, bo z takiém sub-

telném dzieciątkiem ciężko było pędzić, a i Pani Matce ciężko było pozbywać się Marysi, jako to zawdy starsze ludzie mają swoje delicye we wnuczętach. Panno Najświętsza! Żeby ja była wiedziała, byłabym je obiedwie tu wiozła, i wszyscy by my dziś jeszcze razem żyli..... Zastałam tedy Władka w gorączce dosyć złośliwej, ze wrzodkami, jako to zwyczajnie u dzieci. Siedzę przy nim kilka niedziel, już chłopak zaczyna mi otrzeźwiać, a tu przychodzą wieści jak pioruny, jedna po drugiej. Naprzód że Tatarzy pokazali się za Lwowem — potém że Pan Hetman ciągnie na nich — potém że mój mąż ranion pod Martynowem — potém że Orda była pono

i w tych stroniech gdzie Pani Matka mieszka. Czekam, pytam się, rachuję momenta, żadnego posłańca z listem, jeno wieści coraz okropniejsze. Już niemożłam wytrzymać, jadę. Nasamprzód przyjeżdżam do Pani Matki. O Boże, co znajduję? Dwór zrabowan, wsie spalone, ludzie zabrane w jassyr. Powoli złażą się niedobitki, mówią mi że Panią Matkę..... okropność powiedzieć..... zabili! Najokrutniej zamordowali! A Marysię razem z chłopskimi dziećmi na wozach uprowadzili precz. Jakem stała i słuchała, tak już w one godzinę zaczęło mi nogi odejmować. A tu znów ludzie mówią, że Hetman odbił cały jassyr, że dzieci kupami odstawia do Lwowa, że tam na Rynku są, że rodzice je poznawają, że tam dzieją się istne cuda.....

- Działy się, działy cuda. — Pdchwycił Pan

Każmiérz. — I jam tam był, i mnie tam swoi poznali.....

— Ach, czemuż ja nieszczęsna wcześniéj tam nie byłam? Ale to tak daleko z Dobrowoli! A i nie zaraz ja ztąd wyjechałam, bo wieści latały sprzecziwe, a potém szukałam Pani Matki, tak, że kiedy przypędziłam do Lwowa, to na Rynku już nie było ani jednego dziecka. Wszystkie porozbierali ludzie, porozwozili Bóg wie gdzie? Chodziłam, szukałam, czego to matka nie wyrabia? Kto jeno wziął wonczas jaką sierotkę, to musiał mi ją pokazać. Wpadałam do ludzi jak waryatka, wszędzie się pytam: «Nie widzieli wy takiej gładziuchnej dzieciny, z niebieskimi oczkami, ze złotemi włoskami, w niebieskiej sukieneczynie ze złotą forbotką? (Bo tak ją zawdy przybierałam.) Gdzie tam! I nie, i nie! Sto i tysiąc dziewczeczek przepatrzyłam, żadna nie moja Marysia! Nakoniec i szukać już gdzie nie było, i nadzieje zaczęły wątléć. Wszyscy mi gadali, jako pewnie poganie głodem zamorzyli to niebożę, abo i zarznęli w popłochu, bo najdywano w pogoni wielką moc zarzniętych, które oni woleli zakłuć niżeli żywcem porzucić. Takowy to dyabelski naród. Ach, Panno Najświętsza! Tak tedy powoli, przyszło wracać doma bez Marysi, jako z najcięższego pogrzebu. Po drodze, jeszcze raz niby coś dobrego błysnęło: w jednej chałupie pod lasem, jest — powiadają ludzie — jakowaś dziewczynina odbita od pogan. Tedy wchodzę tam: czysta prawda. Była tam

chłopka, biedna wdowa, co poszła sama zaraz na pobożowisko,

dla szukania własnych dzieci, i znalazła je, (szczęśliwa niewiasta!) i jeszcze z litości wzięła trzecie dziecko, straszliwie porąbane bez tatarskie szable. Patrząc: nie moje, nawet nijak do Marysi nie podobne. Wszelako żal mi się zrobiło téj sierotki na słomie, z raną jedną kole ramiączka, z drugą tu, na boku. Powiedziałam sobie tak: Zmiłuj ty się nad tą dzieciną, to tam i nad twoją zmiłują się jakie dobre ludzie, i Pan Bóg może zmiłuje się nad tobą, i kiedyś jeszcze Marysię ci wróci. Uczyniłam tedy na tę intencję takie votum, że tę sierotkę jak własną wychowam, wyuczę, i wyposażę czy do klasztoru czy za męża. Potém wzięłam ją od onéj wdowy, co sama ledwie mogła z dziećmi się wyżywić, i jachałam doma. Tu już choroba jeła mię piłować, aż po sam pas przepiłowała. Bo jeno pomysł Waszmość: Matkę mi zakatowali, dziecko mi przepadło, mąż z okrutnych ran zmarł, jak tu mdłe ciało wytrzyma tyle biczów? A z tém wszystkiém jeszcze było za co Panu Jezusowi dziękować; synaczek rósł pięknie, a z onéj sierotki miałam siła pociechy, bo to i wykurowała mi się galantnie, i chowała się na lepszą dziewczynę; a jak mię sparalitykowało, takem obaczyła dopiero jaka w niéj poćciwość, służy mi bez te wszystkie lata, iście jak rodzona. Przyłgłam téż do niéj całą duszą, i Władek takóż przyłgnął; nie dziwota, chowało się to razem, to i umiłowało się po gołębiemu. Co prawda, mogłam ci ja planować dla mego jedynaka i znaczne jakie wiano i wysokie parantele. Jenom sobie mówiła: Niech będzie jako Pan Bóg

uplanuje. — Nie zaraz ja téż i dowierzyłam onym pisklęcym sentymentom; ale Władek jeździł i raz i dwa pod chorągiew, i bił się, i świata kęs obiezał, a zawdy wracał wierny swojej sierotce, i ona téż na żadnego inszego ni patrzeć nie chciała. Tak tedy pobłogosławiłam, i teraz, w téj minucie, xiądz ich błogosławi, a ja mogę sobie powiedzieć, że moje votum ukończone: wychowałam, wychuchałam, za własnego syna wydałam, cóż ja już mogę więcej zrobić? Nieprawdaż, panie kawalerze?

— Prawda, IMci Pani Dobrodziko, i mnie się wydawa, że jeśli by kiedy Pan Bóg chciał Panią Dobrodzikę rekompensować, to chyba właśnie dziś, w ten dzień co koronuje fortunnie jój traktat z Panem Bogiem uczyniony.

— I czy uwierzysz Waszmość? — Dodała Starościna, wodząc oczami dziwnie rozmarzonymi. — Jest jeden symptomat osobliwszy..... tak po ludzku rzecz biorąc, to wszelka nadzieja wygląda na czyste głupstwo, boć piętnaście lat bez wieści, bez nijakiego śladu, w co tu jeszcze dufać? A jednakoż, bez te wszystkie lata, zawdym ja sobie myśliła: — Wszystko w mocy boskiej. — A już co dziś, to ciągle coś mi w piersiach gada: Obaczysz, Pan Bóg cię wysłucha.

— I wysłuchał!

Te dwa słowa rzucił Pan Kaźmiérz, ale rzucił je nieśmiało, głosem przytłumionym, tak, że Starościna, niedowierzając własnym uszom, zapytała:

— Co Waszmość powiadasz? Nerozumiem.

Wtedy Pan Kaźmiérz wstał, ujął jój dłoń w swoje ręce, i wymówił głosem już stanowczym.

— Powiadam, że Pan Bóg wysłuchał. Córka Pani Starościny żywa jest.

Zaledwie tych słów domówił, już ich pożałował. Stało się to, co z lękiem przewidywał. Twarz Starościny zmartwiała, rysy jój przykro się wydłużyły, oczy stanęły kołem, usta, otwarte do wykrzyku, pozostały niemymi.

Domownicy rzucili się ku niéj, odpychając Pana Kaźmiérza i fukając na niego:

— Coś Waszmość nagadał? Coś narobił? Patrz! Jakoż to można bez preparacyi takie nowiny ciskać?

Marszałek, tłukąc o ganek laską, mówił:

— Jeśli Waszmość zwodzisz, toś popełnił kryminał. Oto od emocji znów atak przyszedł, jeszcze nam zamrze.

— Ależ — tłumaczył się Pan Kaźmierz — jam od początku nic nie robił, jeno ją preparował? Musiałem-ci przecie raz tę rzecz wykrztusić. Ja nie kłamam, ja prawdę gadam, jak Boga kocham, prawdę.

— Prawdę? — Powtórzyła Starościna, która po kilku wzdrygnięciach zaczynała wracać do życia; twarz jęj nabiegła ogniem, oczy zapalały. Wyciągnęła ręce do Pana Kaźmierza i wołała:

— Aniele boży! Więc to prawda? Ona żyje? Tyś ją widział?

— Widziałem, sto razy. To ona przysłała mię tu do swojej Pani Matki.

— Ale gdzież ona sama? Czyś ją przywiózł? Pokaż-że ją, na miłość boską, pokaz!

— A juści przywiozę ją... tylko teraz jeszcze nie można....

— Dla czego? Gdzież ona?

— O! Daleko ztąd, w Gdańsku.

— Co? Aż kole morza? Zkądże ona się tam wzięła? Czy kto ze sług ją odratował?

— Nie, ona się tam chowała u pewnego człowieka... co nazywa się Schultz.... Majster od bursztynów, człek bogaty.....

— Co? Szwab? Luter? Jeszcze może i ją złutrzyli?

— Nie, żona onego Schultza, niewiasta z naszych stron, była szczerą Katoliczka, i po katolicku wychowała Pannę Hedwigę.....

— Co za Hedwigę?

— Ach, nie.... Chciałem powiedzieć, Pannę Maryannę. Ona tam nazywa się Hedwiga, boć te ludzie, dostawszy niemowlę, niemogły wiedzieć jakowe jest jego prawdziwe imię?

Promieniejąca twarz Starościny, zagnęła zamroczyła się zwątpieniem.

— Gadajże Waszmość: kiedy one ludzie niewiedziały co to za dziecko, to jakimże sposobem teraz wiedzą? Dziecko przecie samo sobie tego przypomniać nie mogło, to rzecz niepodobna. Tedy, gdzie dowód że to Marysia? Moja, prawdziwa Marysia?

— Jest dowód, i nie jeden. A nasamprzód, dziecko miało szatki niebieskie ze złotą forbotką, sam-em je oglądał. Widzę ja co Waszmość Pani

chcesz powiedzieć, że to nie żadna racya, bo nie jedną dziewczkę mogły rodzice tak przybrać. Ale jest jenszy dowód, jasny jak słońce. Panienska miała na szyi Szkaplérz.....

— Ja nigdy jęj niekładałam żadnego Szkaplérza.

— Ale kto jenszy włożył. W onym Szkaplérzu było pisanie. Mam je tu ze sobą. Czytaj Dobrodziko.

To mówiąc, wydobyl z zanadrza Szkaplerz, wyjął z niego pożółkłą kartkę, rozwinął ją i podał Starościnnie.

Ta, ledwie rzuciła okiem, krzyknęła:

— Boże Święty! Pisanie Pani Matki!....

Ręce jęj się trzęsły, usta drgały, jednak przemogła wzruszenie, i głosem przerywanym, czytała następane wyrazy:

«Ja, Podkomorzyna Katarzyna Strusiowa, piszę to i we Szkaplirzu świętym kładę na szyję mojej wnuczki Marysi, dla okrutnej paniki od Ordy, co już nasze somsiady plondruje, i leda moment nas nawiedzi, a która jako słyszę już parę tysięcy dziatek nabrała. Tedy jeśli by mnie przyszło z woley Boskiej zginąć od onych pogan, niechajże wiedzą że to niemowlę, co samo świadkować za sobą niemoże, ma za rodzice moją córkę Orszulę i jęj Męża JMci Pana Starostę Rocha Nałęcza, które mieszkają we Dobrowoli nad Wartą, i jako ludzie znaczne, sowity okup

za nią ochfiarują. A jeśli by nasi odbili dziecko, niechaj także wiedzą komu ją trza oddać, i niech nie mieszkając oddadzą, za co Pan Bóg im będzie błogosławił, i ja błogosławię, Amen. Salwuj nas Jezu Chryste, i wszyscy Jego Święci.»

Nastąpiła chwila milczenia. Starościna siedziała z oczami utkwionymi w papier. Zdawało się że znowu kamienieje.

— A co? — Zagadnął Pan Kaźmierz. — Czy rzecz nie jasna jak słońce? Panna Hedwiga to Marysia, nikt jenszy.

Starościna zamiast odpowiedzi, zaniosła się od gwałtownego płaczu, zaczęła całować to Szkaplerz, to kartkę, i wołała ze łkaniem:

— Co to za okropny był moment kiedyś ty to pisała, o moja dobrodziejko! Ostatni moment twego życia! Zaraz potem, co się to działo z tobą! Mordowana! Zamordowana!....

Potem, podniosła oczy zalawione, obejrzała się po wszystkich i mówiła:

— No tak, ale co to za cudowna inspiracya, podobną rzecz napisać! Żeby nie to, my by nigdy nic nie wiedzieli.

A gdy wszyscy przywtarzali:

— Dalibóg cudowna! To już sam Pan Bóg przede śmiercią reweluje zacnym personom, co i jak mają czynić.

Ona tymczasem zamyśliła się, i po chwili.

rzekła, patrząc w Pana Kaźmierza wzrokiem badawczym i jakby rozżalonym:

— Aleć to dziwna dziewczka z téj Marysi.... Tyle czasów miała tę kartkę, i nie dała nam nijakiego sygnału? Tyle czasów my się nacierpieli!

— Oh! Pani Starościno! — Zawołał Pan Kaźmierz. — Ona nic nie winna. Ona miała Szkaplirz, ale nie wiedziała czy tam jakowa kartka siedzi. Ktoby to mógł zgadnąć? Dopiero niedawniuchno, trafił się osobliwszy casus, że Szkaplirz jój rozerwano, i w onczas dopiero sekret wyszedł na wierzch.

— Ale czemuż ona sama nie zjachała do mnie? Czy chora, czy co?

Pan Kaźmierz zakłopotany, przez chwilę się wahał.

— Mościa Dobrodziko, długo by to gadać..... Chora, nie. Owszem, zdrowiuchna, gładka jak trzy aniołki, a dobra jak sześć, i słodka, i figielna, tandem, rajski przysmak. Ale to właśnie sęk że przysmak, bo i ten łakomec Schultz to widzi, i jak teraz owdowiał, tak ją chce za żonę....

— Co? On? Ten Szwab, z procederem?

— On, on. To téż jakim na to patrzył, to mię taka cholera wzięła, że mu pannę wykradłem z domu precz.

Pani Starościna zmieszała się. Rumieńce wyskoczyły na jój wyschłe policzki.

— Panno Najświętsza! — Wybąknęła. — I ona dała się wykraść? Czy ona ma dla Waszmości.... jakowyś.... godziwy affekt?

— Pani Starościno! Niezasłużon jeno szczęśliw bierze. Niewiem za co Pan Bóg mię fawo-

ryzuje, wždy to rzecz pewna że nakłonił do mnie serduszko téj anielskiej panny, a jam ją upodobał nad życie i nad duszę własną. Ale cóż? Jachali my już w najlepsze do pewnego klasztoru, gdzie nas Xiądz miał połączyć Sakramentem, kiedy ten szelma Niemiec dognał mię ze swemi brygantami. Nec Hercules contra plures.- Jak nasiedli na mnie całą kupą, tak mię i przestrelili durch, zem już za nieboszczyka był mian, a panienkę porwali precz do miasta, i znowu trzeba nam ją odbić.

— Jezus Marya! Ależ to okropne rzeczy Waszmość mi powiedasz. A jak on ją tam zmusi do małżeństwa?

— Liczę ja na verbum panny Starościanki. Uczyniła mi ona solenne obiecianie, i to

pod gwarancją Xiędza, że będzie czekała święcie aż powrócę. Trza też wiedzieć że jest przy niej pewna dobra niewiasta, co nie da jój krzywdy zrobić. Wszelako zawdy trza nam spieszyć, bo niewiadomo co Niemiec tam w swoim łbie wykoncypuje?

— Ach Boże! — Mówiła Starościna, czyniąc próżne wysiłki dla powstania z krzesła. — Żebym ja się jeno mogła ruszyć, tobym tam zaraz leciała, zaraz! Gadaj kawalerze, może by wy mnie jakoś zawieźli?

— Ej, nie! Toby nas haniebnie zmarudziło, a ja powiedam, trza się spieszyć,...

— No, to Władek pojedzie. We dwóch pojedziecie. Ale jak ja się was doczekam? Ja bez ten czas chyba uschnę!

— Ojoj! Pani Starościna jeszcze się nie obejrzy, a my już z panną Maryanną tu powrócim.

— Na wesele! Na wasze wesele! — Rzekła, przez lzy się uśmiechając, i znowu ręce do niego wyciągnęła.

— Synu mój! Niechże cię przytulę do serca, ty coś krew za nią przeléwał, ty co mi ją salwujesz, ty coś mi ją zwiastował!

Pan Kaźmiérz przykląkł, i ściskając z uniesieniem jej kolana, szeptał:

— Matko mojej Jadwiśki! Matko nasza serdeczna!

A gdy całowała jego głowę, czuł jak mu po włosach ciekły jój lzy gorące.

W téj chwili, owa srebrna iskra na dzwonnicy, zaczęła chwiać się w tę i tamte stronę, i brzmienie dzwonu, tętniące, uroczyste, radosne, rozległo się w przedwieczorniej ciszy.

Domownicy, którzy dotąd stali z rękami złożonemi jak do modlitwy, zapatrzeni w Pana Kaźmiérza, zasłuchani w jego rozmowie, teraz podnieśli oczy.

— Oho! Już jadą! — Wykrzyknął Rękodajny.

— Ach, jakież ich tu szczęście czeka! — Zawołała Starościna podnosząc twarz rozjaśnioną, a jój źrenice, jeszcze łzami zasute, zwróciły się ku lipowej ulicy.

Pan Kaźmiérz wstał, i także w tamte stronę skierował spojrzenie.

Pod kościołem istotnie, wszystko się kłębiło. Wkrótce téż do brzmienia dzwonu, domieszały

się i jakieś inne dźwięki, dziwnie piskliwe i przenikające. Tłum zafalował po dwóch stronach drogi, runęły tętenty, krzyki, chrzęsty, i ukazał się weselny orszak,

Przodem szli grajkowie, draby tęgie i czerstwe, przybrane po janczarsku, w zielone kaftany, wyszyte błyszczącą taśmą, i w ogromne białe czapczyska, o wiszących nad uchem worach.

Najpiérwszy, sam jeden, stapał dobosz, który na dwóch bębenkach, stufarbnych jak wielkanocne jaja, wykonywał krzyżową sztuką pałeczek, niesłychane muzyczne figle.

Za nim, dwiema czwórkami, ośmiu innych; jedni dęli w trąby, drudzy w cienkie piszczałki; ten pobrząkiwał tryjangułem, tamten klaskał w miedziane talerzyki, ów trząchał prątkiem o stu dzwonek; wszyscy na zabój wygrywali jakąś ogłuszającą turecką melopeję.

Za janczarami, na wysokich kołach, toczył się powóz, najmodniejszy wówczas, prześliczny, zwany Brożkiem. Był to rodzaj kosza złocistego; z narożników jego wystrzelały cztery złote słupki, ukośnie ku górze rozchylone, a na słupkach spoczywał, równie złoty, misternie rzeźbiony baldachin. Całą tę budowę, kołyszącą się na pasach jakby łódka, ciągnęło sześć koni cugowych skarogniadych, zdobnych w pióropusze. Woźnica siedzący na przodzie Brożka, miał ubranie przepołowione we dwie barwy, krwistą i błękitną, (kolory Wiary i Stałości), na piersiach i plecach strumienie złotych łańcuszków, przepięte od ra-

mienia do ramienia i rzęsiście dzwoniące, a na czapce forę ze wstęg czerwono-żółtych, które w pędzie chwiały się za nim jakby płomień pochodni. Tak allegorycznie przystrojony, woźnica ten wyobrażał Hymen. Przed nim, na jednym z lejcowych koni, siedział foryś, wdzięczne pacholę, w różowej katance, z luczkiem i kołczanem u pleców, do których przypięto mu hussarskie skrzydła; ten miał przedstawiać, lecącego przed Hymenem, Amorka.

Tak pięknie wiezieni, w głębi Brożka, pod baldachinem siedzieli Państwo Młodzi, para nadobna, i według słów Starościny «miłująca się po gołębiemu», chociaż (jak to najczęściej bywa), z samych przeciwieństw dobrana.

Oblubieniec, w krótkim złotolitym żupanie, z lamparcią deliurką wiszącą na barkach, z czapłą kitą i sobolową opuszką u kołpaka, z cudną damascenką u boku, miał oczy niebieskie jak turkusy, różowe, uśmiechnięte usta, nad którymi wywijał się złoty wąsik, i tak w ruchach jak w obliczu jakąś uprzejmą pogodę, której twarde obozowe życie, jeszcze nie zdołało przymroczyć.

Oblubienica za to, miała piękność po trosze cygańską, tę piękność chmurną i namiętą, co to i odpycha i przyciąga. Pod strzechą włosów, czarnych aż do granatowego połysku, pod brwiami jakby węglem nakreślonymi, tkwiły oczy szeroko rozwarte, zwykle nieme, i tylko jakby zadziwione; ale przy każdym wzruszeniu, krzyżowały się w nich błyskawice. Lica śniade, rzadko kwitły rumieńcem; tylko wieczna czerwo-

ność ust nieco grubych, odkrawała się od nich jaskrawo, jakby rozcięty granat.

A ta burzliwość wejrzenia, ta ciemność włosa i cery, odbijały dzisiaj tém silniej, że, według obyczaju polskiego, Panna Młoda od stóp do głów była w bieli.

Suknię miała ze srebrnej lamy, przepinaną mnóstwem pontalów, czyli węzłów perłowych; u szyi kołnierż z mięsistych weneckich koronek, i takżeż velum aż do ziemi; na welonie kręcił się złoty łubek, opleciony w mirt i rozmaryn.

Tuż za Brożkiem jechał inny wózek, otwarty i długi jakby wasąg, już nie złoty, ale wzorzysto malowany, pełen świergotu i chichotu, istny kosz kwiecica, bo tam na ławeczkach, rząd za rzędem, usadowione były Druchny, w jasno-barwnych jubkach i letniczkach, z pękami kwiatów u głowy i u piersi, z ciekawymi oczami, które strzelały to ku Pannie Młodej, to ku Drużbom.

Drużbowie harcowali konno po dwóch stronach Brożka i panińskiego kosza, wszyscy tacy śliczni a strojni, że aż się w oczach ćmiło; to rzucili piękne słówko której z Druchen, to w mądrych zwrotach toczyli rumelijskiemi wierzchowcami, na których srebrne siatki, kule i napierśniki pochrzęstywały szkliście; czasem, na wiwat, z gułdynek dawali ognia.

Za wózkiem panińskim, toczyły się jeszcze kolebki o półokrągłych budach, i rydwany o podwinionych oponach, z po-za których można było dojrzyć, migocące od brylantów i szmaragdów, szpinki, krzyże, alszbanty, przytém fale zło-

tych i srebrnych forbotów, przytém tęgie brokadye i miękkie dywtyki, bo tam długim szeregiem, jechały starsze i młodsze niewiasty, a z niemi najpoważniejsze mężkie głowy, Pan Wojewoda, bliski krewny Starościny, dwóch Kasztelanów, Podkomorzy, miejscowy Proboszcz, i różni inni duchowni, sproszeni na tę uroczystość. W koło kolasek jechało jeszcze konno mnóstwo mężczyzn, za niemi tłum widzów związał się powoli z dwóch brzegów gościńca, i coraz nowe ogniwa dowiązywał do weselnego łańcucha.

Kiedy cały ten orszak, pod promieniami zachodzącego słońca, zaczął migotać, i płynąć i szumieć, Panu Kaźmierzowi stojącemu na ganku, wydało się, że stoi na pomoście «Łabędzia», i widzi lecący ku sobie, roziskrzony wał morski. Jedną ręką przystoził oczy, drugą rękę podniósł i wykrzyknął:

— A to mi wesele! Jeszcze lepsze niż tamte Gdańskie. To mi po rycersku, po naszemu!

Już też okrzyki dopłynęły do bramy.

Janczarowie rozstąpili się, stanęli przy dwóch wjazdowych słupach, i Brożek pierwszy wleciał na dziedziniec, a Hymen i Amor tak dzielnie pokierowali końmi, że choć w pełnym pędzie okrążyły trawnik, przecież przed gankiem stanęły jak wryte.

Pan Młody wyskoczył na stopnie, (które nie były otwierane, ale wisiały nieruchomie, jak trzy pudła, kobierczykiem obite), chwycił Pannę

Młodą pod rękę, wionął nią w powietrzu jak obłokiem, i postawił na czerwonym suknie, po którym oboje wbiegli, i upadli do nóg Starościny.

Rękodajny co żywo podał tacę, ale matka zapomniawszy o wszystkim, odepchnęła tę zawadę, i obejmując głowy Nowożeńców, urywanym głosem wołała:

— Dzieci moje! Bóg wielki! Bóg dobry! Marysia się znalazła!..... Krysia moja, to za ciebie mi ją Pan Bóg oddaje! Władku, masz siostrę! Nasza Marysia żyje!.....

Na te słowa Panna Młoda wydała krzyk gwałtowny, obsunęła się jeszcze niżej, objęła nogi Starościny, i wołała:

— Czy może być? Żywa? O Pani Matko, jaka ty święta, kiedy Pan Bóg w takie konfidencye wchodzi z twojemi votami! Ale gdzież ona, ta biedaczka?

— Gdzie Marysia? Dajcież ją sam! — Wołał Pan Młody, oglądając się na wszystkie strony.

— Jeszcze jęj tu niemasz, ale da Bóg, będzie. Ten kawaler ją widział, powie że ją sprowadzi, patrzcie, oto IMci Pan Korycki, jęj salvator, mój drugi syn, to będzie mąż Marysi!

Pan Rotmistrz skoczył ku Panu Kaźmierzowi, objął go za szyję, całował w oba policzki, raz, i drugi, i trzeci, a wciąż wołał:

— Kochany! Setny chłopcze! Niechże cię! A toś cudotwórca! Święty Pański, czy co? W téjże chwili Panna Młoda, wciąż na klęczkach, zwróciła się ku Panu Kaźmierzowi;

nie spojrziała nawet kto on taki, młody czy stary, pan czy parobek, tylko chwyciła go za rękę, chciała je do ust ponieść, i ze łkaniem wołała:

— Daj, daj Dobrodzieju! Niech ucałuję tę rękę przezacne, co Pani Matce wróciły jęj skarb!

Pan Kaźmiérz zakłopotany, wrywał rękę i prosił:

— Dajże pokój Wacpani..... A toć ja raczěj winien całować te hatłasowe rąsie.

Na takie kawalerskie słowa, klęcząca podniosła oczy, spostrzegła dopiero teraz, że ów «Dobrodziej» to dorodny młodzieniec, zerwała się zmieszana i spłonęła.

Pan Młody zawołał ze śmiechem:

— A to mi się skonfundowała moja panna!

I patrzył dobrotliwie to na nią, to na niego, potem nagle zamyślił się, i szepnął Starszemu Druźbie, który stał tuż przy nim:

— Jaki ten kawaler podobien do kogoś.... Widzisz Waszmość? On i moja panna..... A to istne dziwo.....

— A prawda! — Potwierdził Druźba. — Podobniusiency, jakoby rodzeni. Osobliwsza rzecz, jakie to hazard wyprawia kombinacye?

Tymczasem kolebki jedne po drugich zajeżdżały, goście zapełniali schody, ganek, sień, i coraz tłumniej cisnęli się do Starościny, dla składania jęj weselnych powinszowań.

Wieść o znalezieniu się Marysi, padła mię-

dzy to radosne zgromadzenie jakby raca siarczysta, po której wybuchnął cały fajerwerk okrzyków, uniesień i podwojonych powinszowań. Starościna przedstawiała wszystkim Pana

Każmierza, jako przeszłego i przyszłego zbawcę swojej córki, chciała wysławiać jego męstwo i poświęcenie, ale w tym niezmiernym ścisku i zgiełku, nikt prawie niemógł jęj dosłyszeć. Tłoczono się więc znowu do Pana Każmierza, mężczyźni obsypywali go potężnymi uściskami, niewiasty wdzięcznymi spojrzzeniami, a wszyscy obiegli tysiącem i tysiącem pytań.

Jednak Rękodajny ciągle się Pani domu napierał z chlebem i solą, a widząc że na niego nie zważa, wsunął tacę tuż przed jęj oczy, i nachyliwszy się do jęj ucha, mówił:

— Pani Starościno! Mościa Pani! Trza koniecznie to oddać, bo jak Państwo Młodzi tego nie wezmą, to będzie zły omen.

— Masz Aspan rację. — Odparła nakoniec. — Słuszną rację. Krysiu! Władek! Chodźcie tu moje dzieci! Z onych emocyi nie pilnowałam ja się obyczaju starego. Niechże się święci choć teraz. Weźcie te dary boże, aby dom wasz nigdy nie zaznał głodu, i aby żywot cały był wam smakowity.

Państwo Młodzi znów przyklękli przed matką, dla odebrania jęj darów, i nowy okrzyk obecnych, potwierdził wyrażone przez nią życzenie.

Jeden tylko Pan Każmiérz milczał.

Na to imię «Krysia», które kilka razy do-

leciało już jego uszów, myśl nowa, dziwna, przestrzelistą, zaświtała w jego pojęciu. Przez chwilę stał osłupiały, niesłyszący pochwał ani pytań jakimi go wciąż oblegano, aż nagle rzucił się ku Pannie Młodój, chwycił ją gwałtownie za rękę, i zapytał zdławionym głosem:

— Tak to więc, na imię Wacpani, Krystyna?

— A jakże? Na Chrście Świątym dano mi: Krystyna. Jedyna też to rzecz co mi się ostała po moich biednych, zatraconych rodzicach. Ale pozwól Waszmość.....

To mówiąc wstawiała od nóg Starościny, i usiłowała wyciągnąć swoją rękę z rąk Pana Każmierza. Tymczasem ten zamiast puścić, coraz mocniej ścisnął, i coraz natarczywiej pytał:

— Jeszcze..... jeszcze..... Ile Wacpani lat miałaś jak cię z domu wzięły pogany?

— Ach Boże! Co to Waszmość może obchodzić?

— Gadaj Wacpani, ja chcę wiedzieć, ja muszę wiedzieć.....

— A no, coś tak, trzy czy cztery..... wszak prawda, Pani Matko?

— Czysta prawda. — Potwierdziła Starościna. — Wyglądała na czteroletkę, i już wcale dobrze gadała.

— Na miłość boską! — Wołał Pan Każmierz głosem coraz mocniej wzruszonym. — To właśnie jak nasza Krysia. Bo trza wiedzieć Wacpaństwu, zem i ja w onym dziecinnym jassyrze utracił siostrę, co zwała się Krysia, i miała ko-

le czterech latak, i nigdy my jęj niemogli odszukać.

— Czy może to być? — Odparła Panna Młoda, którą także wzruszenie zaczęło już ogarniać.

— Cztery lata! — Powtarzał Każmiérz. — Toć można już coś pamiętać.

A Waszmość Pani Krystyno, nic nie pomnisz? Jak się zwali ci rodzice? To miejsce gdzie siedzieli?

— A Boże mój! Żeby ci ja to była wiedziała, toby mię Pani Starościna była zaraz do nich odwiezła. Ale mały dzieciak takowych rzeczy niewię.

— I nic nie wspominasz sobie, nic?

— A juści, pomnę różne rzeczy, jeno takie co się na nic nie zdadzą.

— A może się i zdadzą? Proszę jeno powiedaj, bo ze mnie dusza chyba wyjdzie.....

— Owóż tedy, — mówiła Panna Młoda powoli, przesuując rękę po czole, — pomnę Panią Matkę, że była cieniuchna.....

— Tak, tak, była subtelna, i nie wysoka.

— I nie wysoka. I miała u pasa rozańczyk, to ja się z nim precz bawiłam.

— A miała, miała, i ja pamiętam.

— A Pan Ociec owszem był duży, i wąsy miał okrutne, aż ja ich się bojałam.
— Siwe, co?
— Ale gdzież znowu? Czarniusieńkie, jak wiszące dwa pióra od kruka.
— No tak, prawda, wonczas one jeszcze były czarne. Tak, Pan Ociec i dziś ma wąsy długie, o..... tyle. A wždy to jeszcze nic nie zna-

czy. U nas, co bogobojna białogłowa, to z różańcem, a co mąż rycerski, to wąsał.

— Czekaj-no Waszmość, ja jeszcze coś o Panu Oćcu powiem..... rzecz to uciezna, chociaż ja takż się tego bojałam. Oto, jak był komu rad, abo się komu dziwował, to zawdy mawiał: «A niechże cię Turek zjé!»

— Jezu Marya! Józefie Święty! A toć to akurat przysłowie Pana Oćca, Pana Miecznika! A toć to Wacpani chyba nasza Krysia, bo niéma na świecie drugiego człeka z tém proverbium, ja przynajmniej na takiego drugiego jeszcze się nie natknął. Jezu Marya! Co jeszcze wiesz? Jaki to tam u nas dom? Jaki sad?

— O! To mi się w głowie nie ostało. Wiem jeno, że za sadem, nad jakąwąs wodą, była góra....

— Nie góra, jeno kopiec, stary graniczny kopiec.....

— Może to kopiec, ale dla mnie małej, to była cała góra. Jam się tam zawdy gramoliła, aby patrzeć jak się tam bawili moi trzej braciszkwowie.....

— Trzej? Więc i ty miałaś trzech? A pamiętasz jak się nazowali?

— O! To pamiętam. Stasio, Adaś i Kazio.....

— Boże mój! Toć ja jestem ten Kazio! Krysiu! Tyś moja Krysia!..... Już teraz jabym przysiągł żeś ty prawdziwa Krysia!

I porwał ją w objęcia, i w gwałtownych uściskach zapytywał jeszcze:

— A pamiętasz ty starą klucznicę Anusię?

— A jakoż? Tę z plastrem na oku?

— Tak, tak, właśnie! Ona wszystko wie!..... A tę historię ze studnią, pamiętasz?

— Ach, ze studnią! Abo ja to raz powiedałam Pani Starościnnie, jak to Kaziowi biczyk wpadł do wody.....

— A tak, tak, w sam raz biczyk.

— I kiedy chciał go złapać, przegibnął się przez cembrunek, i już leci w dół, ale to taki był mądry, że złapał się liny od wiadra, a jak my dzieci zaczęły krzyczyć, tak się ludzie zlecieli, i wyciągnęli go z wiadrem, aż Pan Ociec go po twarzy poklepał, i powiedział: «A toś mi zuch, niech cię Turek zjé».

— Boże miłosierny! — Krzyczał Pan Kaźmierz, chwytając się za głowę. — Słyszycie Wacpaństwo? A toż powieda rzeczy takie, o jakich nikt na świecie niewie, jeno ja! To Krysia!.....

I znów oplatał ją uściskiem, aż twardym od gwałtowności. Po chwili puścił, i runął do nóg Starościny.

— Święta nasza Pani! Tyś nam ją zasalwowała! Niechże cię Bóg nagrodzi!

Starościna długo niemogła odpowiedzieć, bo ze szczęścia znów zanosila się od płaczu. Nakoniec, kładąc rękę na głowie młodzieńca, rzekła:

— Już nagrodził mię, już nagrodził, przez ciebie mój złoty chłopcze! Wszakci tyś mi zasalwował Marysię?

I znów lała te słodkie łzy, w których zwolna tonęły wszystkie jój dawne bóle. A i w błę-

kitnych oczach Pana Młodego, także coś przeświecało, jakby szklące się krople.

Krysia nie płakała. Nigdy ona do łez nie była skora, tylko w oczach jój, głęboko, robiły się łyskania, i w piersiach podniesionych serce biło młotem.

Teraz ona chwyciła ręce Kaźmierza, i pytała z rodzajem struchlenia:

— Mówże! Rodzice, żywe? Bracia, żywe?

— Pan Ociec żyw, dzięki Bogu. Pani Matka..... ach, Pan Bóg dawno ją wziął do swojej chwały. O czemu téż to nie dożyła? I Stasio, i Adaś, téż. Śpią oba na stepach, gdzie kości położyli w srogich potrzebach z poganinem. Zawsze gadali jako idą pomścić się za Krysię. A tymczasem ona żywie! Ach, co to Pan Miecznik, Pan Ociec powie jak obaczy?

— I gdzież on jest? Gdzie Ociec?

— W Czarnorudce.

— Ach, Czarnorudka! Tak! Tak..... to tak się nazywało..... Ja przez te wszystkie lata szukałam onej nazwy, chodziła mi po głowie, a nie chciała wyjść..... Czarnorudka! I Ociec sam jeden tam siedzi?

— A sam. Nieraz mawiał: «Żeby jeno Krysia przy mnie była, tobym ja wszędy miał raj.» No, i będzie miał raj!

Gdy tak zamieniali coraz cichsze zwierzenia, przerywane tylko słowami Starościny i Rot-

mistrza, tymczasem reszta zgromadzenia coraz szerszym kołem odsuwała się od nich.

Początku téj rozmowy, obecni słuchali z najwyższym natężeniem uwagi, przy poznaniu się brata z siostrą, wybuchnęli krótkim, stłumionym wykrzykiem, ale po tym jednym wykrzyku, nastąpiła ogólna cisza. Jeśli pierwsza wieść, o znalezieniu się Marysi, wzniciła radość głośną, czysto ludzką, to druga przeciwnie, obudziła rodzaj świętej trwogi. Tyle naraz szczęścia, to już chyba za wiele na ten świat ułomny! Wszystkim się wydało, że coś nadziemskiego przechodzi między nimi niewidzialnie, i zamilkli jak podczas przelotu anioła.

Czuł téż każdy, ile obecność tłumów musi ciążyć tym szczęśliwym, coby chcieli wynurzyć się do woli. Nieznacznie więc, ganek opustoszał; zaczęto się rozchodzić gromadkami, które krążąc, to po domu, to po dziedzińcu, toczyły przyciszone rozmowy o dziwach Opatrzności boskiej.

Patrzący na to Pan Marszałek, zafrasował się, przystąpił do pani domu, i szepnął:

— Mościa Pani Starościno! A nie godziłoby się to już podać wieczerzy? Goście nam się jakoś rozlążą, pewnie i głodni.....

— Czyń Aspan co chcesz, co sam żywnie chcesz.....Ja już nic nie rozumiem..... Ja od szczęśliwości tracę głowę.....

— I ja tracę głowę..... — Przywodziła z nie

jaką goryczą Krysia. — Wciąż gadam i myślę o mojej personie, a jam nie powinna teraz myśleć o niczym, jeno o téj nieszczęsnej Marysi, co tam jeszcze kołacze się w onych jakowychś niebezpiecznościach..... Co tu robić? Co tu robić? trzać ją na gwałt ratować.

— Już nad tém nie susz sobie łepka, moja Panno. — Odparł z uśmiechem Pan Władysław. — Już od tego my dwaj, IMci Pan Korycki i ja. Waszmość znasz najlepiej tamtejsze konjunktury, to mi powiesz co trza czynić, aby tę rzecz przeprocessować cum honore et successu. Szkoda żeś Waszmość trafił na taki tumult w domu: ale niechno sie tylko z weselem uładzę, zaraz na koń, i jazda!

Tu zwróciwszy się do Panny Młodój, zapytał:

— Tylko, cóż moja Panna powie na to, że ledwie-ci dostała męża, już ten mąż drałła do morza?

Krysia odrzekła, głosem nieco twardym:

— Żebyś Waszmość nie był powiedział; «Jadę!» Tobym Waszmości posłała moją kądziel, a sama-bym pojachała między Niemce, i wykradła moją przyszłą bratową, boć ona tu pierwsza niż ja.

— Oho-ho! To mi Herodek! — zawołał śmiejąc się Pan Młody. — Ale nie szkodzi nic. To właśnie zonka dla Rotmistrza. Niech-no mię kiedy usieką w potrzebie, to ty zaraz weźmiesz

komendę nad moją rotą, i poprowadzisz ją na Niemce, abo i na pogany, co?

Tak mówiąc, objął ręką jej kibić, i ukradkiem, po-za welonem, chciał całować jej szkarłatne usta. Ale dzika dziewczyna broniła się ostro, mówiąc:

— Wstydz się Waszmość... w oczach kompanii!

W tej chwili, boczne drzwi sieni się rozwarły, i z głębi domu zabrzmiała muzyka, już nie żadne pogańskie piszczki, ale uczciwa domorośla kapela, z cudzoziemskim na czele kapelmistrzem. (Który nawet za Włocha się podawał, choć podobno był tylko Czechem.)

Na to hasło, goście zaczęli napływać do sieni, a ztamtąd, stu parami, do sali.

Była to sala tak wielka, że cały dom z końca w koniec przerzynała. Od sztucznie struganych belek pułapu, zwieszały się grube mosiężne świeczniki, w których seciny świec woskowych płonęły, bo zmrok już dobrze zapadał; już i na dworze zapalano smolne becзки, których blask napływał purpurowemi wstęgami, przez okna wycięte na przestrzał w obu końcach sali. Pod tym oświetleniem, ściany niby ruszały się i mrugały, od szeregu wązkich, wysokich portretów, i równie wysokich kredensów, których półki były pełne kosztownych mis i roztruchanów. Środkiem sali ciągnął się stół wązki, zgięty w długą podkowę, także jarzący od sreber,

pstry od pękatych bukietów i malowanych lalek z cukru.

Naprzeciw drzwi wejściowych, roztwierał się zazwyczaj komin; teraz jednak, jako w porze letniej, był on zasunięty różnobarwną perską makatą, na której przypięte, krzyżowały się proporce i pęki broni. Nad kominem, pod samym stropem, wisiał drewniany chórek; tam to kapela rzeświście wygrywała weselnego marsza.

Przy jego dźwiękach zaczęto siadać do stołu. Pan Kaźmierz, jako młody, wcisnął się skromnie na ubocze, i chciał usiąść przy niższym końcu. Ale od szczytu podkowy, zajętego przez Nowożeńców, Starościnię i wysokie matadory, ozwały się głosy:

— Gdzie Imci Pan Korycki? Pani Starościna prosi! Dawaj go sam!

I pan Wojewoda, porwawszy Kaźmierza za ramiona, posadził go między sobą a Panią Starościnią, mówiąc:

— Siadaj Waszmość kole Majestatu, boś ty tu dzisiaj poseł największego z Króli.

Początek wieczery przeszedł dość milcząco. Goście jak mówiliśmy, byli nieswoi od wzruszeń, a przytém i znużeni całodziennym szeregiem nabożeństw, powinszowań i oracyi. W cichości więc, choć nie bez ochoty, wypróżniali półmiski. Jedna Starościna nic a nic jeść niemogła, tylko półgłosem zadawała Kaźmierzowi coraz nowe pytania, dotyczące to Marysi, to Krysi, a Nowożeńcy pochylali się nad stołem, ażeby dosłyszeć odpowiedzi, co im jednak niełatwo przy-

chodziło, dla muzyki rozgłośnie odbijającej się o ściany.

Powoli, gdy pierwszy głód został zaspokojonym, wszystkie głowy zaczęły się zwracać ku szepczącym, a w końcu drugiego dania, jedna ze starszych niewiast, siedząca niedaleko Panny Młodziej, niemogła już wytrzymać, i zagadnęła:

— Mości Panie Korycki! Jeżeli w historii Waszmościnięj niema jakich srogich misteriów, i jeśli Pani Starościna da na to permissyę, może-by téż i my coś posłyszeli? Radzi-by my wiedzieć, z jakowych to nieprzeznaczności Waszmość wywiodłeś tę panienkę, i

jakowemi merytami wysłużyłeś sobie jój przyjaźń?

Żądanie to zostało żywo poparte przez wszystkich obecnych, zwłaszcza przez kobiety, którym oczy aż świeciły się od ciekawości.

Pan Kaźmierz zamienił ze Starościna kilka cichych słówek, poczem odpowiedział:

— Uczciwaś to historya, niema czego się wstydać, jeno bym ja wolał aby ją kto jenszy recytował, bo to zawdy nieprzystojna, własnym akcyom świadczyć.

— Nie zważaj Waszmość, jeno powiedaj! — Okrzyknięto do koła. — Dalej!

A nic nie łykaj, czyn narracyę ab ovo. Kiedy Pan Bóg cię tu przysłał akurat dziś, to widocznie chciał aby my wszyscy cię słyszeli.

Dano znak muzyce, która wnet przycichła, i Pan Kaźmierz zaczął opowiadać swoje poznanie się z Panem Schultzem i Panną Hedwigą, i wszystkie przygody wynikłe z owój znajomości. Z po-

czątku nieco się plątał, gdyż usiłował jak najmniej mówić o sobie; ale prędko spostrzegł że to będzie rzeczą niemożliwą; jego udział w tych wypadkach był zanadto wielki, ażeby mógł być pominiętym. Przestał się więc kępować, i z żołnierską szczerością wypowiadał słuchaczom swoje oburzenie na Majstrowe zaloty, swoją chęć wykradzenia ofiary, i jój wstydlivy opór, potem jój uwięzienie na poddaszu, i nadpowietrzne porwanie.

Przyrodzona fantazja, prawdziwość uczucia, i żyjące świadectwo, dawały tym obrazom tyle ruchu i gorącości, że cała sala zawisła na jego ustach. Mężczyźni przytakiwali mu wykrzyknikami.

— Tęgoś Waszmość się spisał!

— Licho bierz Niemce i Ollendry!

— A to mi peregrynacya per obłokam!

Panny zaś po kątkach aż piszczały z radości, a w duchu zazdrościły tój pannie, co była dosyć szczęśliwa, aby przechodzić tak piękne nieszczęścia.

Cóż dopiero, kiedy opowiadacz ją malować bitwę na pustém polu, odbicie ofiary, i swoją rzekomą śmierć? W całej sali zrobiło się cicho jak w kościele.

— Ilem ja czasu był umarły? Niewiem. — Ciągnął mówca. — To jeno pomnę, że gdym przyszedł do się, gdym się obaczył w celi Oćca Błażeja, myślałem że już w Paradisium, w klasztorze Pana Jezusa, gdzie Święci posługują duszom wyszłym z konania, i dziękowałem Panu

Bogu, że mię nie wsadził do miejsca pokuty, z czego zaprawdę ja ciężki peccator mogłem być kontent. Wszelako wyznawam że był jeszcze kontentniejszy kiedy mi powiedziano że żyw, i że jestem na tym samym świecie po którym chodzi moja panna. Powiedziano mi takoz, jako i ona żywa i zdrowa, i na mnie constante myśli czekać, tak że od onych extazów mało drugi raz nie umierał. Dałem się tedy cierpliwie opatrować, i wciąż niby spałem, jeno serce we mnie dyszało. Czasem też przychodziła służebna Pani Korwiczkowej, tój co to — jak mówiłem

Waszmościom — była naszą providencyą. Ta mi gadała, jako Panna Hedwiga.... to jest Panna Maryanna, kłania się mnie i życzy zdrowia, i będzie onego Niemca zwodziła czekaniem aż do mojego wyzdrowienia, a jak wyndę z tój febris, to się dowiem o czemś takiém, co nas wszystkich wyniesie na pinaculum wszelakich szczęśliwości. Jam tedy precz leżał, a dzień i noc medytował, co to takiego być może? Aż kiedy gorączka we mnie oziębła, Ociec Damian, Dominikanin, spowiednik Panny..... Maryanny, a człek mądry jako drugi Paweł Święty, pokazał mi ten Szkaplirz z pisaniem, i powiedział jako Panna Hedwiga niechce tego skarbu powierzyć nikomu jenszemu, jeno temu komu powierzyć ma i swoją personę. Wtedy jużem niemógł uleżeć, i chocia perswadowali, chocia chcieli wiązać mię do łoża, jam uciekł im z klasztoru, kazał się zanieść na skutę, położyli mię tam flisaki w izdebce na słomie, i wieźli w gorę Wisłą bez dni

kilka. Potém téz i tyłem już otrzeźwiał, zem się pacholłkowi kazał wsadzić na konia, dotarli my do Warty, i choć to ja nigdy w tych stroniech nie bywał, wszelako jakem zaczął od wsi do wsi zaglądać, a dopytować się gdzie ona zaczarowana Dobrowola, takem i zajachał przed ganek Imci Pani Starościny Dobrodziki.

Na słuchaniu téj opowieści, zesła prawie cała wieczerza. Dania jedne po drugich mijały niepostrzeżone, z wielkiém umartwieniem Pana Marszałka i Piwnicznego, bo goście jedli najwytworniejsze przysmaki, a żadnego nie pochwalili, łykali najlepsze wina i miody, a nie pomyśleli o zdrowiach.

Gdy Pan Kaźmiérz dojeżdżał z opowiadaniem do dworu Dobrowolskiego, już wety były bliskie końca.

W téj chwili podano wielki puhar beznożny, zwany Kulasem, sadzony staremi monetami. Na jego widok dopiero, Pan Wojewoda przypomniał sobie co należy czynić przy weselnój uczcie. Ujął zatém czarę w obie ogromne ręce, wstał, i ogromnym głosem przemówił:

— Dawno to już ludzie mogli dokumentnie observare, że najmilszy Niebu taki Hymen, gdzie się łączy pulchrum cum bellico.
Ztąd propensya gładkich dziewczek do rycer-

skich mężów. Ztąd wdzięczna Cypryda uśmięcha się do srogiego Marsa. Ztąd i dzisiejsza Oblubienica, którą by my dla jój urody chętnie zwali Pulcheryą, ale którą dla jój chrześcijańskiej nabożności mianujemy Krystyną, ślubuje wiarę I Mci Panu Rotmistrzowi, na którego wojenne przewagi, mimo jego let wczesnych, nieraz my już z admiracją patrzali. A ile takowe stadła są na rękę Niebu, to sama dziś Opatrzność pokazowa, kiedy jak ułał w dzień tego Hymenu przysyła wieść mirakulozną, i jawném to czyni, jako Pan Bóg, co zawdy lubi krzyże, tak singulare pokrzyżował destynacye tych dwóch sióstr i dwóch braci, że z onego krzyża wyszło im zbawienie. Tandem, święcim dubeltowy fest. Ciesz się więc dubeltowo, zacna Rodzicielko, jako my się cieszym, wołający: Niech żyją Państwo Młodzi!

— Niech żyją! Vivant! Vivant! — Odkrzyknięto zewsząd.

Kapelmistrz, znudzony długą beczynnością, zerwał się wesoło, podniósł pałeczkę, i muzykanci urznęli godową fanfarę.

Na to hasło tylko czekał, zdawna przyczajony puszkarz, i wnet pod oknami zaczęto bić z móździerzy.

Po zdrowiu Państwa Młodych, Pierwszy Družba, wiodący réj między młodzieżą, krępy i czupurny Pan Dederko, wstał z podniesionym puharem:

— A teraz, — wykrzyknął — zdrowie drugiej młoděj pary, zacnego JMci Pana Koryckiego,

Achilla téj cudowněj awantury, i pięknej Maryanny czy Hedwigi, a po prawdzie powiedziały, nowěj Heleny, co jęczy uwieziona w Gdańskiéj Troi. Obyśmy jak najrychlej pili na ich weselu!

— Jak najrychlej! Jak najrychlej! — Odkrzyknęli wszyscy, i rzucili się ku Pani Starościnie, z kielichami w rękach, z życzeniami na ustach. Kapelmistrz widząc to poruszenie, dał znak na drugą fanfarę, i wnet móździerze znów huknęły.

Pani Starościna chciała dziękować słowem i uśmięchem, ale oczy jój łzami nabiegały. Kieliszek, ledwie tknięty, postawiła napowrót, i zdławionym głosem odrzekła:

— Oby tylko ta nieboraczka doczekała onego uwolnienia! Oby tymczasem Lutry nie zabrały jój w nowy jassy!

— Nie turbujcie się Pani Matko. — Rzekł Pan Młody chyląc się do jęj kolan, i całując jęj ręce. — Zaraz jutro, ze słonkiem wyjedziem, co tchu, co tchu, a nim się Lutry opatrzą, już ona u twoich nóg będzie leżała.

Pani Starościna uścisnęła głowę synowską ale nic nie odrzekła.

Za to, ledwie usiadł, Panna Młoda pochyliła się ku niemu, i szepnęła mu jakieś tajemnicze słówko.

Usłyszawszy je, Pan Młody poczerwieniał, zwrócił na małżonkę oczy, i odpowiedział głosem którego wybuchów, niemógł od wzruszenia zupełnie przyciszyć:

— Jakoż to może być moja panno? Ledwieś

mi przysięgła przed ołtarzem, a już mię odpuszczasz od siebie?

Pani Starościna dosłyszawszy te wyrazy, nachyliła się ku młodej parze, i spytała z uśmiechem:

— Co to moje dzieci? Już kłótnia małżeńska? Dalibóg, zaczynacie wczas.

— Ależ, proszę Pani Matki, — odparł żywo Pan Młody, — jakoż to może być? Ona chce abym jachał nie jutro, jeno zaraz, teraz, tęg minuty.

— A tak! — Przywtrzyła stanowczo Panna Młoda. — Tęg minuty, bo każda minuta czekania dla Pani Matki, to sto lat boleści, każda minuta, zwlekania dla naszej Marysi, to może jęj zguba Nie grzech-że to barszkować w słodyczach affektu, kiedy tamta jęczy w niewoli? Abo to raz widziano, jako dla jednęj uciesznej godziny, przegrane były batalie, utracone miasta? Nie! Ja póty nie pozwolę sobie przypiąć małżeńskiego czepca, dopóka mój Pan Małzonek nie sprowadzi tu do nóg Pani Matce jęj prawdziwęg córki. Nie pozwolę. Nie! I nie!

Mówiąc to, Krysia mimowoli podniosła głos tętniący śpizowém brzmieniem, i dopiero przy ostatnich wyrazach spostrzegła, że cały stół, zaciekawiony tą sprzeczką Nowożeńców, zamilkł i przysłuchiwał się jęj słowom. Zmieszana, pokraśniała, i spuściła zawstydzone oczy.

Ale zamiast wstydu, spotkał ją głośny tryumf.

— A to Amazonka! — Ozwało się kilka głośów.

— Rezolutka!

— I Abnegatka!

Ozwały się inne.

A Starościna szepnęła ze wzruszeniem:

— Krysiu moja złota, pójdźże, niechże cię uścisnę.... Zgadłaś moje ciche desiderium.... Ach tak, jabym chciała aby oni już byli w drodze....

I nadbiegającą Krysię całowała po jęj białem velum.

Tymczasem Pan Wojewoda wołał:

— Mości Panie Rotmistrzu, niéma rady! Z takową Rzymianką nie przelewki. Musisz Waszmość jachać, i zasługować sobie dopiero na koronę szczęścia.

Pan Młody wstał, i stuknąwszy o stół pustym kielichem, odpowiedział:

— Teraz tedy, kiedy moja Małżonka sama spuszcza mię ze złotęg obroży, wolno mi wyznać, że i memu braterskiemu sercu niemniej pilno do wytropienia mojęj Panny Siostry, i do naganki na Niemców. Tedy jadę, i to tego momentu.

Waszmość Państwo dalej sobie zdrowi bankietujcie, ja siadam na koń i rzną do Gdańska.

Wszyscy obecni przyklasnęli. Tylko Pani Starościna, położywszy dłoń na jego rękę, rzekła z niejakiém wahaniem:

— Synku, dobry to ferwor, wszelako trzeba nam wiedzić, czy IMci Panu Koryckiemu będzie wygodnie tak rychło mój dom opuszczać?

Wszakci on niedawno z konia zsiadł? A co gorzej, niedawno z łoża wstał? Wszakci on kulą

był połupan, i jeszcze wygląda jak mizerak? Może-by chciał choć tę jedną noc się wywczasować?

Tak nalegała słowami, ale oczy jój, wlepione błagalnie w Pana Kaźmierza, mówiły co innego. Pan Kaźmierz nie potrzebował podniety jój błagań. Zerwał się i krzyknął:

— Ja? Wywczasować? A toć ja pono i tak oka nie zmrużę, dopóka nie zliberujem Panny Starościanki. A żebym był i na dwie połówki przelupan, tobym się kazał zszyć różową nicią, i siadł niemieszkając na koń, jak to natychmiast uczynię.

Tu Pan Dederko podniósł kielich i zawołał:

- Oto mi godne kawalery! Takich lubię! Zdrowie dwóch zacnych przyszłych szwagrów!

A gdy fanfara przecięła mu dalsze słowa, odwrócił się gniewnie.

— Cicho, muzykusy! Jeszczem nie skończył. Owóż tedy, powiedam, zwyczajna Msza jest piękna, ale z assistą piękniejsza. Grodziż się i tę nabożną akcyę odbywać bez assistencyi? Wiem-ci ja wprawdzie, że takie dwa Hektory gotowe są zmódz i całą armię dyabłów heretyckich, wszelako sukkurs nigdy nie zawadzi. Ja tedy zapisowam się pod chorągiew opprymowanej niewinności, i takóž z Waszmościami jadę. Kto więcj chce jachać? — Zapytał, oglądając się po zgromadzeniu.

— I mnie proszę zapisać! — Zawołał jeden z obecnych.

— I mnie!

— I mnie!

— I nas!

Po zliczeniu głosów, okazało się, iż jest siedmiu ochotników. Byli to wszystko ludzie młodzi, niezwiązani żadnym rodzinnym obowiązkiem, wszyscy dorodni, cheiwi rzeczy niezwykłych, a zwłaszcza miłosnych; to též i ta wyprawa pociągnęła ich swoją rycerską cechą.

Wszyscy jak stali, razem ze swemi dwoma przywódcami, przypadli do kolan Pani Starościny, prosząc o błogosławieństwo na drogę. Ta ich w kolój polecała Panu Bogu, i dziękowała za współzucie okazane jój dziecięciu.

Na ten widok, całe towarzystwo zamilkło z namaszczeniem, a potém ruszyło się od stołu, aby odjeżdżających zegnać i przeprowadzać.

Nim jednak opuszczono salę, jeden z ochotników zawołał:

— Mości Panowie! Wracajcieś! Uczynimy jeszcze koło, i złożmy consilium bellicum, co robić, i jak robić? Bo kampania bez planu dyabła warta.

— Za pozwoleniem. — Odparł Pan Młody. — To już ostawmy IMci Panu Koryckiemu. Wszystko co ten zacny kawaler uczynił dla mojej Panny Siostry, daje mu prawo do buławy. Niech-

że więc on obmyśli nam cały plan Kampanii, a ja pierwszy idę pod rozkazy naszego Hetmana.

— Panowie Bracia, zmiłujcie się! — Krzyknął Pan Dederko. — Po co tu plany? Po co tu consilia? Zrobim zajazd na dom onego Majstra, jemu łeb ukęcim, czeladników powywieszamy, pannę Starościankę na koń, i skończona kampania.

— O! Co tak, to nie! — Przerwała żywo Pani Starościna. — Waszmoście chyba niemacie Boga w sercu? Jakoż to? Chcecie odbierać żywot człowiekowi co Marysię uchronił od pogan? Boć tak czy owak, zawdyć on ją uchronił, i na swoim sumpcie chował. Władku, słuchaj: róbcie rzecz politycznie. Co prawda, Szwab i Luter, i srogi na nią ciemiężyciel, a wždy, jeśli można odbić Marysię bez rozlewu krwi, to będzie mi lżej na sumnieniu.

Tu ozwał się Pan Kaźmierz:

— Gdybym słuchał jeno głosów affektu i słusznój koleryi, trzymałbym z IMci Panem Dederką. Ale tu pono Pani Starościna przemówiła i jako pobożna niewiasta, i jako mądry

statysta. Bo dom onego Majstra, Mości Panowie, to nie dworek na wsi, co go można rozrzucić i spalić, i pojachać sobie het z wiktoryą. Tam cała republika Gdańska przyjdzie Majstrowi na odsiecz, a ten Gdańsk to bestya harda, co nieraz i Królowi Jegomości do oczu skakała. Tedy kto tam chce wygrać, niech ma za sobą Senat miejski. Póki ja, człek obcy, chciałem onemu tutorowi odebrać jego pupilkę, a słuszniej mówiąc,

wiktymę, to te wszystkie lyczkowe senatory, a jego piwne koleżki, były za nim, i głupie ich prawo było za nim. Ale jak IMci Pan Władysław Nałęcz stawi się in persona po swoje rodzono, to będą musieli z jenszej beczi pociągnąć, żeby tam dyabła zjedli, to z jenszej. Tylko niech Pan Starościc weźmie wszelakie potrzebne pargaminy, aby mógł dowieść jasno jak na dłoni, że jest z niego prawdziwy Pan Starościc, i niechaj weźmie ów Szkaplirz z pisaniem, aby dowiódł, że Panna Hedwiga jest prawa Starościanka. Pójdziem do Burmistrzów i wszystko to zaświadczy, a wonczas już nie my, jeno sam Urząd miejski weźmie Pannę Starościankę za rękę, i solenniter odda ją familii.

— Wszystko to pięknie, ale jakoś pachnie mi jurystą. — Ofuknął się Pan Dederko. — A jeśli téż Niemiec uparciuch, nie bacząc na żadne pargaminy ani Urzęda, powie: «Nie oddam panny.» I zacznie się bronić kulakiem, to co?

— A no, to wtedy może przyjść do szabelek, ja nie od tego, Mościpanie. — Odparł, zaciskając pięść, Pan Kaźmiérz.

— Panno Najświętsza! Nie irytujcie Szwaba.... — Wołała Starościana. — On gotów jeszcze, na złość wam, zabić tę niebogę.....

— Nie, Matuchno, nie damy jój zabić, weźmiem się do rzeczy politycznie. — Zapewniał Pan Rotmistrz, i raz jeszcze ucałowawszy rękę matki, sunął co żywo do skarbczyka, dla wyszukania potrzebnych dokumentów.

Zaraz téż mężczyźni rozbiegli się po domu,

ci dla nawoływania służby, tamci dla zbierania podróźnych manatków. Niewiasty obsiadły Starościnę, i cieszyły ją wesołemi nadziejami. Tylko panny popłakiwały po kątkach, z żalu że je ominie cała noc tańców i zabawy, a zwłaszcza owe Oczepiny, przy których niejedna obiecywała sobie, że poszuka szczęśliwój wróżby, i pierwsza skoczy do zydla opróźnionego przez Krysię.

Ale Krysia w téj chwili czém innem była zajęta. Skinęła na brata. Po krótkiej naradzie, przeszli do alkierza, dobyli z kantorka inkaust, pióra, papier, i Pan Kaźmiérz machnął list do ojca. List był króciuchny i bezładny, ale ognisty jak dusza piszącego. Uwiadamiał on w nim tylko z uniesieniem o cudowném odnalezieniu Krysi, a następnie składał prośby, tak od córki jak od Pani Starościny, aby Pan Miecznik raczył zjechać do nich co najprędzej, bo Krysia niemoże teraz odstąpić swojój chorój dobrodziejki, a chciałaby téj godziny paść do nóg ojcowskich. O sobie mało wspomniał, przepraszał tylko że nie jedzie naprzeciw Dobrodzieja, gdyż musi pędem wracać jeszcze do Gdańska, gdzie ma się rozstrzygnąć całe jego szczęście.

Ze swojém grubém i zamaszystém pismem, Pan Kaźmiérz prędko doleciał do końca drugiej stronicy. Wtedy Krysia, czytająca przez jego ramię, ozwała się:

— Dosyć, dosyć Panie Bracie. Ostawcież i dla mnie kęsek miejsca, niechże i ja wypiszę moje submissye, i nowe molestacye o rychle da Bóg zjachanie do nas. Ach, jak pomyślę że mam

obaczyć Oćca rodzonego, to aż mi w piersiach coś kołacze. Jeszcze Waszmość wypisz na wierzchu, i to długo i szeroko, gdzie jest owa Czarnorudka? A jak oświtnie, zaraz całe to pisanie oddam Panu Rękodajnemu. On z Panią Starościaną bywał ongi w tamtych stronach, a przytém z niego taki mądral, że co chce i kogo chce, choćby pod ziemią, wynajdzie. Skończone, dobrze. No, teraz jeszcze raz się uściskajmy, a potem na łeb na szyję lećcie, po tę

biędną Marysię. Już ja dosyć długo zabierałam w tym domu jęj miejsce, niechże i ona dostanie swój talerz łakoci.

Już też na gwałt przywoływano Pana Kaźmierza. Wyrwał się z objęć siostry, skoczył do czeladni.

— Maciek! Siodłać konie! Jadę do Gdańska, i ty siadaj co duchu!

Maciek, zajądający właśnie doskonale naleśniki z powidłami, usta miał pełne słodocy, serce zaś pełne tęg nadziei, że całą noc weselną przepije, a cały dzień następny prześpi rozkosznie w dostatnim Starościńskim domu.

Na wieść tak niespodzianą, mało się nie zadławił przysmakiem, i z najwyższym podziwem wybełkotał przeciągłe:

— Ju - u - u - ż?

— A już, już. I ty Maćku już nie będziesz beczał, jeno zawdy będziesz się śmiał, bo czy wiesz co ci powiem? Nasza Krysia się znalazła, i familia Panny Hedwigi się znalazła, i wszystko się fortuni, a wszystko to przez ciebie Maćku,

przez to żeś onęj liny nie wyhissował. Niech cię Pan Bóg błogosławi za twoje mazgajstwo.

Maciek chwilę pomilczał, poskrobał się w głowę, nakoniec zrozumiał, i rymnął do nóg pańskich. Wszakże nadzieja Pana Kaźmierza została omyloną, nie roześmiał się bowiem, ale znów zaczął płakać, gdzie tam płakać? Ryczał z radości.

Potem wyleciał jak szalony, i po chwili wyprowadzał na dziedziniec osiodłanego bułanka.

Nie był tam pierwszym. Konie stały już okulbaczone, tylko jeszcze przytraczano do nich węzłki podróżne, zwłaszcza broń rozmaitą, w którą nasi rycerze chcieli się na wszelki wypadek dostatnio zaopatrzyć; wprawdzie sami jęj nie przywieźli, bo na wesele zjechali tylko przy szabłach, ale Pan Rotmistrz dostarczył im jęj suto. Każdy, co chciał wybierał, i pacholłkowi swojemu oddawał. Potem panowie jak stali, w swoich świetnych strojach dosiedli rumaków, i gdy Pan Kaźmięrz wybiegł, już pito Strzemiennego.

Wszystko wyglądało godowo.

Dziedziniec był zatłoczony wieśniakami, którzy porzucili tańce i wieczerzę, aby się przyjrzeć niespodzianemu odjazdowi Pana Młodego. Ogrodzenie, brama, droga do kościoła, wszystko płonęło od beczek i kagańców. Kapela wyszła na ganek. Wyjechała tam i Staroscina, za nią wysypał się cały orszak weselny, z białą Krysią w pośrodku.

Pan Rotmistrz wyszedł ostatni, lecz zanim nogę włożył w strzemię, wrócił się raz jeszcze na schody, porwał żonę w objęcia, i głośno ją wycalowawszy, zawołał:

— Nie zapomnij-że mnie, moja panno.

Krysia nie bronila się tym razem, oddała mężowi uściśnienie, i odparła śmiało:

— Będę na Pana mego czekała w strapieniu jakoby wdowa, i da Bóg rychło go pozdrowię w radości, jako wierna sługa.

Wielkie okrzyki potwierdziły to małżeńskie pożegnanie, kapela huknęła, dano jeszcze salwę z moździerzy, i wśród tęg wrzawy świątecznej, ruszyło małe wojsko, przodem panowie, za nimi szereg hajduków, kozaczków i przeróżnych pacholłków, niby obozowych ciurów.

Długo jeszcze, wśród różowej łuny, można było widzieć, jak zdaleka czapkami się kłaniali. Z dziedzińca odpowiadano im chórem życzeń i wiewaniem chustek, ale gdy znikli na skrócie pod gajem, zrobiło się między gośćmi zamieszanie.

— Pani Staroscina omglała!

— Nie dziw, od emocyi.

— Wody! Larendogry!

Podano różne flasze, a Krysia, na której ramieniu zwisła głowa zemdlonej, cucila Dobrodziejkę, to kordyałem, to serdeczným słowem:

— Nie troskajcie się, Pani Matko! Patrzcie jeno w jakieg oni jubilacyi odjeżdżają. To

szczęśliwy prognostyk. Dalibóg szczęśliwy.

— Starościna odemknęła powieki, spojrzała na Krysię.
— Kochane dziecko! — Szeptnęła. Potem, składając ręce, wpatrzyła się w gwiazdziste niebo, i wielkim głosem zawołała:
— Pani Matko moja najmilsza! Za twoje rarytne cnoty, za twoją śmierć, i palmę wyniesioną z pogańskich męk, wyproś-że to w niebie, ażeby twoje ostatnie życzenie na ziemi, teraz w całości się spełniło!

XI.

Wtóre wesele.

O!..... I znowu się gapią. I to nawet jakoweś Mościpany. A wżdy i tych trza przepędzić.

Tak mruczał Kuba Grubasek, spostrzegłszy kupkę ludzi zgromadzonych przed Bursztynowym Domem. Byli to widocznie przyjezdni, jacyś panicze polscy, dorodni, pełni buty, i pomimo przedpołudniowej pory, odświeżnie przystrojeni. Niebieskie i czerwone ich wyloty, migały w powietrzu jakby proporczyki, bo rękami podniesionymi pokazywali sobie w górze okrągłe okienko, i powtarzali z wykrzykami podziwu:

— Jakoż to? Oném oczkiem? Nie może być.
— A wszelako było.
- Istne mirabilium!

Grubasek onieśmielony wspaniałością przechodniów, przystąpił pokornie, i kłaniając się mówił:

— Mości Panowie! Śmiem upraszać..... aby kużden szedł jako chce..... jeno aby tu nie stoić.....

— A to znów co za exorbitancye? Co ty Kuba, mnie myślisz rozkazować?

Słowa te, wyrzeczone gromkim głosem, wyszły z samego środka gromady, i przed oczami Kuby ukazał się, ani mniej ani więcej, tylko sam Pan Burmistrz Freimuth.

— O Jezu! A zkąd ja mógł wiedzieć, że i Pan Burgemeister tutaj? Wybacz Wasza Dostojność, przepraszam uniznienie, aleć ja muszę tu ład czynić, bo Pan Schultz okrutnie poryża na to, że mu przed oknyma zawdy kupa ludzi przystawa, i wydziwia nad oném utrapioném okienkiem. Już mu — powie — kamienica obrzydła. Owóz, kazał mi politycznie one kupy rozpędzać. Ja tedy dziesięć razy na dzień tędy chadzam, a zawdy kogo zdybię, i mam z tego sto nieprzyjemnościów, bo abo zdybani mię obiją, abo Pan Schultz mię wygrzmoci. Rób co chcesz, zawdy bięda.

— Nie boj-sa Grubasek. — Odparł ze śmiechem Burmistrz. — Już dziś ja sam się z Panem Schultzem rozprawię.

Tu jeden ze stojących, piękny młodzieniec o błękitnych oczach i złocistym wąsie, zapytał:

— I wy mój człeczku, sami widzieli, jak ona panienka tamtędy wyleciała?

— Ja sam nie widział, jenom od tój liny mało żywota nie postradał, a com widział, to jako Pan Schultz tę panienkę z powrotem tu wnosił, to mgląła i krzyczała jakoby ta biedna waryatka, za to co jój zabili onego kawalira, co my

po nim tak okrutnie płakali.

— A! Płakali wy po nim?

— Oh, i jak! Boć to był takowy siarczysty kawalir, że do dziś, co jest w Gdańsku pannów, to wszystkie po nim lzy lejom.

— No, a z tamtą panienką, co się potem działo?

— Tego ja nie wiem, bo już od onego dnia Pan Schultz ją trzyma w karceresie, że jój ludzkie oko nie widziało.

— A to chyba ten jój kawaler gotów zmartwychwstać, aby ją z takowój oppressyi wydobyć.

— A dyć, zmartwychwstanie on, jeno za późno, bo aż na Sądny dzień.

— A może i wcześniej? Taki siarczysty kawaler gotów i w to utrafić.

— E! Co też to Wasza Dostojność gada? Chybaby go jakowy Święty wskrzesił, a zkaż tu wzięść Świętego, jeszcze w takowém mieście, gdzie tyle plugastwa heretyckiego?

Kuba mówił to najspokojniej, ale nagle.... oczy jego w słup stanęły, usta pozostały otwarte, i głęboki wykrzyk z nich się wydarł. W tej chwili bowiem, złotowłosa młodzieniec na bok nieco ustąpił, i po-za nim ukazała się postać JMci Pana Kaźmierza Koryckiego.

Grubasek uległ tak wielkiemu wzruszeniu, że chwyciwszy za poręcz jednego z bliskich ganków, przysiadł na kamiennój kuli, cały drżący jakby zimnica nim trzęsła.

— A widzisz? — Zawołał jeden ze stojących, kiwając mu palcem przed oczami. — Widzisz jakowy to affekt u tego kawalera, kiedy nawet z pod ziemi wrócił, ażeby salwować swoją pannę.

— A juści. — Szeptał Grubasek. — Dyć on! Jak Boga kocham zmartwychwstały! I nawet nieznac jako w ziemi leżał? Jeno kruszynę przybledniejszy.

Podczas gdy Kuba dziwił się, jakim sposobem ten zabity wyszedł z trumny taki zdrów i strojny, młodzi ludzie wzięwszy między siebie nieboszczyka,

z wielkimi śmiechami przeszli na drugą stronę ulicy, wstąpili na ganek Bursztynowego Domu, i już jeden z nich bił kołatką, a jeszcze Pan Burmistrz powtarzał błękitnookiemu:

— Jeno supplikuję abyś Waszmość mitygował rankory, bo jabym rad wszystko spacyfikować. Nasz Herr Schultz nie taki bies, jak go malują. Polityką z nim wszystko nadrobi.

— A no, obaczmy co dziad powie. I jaby rad pacifice zakończyć, jeno wždy niech nam się Niemiec okóniem nie stawi, bo juści krew nie woda.

W tej chwili Mina odsunawszy rygiel, wychyliła swoją twarz wiecznie spłoszoną. Ale widok Pana Freimutha ją rozjaśnił.

— O Jezu! Pan Burgemeister! Jakoż my to dawno gościa tak wielkiego nie widali! A toż Meister będzie kontenty!

— A gdzie Meister?

— Jak zawdy, na pierwszym treppie, dłubie wedle swoich kamyczków.

Ale w tej chwili, spostrzegłszy gromadę mężów, tłoczącą się do progu, spojrzała z trwogą na Burmistrza.

— A to co za Herry? Czy wedle bursztynów?

— Puszczajcie ich matko śmiało, to piękna kompania, której spieszy się do Pana Rajcy.

Mówiąc tak, Burmistrz szedł ku schodom, ale nagle stanął w pół sieni, zdumiony zaszłemi w nięj zmianami.

Ze ścian zwieszały się, na wpół poprzyczepiane kobierce i zapony, które, uwijający się po drabinach robotnicy, rozmierzali i przybijali. Wszędzie leżało pełno pak, zawiniątek, a zwłaszcza grubych wieńców z gałęzi sosnowych i modrzewiowych; niektóre już były rozpięte na zaponach; inne wplatanó w poręcze schodów, tak, że woń choiny wszędzie się rozchodziła.

— Co to za preparacye? — Spytał Burmistrz.

— A no co? Na jutrzejsze wesele. Dziś jeno zieleń wieszamy, ale jutro to będzie i

kwiatów huk.

— Jakie wesele?

Na to zapytanie, Mina się zatroskała.

— Jakóż to, Wasza Dostojność niewie? A ja myślałam, że to właśnie z oniej racyi Pan Burgemeister nawiedza naszego Pana Młodego.

— Jakowyż to Pan Młody?

— A jakowyż ma być? Wszakci to nasz Pan Meister się żeni.

Na te słowa, między zgromadzonemi powstały groźne szmery, szcęknięcie szablami, przyczem krzyżowało się mnóstwo pytań:

— Co? Co? Jutro? Żeni się? Schultz? I z kim? Czy z nią?

— A no, pewnie z frajleiną Hedvich.

— Z nią? Sam ci to gadał?

— Nie, proszę Waszmościów. — Mówiła jękając się przestraszona kobieta. — Pan Meister nie mówił z kim, jeno mi powiedział temu onegdaj: «Słuchaj Mina, pojutrze się żenię, przyjdą tu robotniki co ustroją dom, zamów jeszcze dwie mödchen do kuchni, bo musi być wielki łustyk.» Z kim żeby jenszym się miał żenić? Chyba że ja niewiem..... Aleć Meister już dawno upatrzył sobie naszą frajlein.

— A Panna Hedwiga co na to mówi? — Zapytał złotowąsy młodzieniec. — Czy chce takiego starego dziada? Czy już nie płacze po tamtym kawalerze, co to ją wykradał?

— Płacze-ci ona, i precz się zarzeka: «Nie!» I «Nie!» Aleć to jeno dziecinne gadanie, boć kiedy tamten nieżyw, to i co jój po nim? I dla tego że jój kawalera zabili, to już ma na cały

żywot ostać się bez męża? I jeszcze kiedy taki personat i bogacz jak nasz Pan Meister chce jój uczynić ten onor? Namówim ją, namówim, — a nie, to na rękach zaniesiem do kościoła.

— No, no, babo nie pleć, jeno pokazuj drogę! — Krzyknął błękitno-oki, a obejrzwawszy się na drugich, dodał:

— Jako widzę, w sam czas my tu zjachali. Żeby tak jutro, toby tu była tragedia.

Mina, znów przestraszona brzękiem szabel i groźnemi spojrzeniami, nic już nie odpowiedziała, tylko biegła przodem po krętych schodach, gdzie nogi jój się plątały w niedopieczonych wieńcach. Stanąwszy na pierwszym piętrze, rozwarła drzwi, przez które kolejno zaczęli wchodzić nowo-przybyli, najprzód Burmistrz, potem błękitno-oki, potem siedmiu młodzieńców, jeden od drugiego świetniejszy i dorodniejszy, nakoniec..... zjawił się gość ostatni, który dotąd trzymając się za drugimi, pozostawał niewidzialnym dla Miny. Teraz, na jego widok, zmartwiała.

Plecami przytoczyła się do ściany, sama blada jak ściana, i szepnęła.

— Co to? Upiór? W biały dzień? Panie Jezusie, zmiłuj się nad nami!

Pan Kaźmierz posłyszawszy te słowa, tknięty młodzieńczą pustotą, zwrócił się nieco ku Minie, kłapnął zębami jak zwykły czynić upiory, i zcichą jęknął niby mara.

Poczem wsunąwszy się do komnaty, stanął nietylko za plecami drugich, ale i za wystérka-

jącym piecem, tak, że Pan Majster nie mógł go wcale widzieć.

Za to, nieszczęsna kobiecina widziała go ciągle, i nie spuszczać zeń przerażonych oczu, stała jak żona Lota, z głową pół obróconą, w słup zastygła.

Pan Johann Schultz siedział jak zawsze przy swoim robotnym stole, pomiędzy mnóstwem drobnych naczyń i misternych narzędzi. Ale na ten raz, narzędzia leżały beczynnie. Pan Majster miał rozłożony przed sobą swój cudowny sztuciec, i z rozlubowaniem właściwem człowiekowi, co jutro ma być «Panem Młodym», wpatrywał

się w zachwycający posążek Wenery.

Widok tylu wchodzących, zdziwił go i zaniepokoił, a najwięcej go zdumiało przybycie Burmistrza, który po zabiciu Kaźmierza mocno się z Panem Schultzem przemówił, wyrzucał mu narażenie Urzędu Gdańskiego na niełaskę królewską, przepowiadał mu zemstę całej Wodnej Armaty, łajał go za twarde obejście się z Hedwigą, i od owej rozprawy, już nogą nie postać w Bursztynowym Domu.

Teraz, Pan Majster widząc go w towarzystwie samych ludzi młodych i wojennych, pomyślał sobie:

— Oho! Jest owa wróżona zemsta. Cała Wodna Armata na kark mi się zwali. Zła sprawa, i to jeszcze w sam przeddzień Hymenu!

Nie pokazał jednak żadnego zmieszania wstał powoli z patrycyuszowską wspaniałością, i rękę o stół oparłszy, czekał na wybuchnięcie burzy.

Tymczasem zamiast burzy, czekało go zupełnie co innego.

Pan Freimuth słodko uśmiechnięty, szedł ku niemu z otwartymi objęciami, jedną ręką dłoń jego ścisnął, a drugą klepał go po ramieniu, i mówił:

— Kochany Rajcusi! Stary amikusie! Przynoszę ci złote nowiny! Ale to szczerozłote!

— Co takiego? — Pytał, jeszcze nierozchmurzony Majster.

Pan Burmistrz, pokazując młodzieńca o błękitnych oczach, rzekł z niejaką dumą:

— A najprzód, oto jest JMci Pan Starościc Władysław Nałęcz, Rotmistrz chorągwi pancerniej, brat Panny Hedwigi.

— Co? Znowu brat? — Zapytał Pan Schultz z przekąsem.

— A tak, znowu brat. Ale na ten raz veritabilis, najveritabilszy. Dziś rano, Pan Starościc razem z temi oto swojemi świadkami, stawiał się u nas w Urzędzie, i wylegitymował dokumentnie provenencyę Panny Hedwigi.

— Aha! I gdzież ten dokument? — Zapytał drwiąco Majster.

— Oto jest. — Odparł Pan Władysław, pokazując Szkaplérz, i wyjmując z niego żółtką kartkę. — To babki naszej pisanie, propria manu. I Szkaplirz Pani Matka poznała, i szatki niebieskie

ze złotemi forbotkami sama ona dla dziecięcia szyła. Tandem, jest plenitudo argumentów.

Pan Majster nagle spoważniał. Przeczytał kartkę raz i drugi, zamyślił się i mówił:

— A! To ciekawe. I bez tyle czasu my mieli ten papier i nic nie wiedzieli! Ale cobym ja chciał wiedzieć, to kiedy to Hedwiga ten Szkaplirz otworzyła?

— To nie ona otworzyła, jeno wy, Panie Rajco, wy sami otworzyli.

— Exkuzuj Wasza Miłość, ale ja się pytam na seryo.

— A i ja gadam na seryo, Było to w pewnej cyrkumstancyi, której tu wolę nie cytować.

— Tak, tak..... — Poparł ze śmiechem Burmistrz. — Pomnij Panie Johann, kiedyś to oną panienkę gonił, i komuś ją z rąk wydzierał, toś aż na nią porozrywał krężę, no, a razem z krężą i Szkaplirz się rozerwał, i tak jój sprowadziłeś to wielkie szczęście. Widno że czy chcesz czy niechcesz, zawdy jesteś jój benefaktorem.

— Tak jest. — Ozwał się uroczyście Pan Władysław. — Z téj téż racyi, nie usłyszysz Waszeć odemnie innych słów, oprócz gratulacyi. Byłoby może niejedno do rekryminowania, byłoby..... no..... Bóg widzi jakobym ja tu mógł niejedno kamień rzucić na Wasciną głowę, boć teraz już jam z prawa jest protektor mojej rodzonej, ale na tę pamiątkę żeś Waszeć ją salwował od pogan i w domu swoim żywił, wolę rekryminacye zagrzebać w silentium, i jeno flores gratitudinis

złożyć Waszeci, tak od siebie jak od całej naszej familii, przednio zaś od naszej Pani Matki.

Poczęm, śmiem się dopraszać téj łaski, abym nakoniec mógł przywitać moją Pannę Siostrę.

— Wszystko to dobrze, — odparł ciągle zamyślony Majster — jeno bym ja rad wiedział, jakowym to sposobem Hedvich zwąchała się z tą swoją nową familią? Gdzie znalazła takowego mądrego ambasadora, co wszystko to zweryfikowała? Boć ona i na krok nie wyszła z domu, a przecie duchy niebieskie jój nie usługowały?

— A właśnie że duch jój usłużył. — Ozwał się jeden z młodzieńców. — Duch umarłego. On człek coś go Waszec zabił, ten z Boskiego wyroku stał się jój mścicielem.

Tu młodzieńcy rozsunęli się z brzękiem szabel, i sam IMci Pan Kaźmiierz Korycki stanął przed Panem Rajcą.

Spojrzeli sobie oko w oko.

Nastała chwila ciężkiego milczenia.

Wszyscy przypatrywali się Majstrowi z ciekawością, ale twarz Pana Schultza nie okazała owego przestrachu ani przygnębienia, jakich się po nim spodziewano. Po chwili tylko szyderczo się uśmiechnął, i rzekł:

— Aha! To on tak był zabit? No, teraz rozumiem....

Tu Burmistrz położył mu obie ręce na ramionach, i mówił z rodzajem rozczenia:

— A co? To druga złota nowina jaką ci przynoszę. Ciesz-że się Majsterku. Już krew

zabitego nie będzie cię po rękach piekła. Już sumnienie po nocach nie będzie cię demolowało.

— Ależ — odparł Majster, wydzierając się dość szorstko z uścisku — mnie sumnienie w żaden manier nie dezolowało. Za co? Jam tego kawalera nigdy nie zabijał, jenom odbierał co kradzione, a że się doigrał guza, to ja temu nie krzyw, sam go szukał. Ale Waszec Panie Burgemeister, po coś mię to tak szpetnie oszukiwał, straszył kaźnią i pomstą, acz wiedziałś że to udanie?

— Ja? Wiedziałem? Jak mi Bóg miły, niewiedziałem. I nikt niewiedział. Xięza go tam w Oliwie schowali, a oliwą precz smarowali, aż się wylizał. Ale to była siurpryza. Jam się dopiero dzisiaj, przed godziną dowiedział, i niemogę nachwalić się Pana Boga, boć za taki mordunek toby my wszyscy mogli dostać pokutę.

Na to Pan Majster odrzekł z jakimś dziwnym uśmiechem:

— A no, to i ja powiem: Chwalić Boga że kawaler się wylizał, témci bardziej że teraz już on mi nie zawadza.

Słowa te zadziwiły obecnych. Wszyscy po sobie spojrzeli pytająco. Pan Kaźmiierz zaś, hamując wzruszenie co mu na twarz wybuchowało krwawemi rumieńcami, odrzekł z widoczném wysileniem:

— Słusznój inwidy mógłbym ja popuścić cugle, i byłoby to może dla mnie miłém, ale wolę brać model z Pana Starościca, i zmilczć

moje rekryminacye, przynajmniej do czasu aż obaczę, co Waszec zamýślasz dalej czynić.

Stojąca ciągle we drzwiach Mina, złożyła ręce i szepnęła:

— On gada! W biały dzień?

Gdy Pan Majster nic nie odpowiadał Kaźmiierzowi, Rotmistrz zapytał z niejaką już niecierpliwością:

— Śmiem upraszać po raz wtóry: pokaż mi Waszec moją Pannę Siostrę, i pozwól abym co żywo zawiózł ją do naszój Pani Matki, która tam usycha z tęskności.

Pan Schultz i teraz jeszcze nic nie odpowiadał. Stał nieruchomy, ze zmarszczonemi brwiami, czasem usta nieco roztworzył, poczęm znów je zaciskał coraz twardziej. Czy odbywała się w nim jaka walka? Czy tylko na złość, tak przetrzymywał ciekawość słuchaczy? Trudno to było zgadnąć. Nakoniec podniósł oczy, spojrzął po wszystkich drwiąco, i mówił cedząc słowa:

— A i owszem. Panna Starościanka pojedzie do Mutterki; jeno wprzódy upraszam Waszmościów, abyście jutro wszyscy racyli assistować na mojm wesele.

Po tych słowach zrobił się w komnacie szmer złowrózeczny. Pan Władysław chwycił

za rękojeść szabli, przystąpił gwałtownie do Rajcy, i zapytał głosem, w którym drgało źle przytłumione oburzenie:

— Więc to prawda? Waszeć się żenisz? I z kim, jeśli wolno wiedzieć?

Pan Majster wcale się niezmieszał.

— Z kim? Zara się to pokaże. Ja moją przyszłą żonkę sam Waszmościom zaprezentuję. Czy tu jest Mina? Co ty tam tak stoisz, jak ten słup do podpierania drzwiów? Chodź-no tu.

Mina cała drżąca weszła do komnaty, i palcem wskazując na Pana Kaźmierza, zapytała półgłosem:

— Herr Meister, co to jest?

— Jakto, co? Czyż nie widzisz? To IMci Pan Korycki, stara znajomość.

— On? Wszakci on był zabity? Czy to upiór?

Na te słowa, mimo poważnego nastroju, powstały w komnacie wielkie śmiechy. Sam Pan Majster uśmiechnął się i odrzekł:

— Nie upiór, jeno niedobitek. No, nie rozdziawiaj próżno gęby, jeno ruszaj duchem na drugi trepp, i proś aby przyszły tu obiedwie, i frau i frajlein.

Mina znów osłupiała z podziwienia:

— Proszę Meistra, tedy frajleinie już wolno wyjść z izby?

— Co tu gadać? Powiedz jój, że ja każę aby tu przyszła. I frau także.

Mina rozradowana pobiegła na górę.

Ale pomiędzy młodemi ludźmi, coraz niespokojniejsze krążyły pytania:

— Co to będzie?

— Ej! Źle się skończy.

Po chwili, jeden z nich, czupurny Pan Dederko, przystąpił do Majstra, i zagaił:

— Panie..... tego..... Pomnij Waszeć że my wszyscy jak nas tu widzisz, zjachali nietylko dla dawania naszego testimonium Panu Starościcowi, ale i dla bronienia Panny Starościanki od wszelakiej krzywdy.

— A jakaż jój krzywda?

— Ha! Pono Waszeć ją dusisz w karceresie?

— Pokażę ja Waszmościom komnatę, gdzie ja pono duszę tę frajlein, i sami powiecie, czy wszelaka królowna nie chciałaby do śmierci siedzieć w takowym karceresie? To najpiękniejsza komnata z całej mojej kamienicy.

Wypowiedziawszy to z górnym uśmiechem, odwrócił się do stołu, z którego zaczął zbierać sztućcowe figurki.

Ale jego spokój nie udzielał się zgromadzonym. W komnacie coraz mocniej wrzało.

— Ponoć to nie zawdy tak było.....

— Siedziała-ci ona i w ciupie pod dachem.....

— O chlebie i wodzie.....

Już się zaczynało trzaskanie szablami, już zaniepokojony Burmistrz łamał sobie głowę nad nowym sposobem zażegnania burzy, gdy nagle sposób sam się znalazł.

W komnacie przycichło jakby makiem zasiał.

Wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom.

Na progu stały dwie kobiety, prześliczne jakby dwa kwiaty.

— Która to? Która? — Pytano półgłosem.

— Czy ta różowa?

— Ale gdzież znowu! To tamta, ze złotą główką.

- A juści, bo też i do Pana Rotmistrza kubek w kubek podobna.
— A! Trza przyznać, jako stary umie dobierać gładkie buzie.

Hedwiga musiała już wiedzieć przez Minę o przybyciu Pana Kaźmierza, bo żaden krzyk podziwu nie wydarł się z jej piersi. Tylko była niezmiernie blada, i w pochodzie słaiała się na ramieniu Pani Flory, która przeciwnie kwitła tryskającymi rumieńcami.

Kto wie nawet, czy jaka tajemna poczta nie powiadomiła już tych pań od rana, o mających się zjawić gościach, obiedwie bowiem były, co się zowie świątecznie ubrane; jedna różowo, druga jak zawsze, niebiesko; przy szyi obie miały przejrzyste kręzy, we włosach bramki ze wstążek, przepięte kwiatami; u jednej pęk róż gorących, u drugiej białe stokrotki.

Pan Schultz nie patrząc wcale na Hedwigę, wziął Panią Florę pod rękę, i wyprowadził ją na środek pokoju, poczem uroczyście przemówił:

— Oto zacna dama, która przez mizerykordyę nademną, sakryfikowała się na złe języki.

Figurujcie sobie Waszmoście, sprowadziła się do mego domu, niby dla strzeżenia frajleiny, a w rzeczy dla konsolowania mnie biednego, com już niemiał przy sobie żadnej życzliwej duszy. Owóż, jam wonczas dopiero wyrozumiał, gdzie jest dla mnie prawdziwa szczęśliwość. Powiedam Waszmościom, nie można przeżyć kilku niedziel obok tak szacownej białogłowy, bez umiłowania jej przyjaźnią dozgonną, i, żeby teraz ofiarowano mi wszelkie niewiasty świata na wybranie, żebyś nawet Panie Rotmistrzu częstował mię Panną Starościanką, jabym powiedział: Rekużuję wszystkie, jeno proszę o śliczną rączkę przezacnej Pani Flory Korwiczkowej.

Pani Flora, za całą odpowiedź, uśmiechnęła się czarownie, i swoją pierścienistą rączkę podała Panu Rajcy, który ją ucałował płomienście, a potem potoczył po zgromadzeniu tryumfującym wzrokiem.

Tryumf jego był istotnie wspaniały. Sam zrekużował Hedwigę, a ta rekuza tak dobrze wszystkim wypadła na rękę, że obecni, zamiast okazania obrazy, rzucili się owszem ku niemu z głośnemi powinszowaniami.

Nikt się też nigdy nie dowiedział, czy Pan Schultz istotnie już od kilku niedziel myślał o zaślubieniu Pani Flory, czy dziś dopiero ukuł ten zamiar na prędcę, dla wydobycia się z ciężkiego położenia? Jedna może Pani Flora wiedziała co ma sądzić o tój sprawie, ale nikomu się ze swych myśli nie zwierzyła, bo przekonania mądrej wdo-

wy, jak przystało bogini kwiatów, spoczywały zawsze «sub rosa».

Teraz, otoczona przez młodzieńców, zachwyconych jej powabnością, rozdawała wszystkim urocze uśmiechy, a Pan Schultz tymczasem, przyprawdzał Pana Władysława przed Hedwigę, i mówił:

— Patrz Hedvich, oto twój brat, nie żaden kłamany, ale na ten raz pono prawdziwy. Uściskajcie się jak należy. Ale ty, jako widzę, zerkasz jeszcze gdzieindziej. No cóż? Nie dziwujesz się że tamten żyw? Oho! Dobrześ ty o tём wiedziała! No, ale o tём niech już będzie keine gadanie. A teraz,— dodał, znowu głos podnosząc uroczyście — pozwólcie Mościwi Panowie abym po raz ostatni użył moich praw ojcowskich, i wyznaczył męża dla frajleiny. Niewiem czy Waszmość Panie Starościcu przystaniesz na mój dekret, ale ja swoje powiem, a wy potem róbcie sobie co chcecie.

Tu w oczach Pana Majstra przeleciała błyskawica gniewu, a na ustach przesunęło się rozgoryczenie. Ale szybko zapanował nad sobą, i znów przybrawszy wyraz drwiący, mówił głosem niby wesołym, a naprawdę szyderyczym:

— Owóż, poznavszy przy sercu Pani Flory, jaką szczęśliwość daje fortunny affekt, niechcę ja już i cudzym affektom kontrować. Niechże tedy IMci Pan Korycki bierze sobie tę pannę,

kiedy dla niej mało karku nie nadkreślił, i mało żywota nie postradał.

Tu spojrzął na Hedwigę, - a gdy ta stała zmieszana, ze spuszczonej oczami, w których łzy się kręciły, ujął jej ramię, — zawołał:

— Na! Idźże sobie do twego gagatka!

I pchnął ją, niby żartem, ale tak mocno, że zatoczyła się i upadła na pierś Pana Kaźmierza.

Ten otworzył objęcia, przytulił ją do łona, i wyszepnął:

— Ach, moje ty szczęście!....

Wyrok Pana Schultza został objawiony trochę po grubiańsku, ale tak był dla wszystkich pożądanym, że obecni znowu powstrzymali się od wszelkich oznak niecierpliwości. Pan Władysław nawet ukłonił się, i mówił:

— Waszec jeno potwierdzasz naszą własną decyzję. Pani Matka bowiem i ja, od pierwszego momentu, obiecaliśmy Pannę Starościankę w małżeństwo IMci Panu Kaźmierzowi Koryckiemu. Wždy miło nam widzieć, że i dawny jej protektor tegoż jest samego co i my sentymentu.

Przebudzona słowami brata, Hedwiga nagle przemogła wzruszenie. Ciągnąc za sobą Kaźmierza, stanęła przed Panem Rajcą, pokłoniła mu się do kolan, wyrzekła ze łzami:

— Dziękuję Dobrodziejowi..... dziękuję.....

Chciała więcej powiedzieć, ale łkanie tamowało jej mowę. Zwróciła na Kaźmierza wzrok błagalny; ten zrozumiał czego jej serce po nim

żąda, i choć nie bez wysilenia, jednak pokłonił się i wyrzekł:

— Ja takozh dziękuję za Waszecziny assentyment. Szkoda jeno że nie przyszedł trocha wcześniej.

— A właśnie że nie szkoda. — Odparł, zawsze drwinkowatym głosem Pan Majster. — Gdybyś Waszmość był zaraz posiadał mój konsens, nie byłby się Szkaplirz rozerwał, i Hedvich nie byłaby Starościanką.

— I toć prawda. Panna Hedwiga nie byłaby odszukała swojej familii, a i ja nie byłbym odszukał mojej siostry. Bo trzeba wiedzieć Waszeci, że w téj całej cudownej miszkulancyi, odnalazła się i nasza Krysia.

Tu Pan Rotmistrz oraz jego towarzysze, wmieszali swoje głosy do rozmowy, i zaczęli na wyścigi opowiadać, jako to Pan Kaźmiérz stanął w Dobrowoli właśnie podczas wesela Pana Starościca, przyczém się pokazało że małżonka tegoż, jest właśnie ową zatraconą Krysią. Hedwiga, słuchając tych wiadomości, składała ręce w zachwycie, a Pan Rajca, od wielkiego zdumienia, zapomniał nawet o szyderstwie, i z dobrodusznym uśmiechem powtarzał:

— Herr Gott! A to jakbyś słuchał matczynego bajania. No..... tylko w tym kraju, podobne rzeczy mogą się porobić.

Gdy tak w najlepsze rozprawiano, wszedł do komnaty Kornelius, nie domyślający się wcale jak ważne wypadki w niej zachodzą. Zdziwił się tylko trochę, że Pan Schultz ma naraz tylu i tak świetnych «kundmannów». Przystąpił więc na palcach, i szepnął:

— Herr Meister, ten Melchior co to rozwieszał kobierce, nasmarował taki rachunek, że niewiem co robić.

Pan Majster spojrzął na niego filuternie.

— A rób sobie co chcesz. Nie myślę ja żałować geldu w taki dzień fortunny, kiedy tu same wesela. Patrz: oto ja się żenię z tą zącą damą, a znowu z frajleiną żeni się ten Officyjer nieboszczyk.

Tu wskazał na młodą parę, która była w pół ukryta po-za cieniem olbrzymiej szafy, i

zaczął po swojemu się uśmiechać.

Ale Kornelius nie śmiał się bynajmniej. Na widok Pana Kaźmierza skamieniał, a twarz jego wyrażała tak niezmierną złość i nienawiść, że i Pana Schultza odeszła ochota do żartów.

Pan Kaźmiérz spojrział pogardliwie:

— Czeladniczku mój,— rzekł — pamiętaj coć powiem: nie twoja rzecz wojenne rzemiosło, pilnuj twego fartucha i obcęgow, a nie wdawaj się z rycerskim człekiem, bo choćbyś go jak tradytor z tyłu zaszedł, to jeszcze go mizeraku niepotrafisz zmódz.

Kornelius, pod obelgą tych słów, pozieleniał.

A tymczasem pomiędzy młodzieńcami, szerzył się szmer groźny:

- A! To ten Judasz? Ten Ollender heretyk? Dawać go tu, niech go przepłazujem....

Tylko Pan Władysław był odmiennego zdania.

— Mości Panowie, dajcie pokój. Żeby tak na mieście, to i owszem, — ale tu, w tym domu, wobec białej płci, niepozwole....

Kornelius czując zbierającą się nad nim burzę, przystąpił do Pana Rajcy, i wyjąkał:

— Herr Meister..... u nas w Amsterdamie.....

— Aha, już wiem co chcesz powiedzieć. U was w Amsterdamie, ludzie raz zabici, już więcej nie wstają?

— Nie, Herr Meister, ja nie to chciałem powiedzieć, jeno to, że w Amsterdamie jest porządnemu człowiekowi lepiej niż w tym przeklętym Dantzigu. Głupstwo zrobiłem żem opuścił moje dobre miasto! Herr Meister, dziękuję za służbę, dziś jeszcze wyjadę, i już noga moja u was nie postanie.

Twarz Pana Schultza wyraziła szczere zasmucenie, i z ust jego już wydarły się żalose słowa:

— O! Korneliusie, nie rób-że mi.....

Ale w tej chwili spotkał spojrzenie Pani Flory, a spojrzenie musiało być bardzo wymowne, bo nagle zamilkł, i zakłopotany spuścił oczy, z czego można było wywnioskować, że trafiła kosa na kamień, i że trzęsący dotąd wszystkiem Pan Majster, odtąd już będzie tylko czeladnikiem u Pani Majstrowej.

Kornelius, przez nikogo nieprzytrzymywany,

rzucił na Hedwigę jadowite spojrzenie, zwiesił głowę, i z wolna opuścił komnatę.

Po jego wyjściu, wszyscy lżej odetchnęli, jakby po zniknięciu czarnej chmury, a gdy jeszcze na rozkaz Pani Flory, (która właściwie już od kilku tygodni rządziła Bursztynowym Domem), podano przednie wina i zakąski, serca się nieco rozjaśniły, i z przyjemnością, nawet prawie z zapalem, wypito zdrowie jutrzejszych Nowożeńców.

Nazajutrz istotnie, od rana, Pan Schultz poślubił Panią Florę, która otrzymała mnóstwo pysznych podarków, tak od męża jak i od znajomych, a zwłaszcza od swoich dwóch najlepszych przyjaciół, Pana Kaźmierza i Pana Władysława. Dla tych dwóch ostatnich, był to najlepszy sposób niejakiego wywdzięczenia się Panu Konzulowi, który z nieprzepartą wyniosłością, Niechciał wchodzić w żadne rachunki z Panem Starościcem, ani sobie dał mówić o kosztach łożonych na odchowanie Hedwigi.

— Nie, nie, keine gadanie. - Odpowiadał. - Niechże ja już na zawdy ostanę «Dobrodziejem».

Sam więc nic nie przyjął, ale upominków dla żony niemógł w żaden sposób odmówić, bo Pani Flora przyjęła je skwapliwie, tém skwapliwiej że teraz, wchodząc przez męża do patrycjatu miejskiego, mogła już nakoniec nosić i drogie tkaniny i rzeczywiste klejnoty.

W południe, odbył się u Pana Schultza

obiad, gdzie Mina wystąpiła z arcydziełami kuchmistrzostwa. Jednak, pomimo darów i przysmaków, między zgromadzonymi ciągle jeszcze panowała niejaka sztywność. Było do niej kilka powodów; najprzód, obecność Pastora, zajmującego poczesne miejsce u stołu, mroziła świeżo przybyłych gości, którzy jeszcze nie przywykli do Gdańskiej mieszaniny wyznań; a przytém, w każdej rozmowie, potrącano co chwila o tysiąc szczegółów z przeszłości, przy których ci i owi wzajem się boczyli. Chłodne więc, iście purytańskie, było to wesele.

Dopiero wieczór, ostatnie lody stopniały w Artus-hofie, gdzie na wniosek Burmistrza Freimutha, Gilda Ś-go Krzysztofa wyprawiła ucztę dla Państwa Rajcostwa.

Co prawda, z początku Pan Burmistrz był nieco markotny, że Pani Flora oddała innemu tę szacowną rączkę, o którą on niestety, jako człowiek żonaty, niemógł się dobić. Ale mądra Pani Schultzowa, kilku słowy czy kilku spojrzeciami, umiała go tak udobruchać i rozruchać, że teraz przewodził wieczerzy, promienny jakby sam król Artus, a za jego przykładem rozruszali się i wszyscy inni.

Ba! Nietylko panowie, ale nawet i służdy.

Maciek tak był uszczęśliwiony pomyślnym zwrotem w losach swego pana, że kogo spotkał, to i ścisnął. Nawet gdy spotkał Kubę Grubaska, to i jemu rzucił się na szyję, wyczałował go w oba policzki, a chcąc się przed nim pochwalić sutością swego mieszka, (który u Pani Starości-

ny hojnie zaopatrzone,) zaprosił go, ni mniej ni więcej, tylko Pod Łososia. (Sławny ów zakład istniał już od lat kilkudziesięciu.) Tam, przy kubeczkach «Złotej wody», jak zaczęli wspominać ową noc okienkową, tak się aż popłakali z rozczulenia, i ta lina co niegdyś była przedmiotem ich walki, obecnie zadzierzgnęła między niemi węzeł nierozzerwalnej przyjaźni.

Wprawdzie i teraz, tylko co nie przyszło znów do kłótni, obaj bowiem wśród poufnych zwierzeń, wyznali sobie że palą koperczaki do bystro-okięż Fruzi. Ale pogodził ich trzeci towarzysz, pewien ślusarz wielki bywalec, który im opowiedział pod sekretem, że niemają się o co czubić, bo Fruzia już jest po zrękowinach z Dominikańskim Organistą, który będzie mężem przewybornym, jako człek i dostatni i uczony; do południa on wygrywa różne cudne Agnusy i kalikantom wymyśla, po południu chłopięta spędza i uczy śpiewania Mizererów, a żona tymczasem doma rządzi sobie jak się jej żywnie spodoba. Na taką wiadomość, pogodzeni współzawodnicy znowu się chwycili w objęcia, i trącając kubek o kubek, śpiewali piosnkę znaną, którą sobie wszakże przerobili na swoje kopyto:

Pije Maciek do Jakuba,
Spili się jak łyki.
Wiwat Mazur i Kaszuba!
A furda z podwiki.

XII.

I trzecie wesele.

W kilka tygodni później, znów buńczuczna brama Dobrowoli powiewała trofeami ze sztandarów; znowu schody gankowe były wyłożone purpurą, i znów przed ten ganek zajeżdżał orszak weselny, ale tym razem jeszcze sutszy, i liczniejszy, i radośniejszy niż pierwszy.

Zjechało się, nietylko już sąsiedztwo, ale prawie pół Wielkopolski. To też i pański dom, i wszelkie zabudowania dworskie, nie wystarczały na pomieszczenie gości; musiano powyporządkować spichlerze i stodoły, gdzie ci którzy później stanęli na miejscu, a zwłaszcza wszelka młodzież, mieścili się jak mogli, co nietrudno przychodziło ludziom przywykłym do trudów obozowych.

A jeśli orszak był liczny, jeszcze liczniejszych miał widzów. Nietylko

z dóbr Starościny,

ale ze dwudziestu wsi dokoła, zleciało się chłopstwo, i niezmierna mnogość różnorodnej gawiedzi.

Bo też dziwy opowiadano sobie o tej całej «cudowne historyi,» a zwłaszcza o dzisiejszej Pannie Młodej, której nie nazywano inaczej, tylko «królową z za morza.»

Jakim sposobem Hedwiga, będąc odnalezioną córką Pani Starościny, była zarazem i królową, tego ludzie na pewno nie wiedzieli, ale różnie to sobie tłumaczyli. W jednych wsiach, wieczorami, prządki rozповідаły, że ją Tatarzy sprzedali królowi Szwedzkemu, a ten ją chciał za córkę przybrać, i tron swój zapisać, byle jeno chciała się zlutrzyć. W innych wsiach mówiono, że Frajwitterowie duńscy porwali Starościankę na jakąś wyspę, i tam okrzyknęli ją swoją królową, aż rycerz z Puckiej floty zjawił się, i odbił ją tym zbójom.

A wszystkie owe legendy powstały z powodu jednej i téjże samej wieści, mianowicie, że Starościanka przywiozła pełny ubiór królewski.

Wieść była prawdziwa. Jeszcze w Gdańsku, Pan Władysław, uwiadomiony przez Pana Kaźmierza o życzeniu siostry, zakupił dla niej na wyjeźdném, cały strój ślubny zrobiony wedle starodawnj Gdańskiej mody, i wiadomość o tym stroju rozbiegła się, przez dziewczki dworskie, między wiejską ludnością.

Pan Kaźmierz, słysząc owe baśni, zaprzeczał im tylko półgębkiem, albo zgoła zachowywał fortelne milczenie, a w głębi duszy się cieszył. I jak nie miał doznawać uciechy, kiedy on

zawsze kochał się w «poemach,» a te legendy czyniły go bohaterem najśliczniejszej poemy, i cudownym nimbusem otaczały jego umiłowaną?

To też wiara w one wieści rosła coraz bardziej, a już co dzisiaj, to z wiary stała się przekonaniem, kiedy Oblubienica wystąpiła w ubiorze niezaprzeczenie królewskim. Ściany wiejskiego kościółka mało niepękły od natłoku, a teraz, gdy Nowożeńcy już wracali, obie strony gościńca i podwórcowe ogrodzenia były obleżone przez tłumy, które ciskając czapkami w górę, krzyczały z uniesieniem:

— Niech żyje królowna Szwedzka!

— Niech żyje królowa Duńska!

— Niech żyje nasza królowa!

Hedwiga była tak zmieszana swoim szczęściem, że nie zwracała uwagi na wyrazy, ale czuła w tych wykrzykach uwielbienie, i ze spuszczonej oczami, przytulała się lękliwie do Kazmierzowego ramienia.

A cudna była w tym swoim szkarłatnym płaszczu i gronostajowych wyłogach, spiętych perłową klamrą, na piękniejszej od pereł szyi; w tych włosach jako bursztyn jasnych, rozsypanych po barkach i ramionach; w tej złotej przezroczystej koronie, i z temi turkusami w oczach, i z tym dziewiczym rumieńcem wschodzącej Aurory.

Cudna była istotnie jakby królowna z bajki, albo — co jeszcze lepiej — jakby jakieś leciuchne

przypomnienie wielkiej królowej Jadwigi, wprawdzie, w postaci ni takiej wielkiej, ni tak świętej, ale szczęśliwszej, bo wspartej na ramieniu tego którego ukochała.

Pan Kaźmierz był dziś przybrany, już nie w łosie skóry, ani nawet w «hatłasy,» ale w same takie rzeczy, o jakich dawniej tylko marzył, a na które teraz — poślubiając bogatą Starościankę — mógł sobie śmiało pozwolić. Więc miał krótki pstry żupan z Lewantyńskiego koftyru, (materji tak drogiej, że niegdyś królom w

hołdzie ją składano,) świecący rzędem rubinowych guzów, a po wierzchu, granatową, axamitną, marmurkami podbitą ferezję, która pod szyją zahaczała się na brylantowe szpony. U szkarłatnego kołpaka zatknął pióra orle, brunatno-pozłociste, wijące się w bujną forę, i dla pamiątki przespilił je owym zanklem żeglarskim, na którym wymaljowane, świeciło godło królewskiej Bandery.

Więcej wszakże od piór i od klejnotów, zwracała uwagę inna jeszcze ozdoba kołpaka, wprawdzie skromna, lecz zastanawiająca oczy, bo nieznana tutejszym ludziom. Były nią, dwa małe zieloniuchne wianeczki, zaplecione w siebie jak ogniwa, i wpięte poniżej forgi, tuż nad lewą skronią.

Między patrzącymi, niektórzy mówili:

— To na turniejach u króla Szwedzkiego zdobył one wieńce.

A drudzy przeczyli:

— Nie. To jest owo ziele, co to «szczęście

niesie.» Ono rośnie gdzieś za morzami. Tam go sobie narwał, i też wszystko mu się udało. Oj, żeby to tak choć jeden listek dostać z onych wionków!

Inne głosy po drodze go witały słowami:

— Niech żyje morski rycerz!

— Niech żyje ten, co zbawił królownę!

Ale gdy orszak wtargnął na dziedziniec wszystkie te okrzyki ustały, a na ich miejsce wybuchnął inny, jednogłosny:

— Niech żyje Pani Starościna! Święta nasza pani!

Pani Starościna znów siedziała na ganku, zawsze nieruchoma, zawsze ze swoim białym futrem u kolan, ale z odmłodziła i wypiękniała twarzą, po której toczyły się ciche łzy szczęścia, podczas gdy drżące od wzruszenia jej ręce, brały złocistą tacę z bochenkiem i solą.

A brały ją dziś już nie od Rękodajnego, ale od JMci Pana Miecznika Koryckiego, który pomimo swojej groźnej, wiarusowatej twarzy, także musiał co chwila polykać łzy ciepłe, kapiące mu na srebrne wąsy, przyczem niekiedy powtarzał półgłosem:

— A niechże ich Turek zję!

Pierwszy on wyrwał się z kościoła, i wyprzedził orszak Nowożeńców, ażeby jak najprędzej stanąć z rycerską służbą przy «adorowanej Pani-Matce,» zbawczyni i wychowawczyni jego cudnej Krysi.

I nie tylko dzisiaj, ale już do końca życia, służył swą pani po rycersku. Gdy się bowiem skończyły uroczystości weselne, (co, — mówiąc nawiasem — nieprędko nastąpiło, bo przy święceniu podwójnych Oczepin, przez całe dwa tygodnie dwór był pełen kwiatów i wiwatów, płaśniania młodzieży i strzelania z moździerzy,) gdy nakoniec goście się porozjeżdżali, i pozostały tylko dwie rodziny, a raczej dwa szczątki rodzin, jakby cudem ocalałe i złączone, wtedy zaczęto rozmyślać nad sposobem urządzenia sobie przyszłości?

Namysł był krótki. Pani Starościna od razu oświadczyła, że nigdy na to nie pozwoli, aby jej Marychna -Jadwichna, ledwie co po tylu latach odzyskana, miała ją znów opuszczać, i za mężem iść gdzieś aż pod Karpaty. O wyjeździe Krysi tak samo nie mogła nawet myśleć. Postanowiła więc, że obie młode pary z nią razem zamieszkają, a niechcąc Pana Miecznika rozłączać z synem ani z córką, prosiła go, aby także się tutaj przesiedlił, i wszystkim najłaskawiej ojcował.

Pan Miecznik, podróżowawszy się ile przystało, z wewnętrzną radością przyjął zaprosiny, wydzierżawił swoją wiosczynę, a sam został na zawsze w Dobrowoli, którą przezwwał swoją «Dobrą dolą.»

Tu istotnie, starcowi zgrzybiałemu od nieszczęść i samotności, zachód życia pięknie się rozpromienił. Wprawdzie nic mu już nie mogło przy-

wrócić, ani małżonki śpiącej na Czarnorudzkim cmentarzyku, ani dwóch synów śpiących pod kopcami dalekich pobojuwisk. Ależ Kryisia, ta Kryisia oplakana, szukana, ukochana, odnalazła mu się, i jaka! Piękna, bogata, szczęśliwa, pocziwa. I syn oto, postanowiony tak świetnie, jak się ojczulkowi wcale nie marzyło. I prawdę mówiąc, miał już nie jedną córkę, lecz dwie córki, nie jednego syna, lecz dwóch synów, a wszystko to kochało go, i służyło mu na wyścigi, tak jak lubił, z «moresem» i wesołością.

Pani Starościnnie także nic już niemoгло przywrócić, ni srodze zamordowanej matki, ni przedwcześnie zmarłego męża, ni straconego bez ratunku zdrowia. Ale Bóg przywrócił jej Maryskę, czy Jadwiškę, (bo i tak i tak ją nazywano,) i tą jedną gwiazdą, rozjaśnił cały wieczór jéj żywota.

Już to trzeba przyznać, że owe przedweselne tygodnie oczekiwania na córkę, były dla Pani Starościny straszniemi. Nietylko bowiem pożerała ją niecierpliwość macierzyńskiego serca, połączona z niepokojem o skutek wyprawy, ale trapiły ją i różne inne postrachy. Bała się mianowicie, (i z Krysią często dzieliła tę obawę,) czy Władek jéj nie przywiezie jakiejś sztywnej, pospolitej mieszczeni, o pojęciach i nawyknieniach, nielicujących z ich starodawném życiem? Lękała się jeszcze bardziej, czy nie przywiezie jakiejś pół-Niemkini?

Pierwsze spojrzenie na rozkoszną buzię pa-

nienki, pierwsze jéj padnięcie do nóg matce, pierwsze jéj rzucenie się na szyję Krysi, rozwiało wszystkie te obawy.

Hedwiga wprawdzie zachowała niektóre przyzwyczajenia z przeszłości, ale tylko same chwalebne. I tak naprzykład, nic nie mogło w niéj zachwiać zamiłowania do porządku; wszystko w koło niéj, czy to w komnatach, czy w kuchni, musiało zawsze świecić się i bielić, jakby czyste srebro i złoto. Z początku, służba dworska mrucała na te wymysły młodej pani, z czasem jednak przywyknęto, i dwór Dobrowolski zasłynął w całym sąsiedztwie, z niewidzianej dotąd, iście hollenderskiej schludności.

Pod innymi wszystkimi względami, Hedwiga dziwnie szybko zrosła się ze swoim nowém życiem, bo dusza u kobiet bardzo młodych, jeszcze jak wosk miękka, łatwo przyjmuje wszelką pieczęć, zwłaszcza jeśli ta pieczęć jest wyciśnięta przez gorące i silne serca, a takich w koło naszej «królowny» nie brakło.

Umiała téż sercem za serce płacić. Jéj cześć i miłość dla matki, przechodziły zwyczajną miarę, jakby chciała tę matkę wykochać za wszystkie lata stracone. Dla Pani Krystyny także miała coś podobnego do części, jako dla swojej odkupicielki przed Bogiem, — «bo» — powtarzała nieustannie, — «gdyby Pani Matka nie była Krysi wzięła sobie za córkę, nigdy by Pan Bóg nie był miéj oddał Pani Matce.» — To téż dwie młode panie zespoliły się całą duszą, nie jak dwie bratowe, ale jak najrodzeńsze siostry, i tak, nie upłynęło

dużo wody w Warcie, a już śliczna Gdańszczanka stała się pieszczoszką całego Starościańskiego domu

Czy Pan Kaźmiérz miłował żonę, o to podobno i nie godzi się pytać. Skarb dle nas tém droższy, im więcej kosztowało nas jęgo zdobycie.

Wprawdzie, taż sama gwałtowność, z jaką junak ukochał i zdobył panienkę, teraz na widnokrąg małżeński sprowadzała niekiedy krótkie burze. mężem «impetykiem» życie różnie się toczy. Ale mądra żonka znalazła na to sposób. Ile razy Pan Małżonek zaczął fukać, zaraz cała drżąca przystawała w kąciku, i przysyłając oczy wyszywaną chusteczką, (u której zawsze musiały być chwaściki,) utyskiwała ze łkaniem:

— O ja nieszczęśliwa! Ja dla niego znosiłam srogie więzienie i tortury, a teraz co mam za to, co?

Jak tylko Pan Kaźmiérz wspomniął na «srogie więzienie z torturami,» zaraz miękł i oprzytomniwał. Dla niepoznaki trochę jeszcze pohukał, ale po chwili zaczynał o czém inném

kręty dyskurs, a po godzinie już przypadał do nóg Jadwichny, i jak na «złotym ganku,» całował jęj błękitny trzewiczek.

Cięższemi od tych zawieruszek, były chwile, kiedy surmy wojenne zagrały, i kiedy Pan Kaźmierz — obecnie Pułkownik piechotny — razem z pancernym Panem Władysławem, wyruszał gdzieś daleko pod chorągiew. Natenczas, dla Starościny, dla Miecznika, i dla dwóch pań młodszych, nastawały śmiertelne miesiące trwóg, nie-

pewności, wyczekiwania na listy i wieści. Ale takim życiem żyły u nas wszystkie ówczesne niewiasty. Marja-Hedwiga przyjęła je z odwagą, a na tę odwagę zdobyła się tém łatwiej, że dziwnie szczęśliwe zwroty jęj dotychczasowych losów, dawały jęj ślepą ufność i w przyszłe błogosławieństwo Boże.

Ten pogodny pogląd sprawiał, że i na swoją przeszłość patrzyła teraz już tylko z uśmiechem. Obraz Pana Schultza, stawał przed nią w coraz łagodniejszym świetle; wspomnienie doznanych odeń ucisków, zacierało się z każdym rokiem, a jego zasługi występowały coraz jaśniej. W tém poczuciu bezwzględnej wdzięczności utwierdzała ją Pani Starościna, która niemogła myśleć bez rozrzewnienia o ludziach co uratowali jęj dziecko. Nikt-by na żadnym różańcu nie policzył wszystkich Mszy Świętych, jakie rokrocznie odprawiały się w Dobrowoli za duszę Pani Doroty Schultzowej; był to dla prawdziwej matki, jedyny już sposób odświeżenia się matce przybranęj. A i w rozmowach o Panu Schultzu, Starościna trzymała się teje zasady co względem umarłych: «Aut nihil, aut bene,» i jeśli mówiła o nim, to tylko przychylnie. O jego niedoszłych zalotach nigdy nie wspominała. Czasem nawet bywało, gdy sam na sam siedzi z Miecznikiem, to powiada:

— Nie indygnuj się Waszmość na tego nieboraka. Wszakci on niewiedział z jakiego domu

ona sie wywodzi? A że chciał na całe życie do piersi przytulić takie złote stworzenie, to i co dziwnego? Ktoby niechciał? Biedne człeczysko, my mu ją zabrali. Ile mnie szczęścia, tyle jemu szkody.

Tak rozumowało anielskie serce Pani Starościny. Więc kilka razy do roku szły dla Pana Rajcy pyszne upominki, drogie futra, piękna broń myśliwska, domowe konfekty, przytém listy od Pani Hedwigi pełne wdzięcznych zapewnień, a przy każdym liście dopisek, w którym Pani Starościna zapraszała go do siebie, choćby na dni kilka,— «bo» — pisała — «żałosno mi będzie umierać, bez obaczenia benefaktora mojęj córki.»

Ale z Panem Rajcą twarda była sprawa. Za dary, przysyłał niemniej piękne dary; na listy odpisywał sztywno i lodowato; a na zaprosiny, odpowiadał zawsze jedno i toż samo:

- «Z moją Florą za dobrze mi doma, abych ja się miał z niego ruszać. To żona którą Pan Bóg stworzył richtig dla mnie, i głupim ja był, kiedym Panu Bogu kontrował.»

Nakoniec mieszkańcom Dobrowoli zrobiło się markotno, że Pan Schultz chce zawsze uchodzić za niezapłaconego wierzyciela, i zaczęli przemyśliwać, czémby go tu, prawdziwie wspaniałém obdarować?

Aż i wymyślili: nobilitację.

Chcieli go przypuścić do swego Nałęczu. (Z tą wszakże odmianą, że binda miała być nie

biała i fałdzista jak zwykle, ale żółta i perełkowana, niby przepaska z bursztynu).

Rzecz ta, co prawda, przedstawiała niemałe trudności; trzeba ją było wyrabiać aż na

Sejmie, i to — szczerze mówiąc — niewiadomo za jakie zasługi? Chyba właśnie za ocalenie Starościanki od pogańskiej niewoli.

Zaczęto jednak zabiegi; te, szły opornie i zwolna; skutek był więc więcej niż wątpliwy. Ale Pani Hedwiga nie chciała o nim wątpić, i już sobie roiła że sama ów Klejnot zawiezie dawnemu «Dobrodziejowi,» bo chciało jej się koniecznie raz jeszcze śliczny Gdańsk odwiedzić, i rada też była pochwalić się tam przed wszystkiemi dwojgiem wdzięcznych dzieci, jakie już po jej alkierzu biegały. Pan Kaźmierz także byłby chętnie znowu zobaczył swoje morze, i Władysławowskie szańce, i starego «Łabędzia,» i starych towarzyszków od Wodnej Armaty. Pani Starościna pochwałała zamiar, tylko nie radziła zabierania dzieci; wieloletnie doświadczenie ostrzegało ją, że widok tych «kinderków,» nie będzie miły dawnemu współzalnokowi, témbardziej że jak wiadano z listów, i teraz pozostał on bezdzietnym. Pani Jadwiga (zwyczajem wszystkich matek,) niemogła zrozumieć aby widok jej dzieci mógł być komukolwiek na świecie niemiłym, ciągnęły się więc dalej rozmyśły i narady, gdy zniemacka los wszystko przeciął.

Pewnego dnia, przyszedł list z czarną pieczęcią, gdzie Pani Flora donosiła, że Pan Johann Schultz rażony apoplexyą, niespodzianie zakończył żywot.

— «Medyki gadają» — pisała — «jakoby przez cerewizyę był spalony. Ale to azynusy. Wszakci tyle lat pijał, i nic mu nie było? Ja wiem, że jeśli co go spaliło, to jeno gorącość affektu dla mnie, bo jako żyję nigdy jeszcze nie widziała takiej zacnej passyi, i póki mi życia, póty po nim łzów i desperacyi.»

Początek podpisano było:

«Niepocieszona wdowa,» i t.d.

Trzy panie, popłakały się serdecznie nad śmiercią byłego «Dobrodzieja,» nad jego niedoczekaniem Klejnotu, i nad opuszczeniem biednej wdowy.

I znów Pani Jadwiga podała myśl, aby przynajmniej Panią Florę sprowadzić do dworu Dobrowolskiego, już jeśli nie na długo, to chociaż na pierwsze miesiące żałoby. Pani Starościna mniej chętnie tym razem przyzwalała, bo ją nieco straszyl obraz owój niewiasty, ale — nie było co mówić — i owa niewiasta przyczyniła się do szczęścia córki, więc napisano zaprosiny.

Przez długi czas nie było żadnej odpowiedzi. Nakoniec przyszła, znowu z żalobną pieczęcią, krótka i jękliwa.

Pani Flora «submitowała się, jako niemoże przybyć, bo do śmierci nie opuści tego domu, gdzie na każdym kroku widzi andenkiemy i jakoby drogą umbrę swojego Johanna.»

Potém, wszystko przycichło.

Aż oto, po roku i kilku niedzielach, przyszedł znowu list, ale teraz już z pieczęcią czerwoną, i to ogromną, Magistracką.

Osnowa listu była następująca:

Wielce mnie Miłościwa
Jaśnie Wielmożna JMciPani Starościno
Dobrodziejko!

«Znając łaskę wielce mnie Miłościwej JMci Pani na mnie, mam onor donieść, jako w dniu wczorajszym połączyłam się węzłem małżeńskim in - voto z JMci Panem Krzysztofem Freimuthem, wdowcem, Prześwietnym Burmistrzem miasta Gdańska. Co sobie mam za wielkie sygnum łaski Bożej, albowiem JMci Pan Freimuth uczcił mię takowym affektem, co jako żyję na świecie, jeszcze nie widziała podobnie zacnej passyi. Przytém człek to potężny. O wożazach już mi nie myśleć, teraz kiedy całki Gdańsk na mojej głowie. Wczora z okkazyi naszego Hymenu, cały dzień w mieście były festyny z ogniami, a z wieczora przeniosłam się do Burmistrzowego Dworu, gdzie

żyć w królewskich luksusach, ale w kamiennicy mego męża in -do

voto, ś. p. Johanna Schultza, ostawiłam monument moich usług dla Jaśnie Wielmożnych Państwa. A racja takowa: Kiedy JMci Panna Starościanka nas odjachała, zara ludzie poczęli po staremu stoic podług naszój kamiennicy, i wypatrować ono skulptowane okienko, i admirować jako to przez taką cyrkumferencyę, człowicza persona mogła się przewinać? Tedy mój Mąż in -do voto, ś. p. Johann Schultz, jako człek zagryźliwy, od którego piwnych ja humorów niemałom ucierpiała, irytował się na takowe tumulty, i ze złości, kazał ode środka zamurować okienko, tak co w onój obręczy, ostało się jeno wybielone wkląknięcie. Ale i to nie pomogło. Ludzie znowu stawali podług naszój kamiennicy, aby się naśmiewać z onój złości. Teraz tedy, kiedy possessya po ś. p. Johannie Schultzu przeszła na mnie, zara wedle mojego nakazania, skulptor w oném wkląknięciu wymainował z kamienia głowę młodej frajleiny z krężą i cudną facyatą, na konterfekt Jaśnie Wielmożnej Panny Starościanki. Zaś niżej zamalowana jest lazurem rozbujala szarfa, zaś na szarfie złotemi literamy napisane: Amor alatus est. Niechże ornament ten reprezentuje wdzięczne hommagium dla
Jaśnie Wielmożnych JMci Państwa
od uniżonej sługi
jakową mam onor się pisać
Flora Freimuthowa
Burmistrzowa Miasta Gdańska.

List Pani Burmistrzowej sprawił na mieszkańcach Dobrowoli wrażenia rozmaite, ale co epilog, to wywołał jednomyślny poklask, Ów «ornament,» nie zdradzający żadnych imion, a jednak tak wymowny, przypadł wszystkim do serca.

Zwłaszcza też Pan Kaźmierz, aż głaskał się po piersiach, na myśl że jego Hedwiga została w kamieniu unieśmiertelniona, i że pamięć o niej przetrwa między ludźmi jakby jakowe poema.

I rzeczywiście, przez długie czasy, ile razy jaki podróżnik zwiedzał Gdańsk i jego ciekawości, zawsze pokazywano mu ową główkę wyrzeźbioną w kamiennym pierścieniu, przyczém opowiadano dziwy, o pięknej, niegdyś więzionej tu dziewczicy, i o jej nadpowietrzném porwaniu przez morskiego rycerza.

A że mieszkańcy Gdańska słyną z poszanowania dla zabytków przeszłości, więc kto wie? Może i ta pamiątka jeszcze się u nich przechowała? Może do dziś dnia, panienka z okienka tam wygląda, i tęsknie czeka, i wypatruje, czy raz jeszcze nie pojawi się przed nią, marynarz od Puckiej flotty?

KONIEC.